

Gniazdo Gryfa

NORTON ANDRE



calibre 0.7.28

Andre Norton

Gniazdo Gryfa

A.C.Crispin

Przekład: Elzbieta Dagny-Rynska

Tytuł oryginalu: Gryphon's Eyrie

Z ogromną wdzięcznością książkę tę dedykuję Hope Tickell, George'owi Tickell i Randy Crispin, którzy służyli nieocenioną

pomocą podczas jej tworzenia.

Prolog

Co czyni kowal pragnący wykuc miecz lub topór pasujący do twardej dłoni wojownika? Wydobywa surowiec, który gromadzi się w samym sercu ziemi, pracuje nad nim z ogromną zrezygnacją i najlepiej, jak umie - przez wiele dni, czasem lat - aż odezwie się w nim głos szepczący: Dosc! Skonczyłeś pracę, stworzyłeś dzieło i dołożyłeś wszelkich starań.

Podobnie rzecz się ma z Kowalem Piosenki, który walczy ze sobą, ze swymi umiejętnościami, ze słowami - gdyż to słowa są surowym kruszcem, który należy obrabiać z cierpliwością twórcy. Muszą się one rozpaść w ogniu serca i zmrozić strachem. Podobnie jak w przypadku miecza należy z wyczuciem kształtować ich ostrze i szpic. Ponownie czas nie gra tutaj żadnej roli - tak szybko koniec piosenki nie nadchodzi, gdyż losy, które opiewa, nie zawierają się pomiędzy jednym zachodem słońca i światłem jutrzeńki dnia następnego.

Czyż tak nie stało się z Opowieścią o Gryfie (który był niegdyś zamknięty w kryształowym amulecie, tym Adeptie prawie zapomnianym przez czas, a którego można ostatecznie porównać do mężczyzny i kobiety złączonych w coś potężniejszego niż wyobrażane przez nich same dążenia ludzkości)?

Istniał więc Kerovan z Ulmsdale, którego przeklęta matka parła się czarną magią i szatanską umowę zawarła, że urodzi dziecko będące narzędziem Mocy. Dziecko, które miało służyć jej celom. Syn ten rzeczywiście miał cielesne stygmaty Ciemności - bursztynowe oczy i kopyta zamiast stóp. A jednak na koniec zawiodły wszystkie jej czary, gdyż nie można bezkarnie wzywać ani odprawiać obu Wielkich Mocy - zarówno Światłości, jak i Ciemności.

Tak więc w obliczu przegranej lady Tephana udawała światobliwy przestרח i odesłała dziecko do mamki, z dala od siebie.

Jednak jej mąż lord Ulric pragnął mieć następcę w Ulmsdale i nakazał dobrze kształcić

syna, tak jak przystało na dziedzica jego godności. I Kerovan chętnie uczył się szermierki od przysłanego w tym celu wojownika. Od Jaga nauczył się pełni wojennego rzemiosła, walki wręcz oraz sztuki prowadzenia bitew i strategii. W swej samotności zwrócił się także do Medrca Riwala, który szukał śladów dziwnej wiedzy na Ziemiach Spustoszonych. Na tych terenach, które podobno zostały opuszczone przez legendarnych ludzi Starej Rasy.

Lord Ulric pragnął również chronić swego długo oczekiwanego syna, doprowadzając do jego małżeństwa przez topór między niedoroslą jeszcze chłopcem i lady Joisan, córką Domu Ithkrypt. Działo się to, zanim najeźdźcy odebrali Krainie Dales dostęp do morza i zmusili mieszkańców do ucieczki na Ziemię Spustoszoną. Mimo że młodzi byli po ślubie, nigdy się do tej pory nie spotkali.

Kerovan nie interesował się żoną, chociaż teraz i jej herbem stał się Gryf "wyszyty na jej paradnym płaszczu". Az pewnego dnia Joisan przyniesiono amulet, którego z pewnością nie stworzyły ludzkie ręce - kryształowa kula, w której był zamknięty mały Gryf. Joisan zrozumiała, że amulet stanowi element ogromnej siły. Kerovan znalazł ten stworzony przez ludzi Starej Rasy talizman na Ziemiach Spustoszonych (tych opuszczonych terenach, z których uciekali ludzie, nadal jednak zaludnionych przez przedziwne istoty) i został nakłoniony, aby go ofiarować żonie. Joisan opanowała niewielkie umiejętności uleczenia, znalazła się na ziołach i poznała trochę dawną wiedzę ze starych klasztornych kronik. Była kształcona na przyszłą władczyńnię Ulmsdale. Nie wiedziała wtedy także, że na dalekiej północy lady Tephana nadal knuje przeciw swemu synowi, chcąc dać jego miejsce prawdziwemu spadkobiercy Ciemności - Rogearowi, kuzynowi Kerovana.

Na wszystko jest jednak odpowiednia pora i jej plany zostały pokrzyżowane przez najeźdźców Alizonu-Zza-Morza. Kerovan, zanim zdolał przywieźć do domu swoją narzeczoną, musiał wyruszyć z zastępami wojsk z Ulmsdale. Wojna szalała. Najeźdźcy opanowali Ithkrypt.

Uratowana, dzięki dziwnej Mocy podarunku od nie znanego jeszcze wtedy meza, Joisan i niedobitki jej ludu uciekli i zagubili się w dzikich ostępach. Tam też przypadkowo spotkali ich Kerovan, który przybył na wezwanie umierającego ojca i prawie wpadł w zasadzkę zastawioną na niego przez swego kuzyna Ciemności.

Chociaż rozpoznał swoją panią, ona go jednak nie poznała. Myślała, że ten nieznajomy jest raczej (z uwagi na dziwne oczy i stopy) jednym z ludzi Starej Rasy. Dzięki temu Rogearowi udało się ją podejść. Przybył do Joisan jako Kerovan, a potem rzucił na nią czar zamroczenia i wyprowadził na Ziemię Spustoszoną, tak aby przez nią lady Tephana mogła zapanować nad Mocą Gryfa.

Kerovan śledził ich trop aż do miejsca krwawej ofiary, gdzie starano się podporządkować Mocę Ciemności. Tam też stanął u boku swej żony i bojąc się o jej życie wezwał Mocę Światłości. Ci, którzy wezwali Ciemność, zostali oddani Śmierci i Ciemnościom. Wówczas Joisan widząc go w jasnym blasku duszy zrozumiała, że naprawdę zostali poślubieni i że

soba związani, tak jak złoto może być zatopione w stali po wszystkie czasy, by stworzyć broni godną herosa. Ale w Kerovanie pozostała pamięć podwójnego dziedzictwa, powodująca głęboką niewiarę. Dla dobra Joisan odrzucił wszelkie tradycyjne zasady i odjechał.

Na polecenie jednego z lordów Dales pojechał potem w misji na Ziemię Spustoszone - prawdopodobnie miał zaciągnąć do armii żyjących jeszcze ludzi ze Starej Rasy, aby pomogli mu w walce z najeźdźcą. Wtedy Joisan założyła kolczugę i hennę, przypięła do pasa miecz i pojechała za nim. Poszukiwała go wierząc, że żadna duma nie była większa od miłości jej pana, zwłaszcza że na piersi czuła ciężar Gryfa - jego prezentu.

Różne przedziwne i okrutne przygody miało tych dwoje, zarówno razem, jak i oddzielnie. Kerovan zawsze był pełen lęków i obaw związanych ze swym podwójnym dziedzictwem. Joisan natomiast miała siłę osoby, która bardziej obawia się o kogoś innego niż o siebie sama.

Poprzez niewolę i Ciemność, ostatecznie razem, szło tych dwoje, aż stanęli przed pierwszym wyzwaniem swego losu - była to bitwa, która wstrząsnęła ich częścią świata. Piecioro z nich stało po stronie Światłości - Kerovan, Joisan, Gryf - wreszcie uwolniony ze swego długoletniego więzienia w kryształowej kuli - jego długowieczny pan Landisi oraz Neevor - włóczęga, który już kilkakrotnie odgrywał jakąś rolę w uwikłanym życiu Kerovana. Po stronie Ciemności stał Galkur, który twierdził, że Kerovan to jego "syn". Było to kłamstwo, ale takie kłamstwo, które rzuciło cień na młode serce i spowodowało wiele zła, nawet już po upadku Adepta Ciemności.

Taki oto ciężar dźwigał Kerovan. Nie opuszczał on go nawet w nowym kraju i pozostawał z nim zawsze.

Wedrowali tym razem już wspólnie, gdy krainie znowu zagroził Mrok i musieli się Mu przeciwstawić, mając tym razem większą wiedzę i znając lepiej przeciwnika. Teraz też nie byli sami, mimo że u ich boku nie stała żadna istota z przeszłości, na Ziemiach Spustoszonych bowiem znajdowali się także inni ludzie, którzy poderwali się do walki z Ciemnością na zew swego serca. Była to Elys, Madra z Rodu Czarownic, a także jej wiemy towarzysz walk i obrońca - Jervon, trzeci był chłopiec imieniem Guret, nie wtajemniczony w żadną naukę, ale bardzo odważny.

Opowieść o Gryfie nie jest nową piosenką i nie trzeba tworzyć dla niej nowych słów. To stara piosenka, do której należy dodać tylko dalszy ciąg - gdyż wielkie wysiłki z kolei rodzą tęsknotę za czymś nieosiągalnym. Jest to opowieść o tym, co ostatecznie stało się z tymi, którzy odważyli się wystąpić przeciwko Ciemności...

Żeby przywołać pewną sztukę tworzenia opowieści, trzeba być Kowalem Piosenki, który zagląda w serca, przez lata słucha na wpol zapomnianych baśni, tak aby wszystko wykorzystać i znaleźć odpowiedź. W ten sposób stworzono słowa trzeciej części

opowiadania o Kerovanie i Joisan, o tym, co wraz z przyjaciolmi przez lata pobytu w Krainie Arvon osiagneli i otrzymali. Jak przetrwali i jak zawsze walczyli z Ciemnosciami.

Eydryth

Kowal Piesni

Rozdzial 1 - Joisan

Nasz swiat...Stalam w niklym swietle lampy, na reku trzymalam nowo narodzone dziecko. Patrzylam na wschod, gdzie za jeziorem rozpoczynal sie nowy dzien. To byla dluga noc... zmeczone cialo domagalo sie odpoczynku, a jednak nie mialam ochoty opuscic domu Utii i zanurzc sie w szarzejacy mrok. Nasza malenka lodz stala bezpiecznie przymocowana do jednego z wyrastajacych z dna jeziora ogromnych kamiennych slupow. Wysilek, jakiego musialabym dokonac, aby zejsc po drabinie do lodzi, byl ponad moje sily. Nadal trzymajac przy piersi dziecko, odgarnelam reka wlosy z czola.

Obudzil sie poranny wiatr, przefrunal przez jezioro i rozeslal wokol fale uderzajace o stare niczym swiat kamienne slupy, wiele lat temu odkryte przez rybakow z Anakue i wykorzystane jako podpory dla ich nadwodnych domostw.

Podczas naszych wedrowek moj pan, Kerovan, i ja przezyliśmy wiele dziwnych, wspanialych i okropnych przygod w tym naszym nowym swiecie - pelnej tajemnic Krainie Arvonu. Wspomnienia o przeszlosci nie byly kojace. Patrzylam, jak na wschodzie gasna gwiazdy. Przyszliśmy własnie stamtad i z polnocy, odkryliśmy zejście z gor, które teraz bylo jedynie ciemniejsza smuga na horyzoncie rozjasnionym blaskiem wschodzacego slonca. Przypomnialam sobie nasz pierwszy poranek po walce z Panem Ciemnosci - Galkurem, gdy stalismy razem na zboczu owych wzniesien i patrzylismy na kraj, który po zakutych mrozem ziemiach Dales i pustkowiu Ziem Spustoszonych wydawal sie przyblaklym arrasem, o zlotoczerwonych barwach tym mocniej kontrastujacych z wysokimi, wiecznie zielonymi lasami.

Wtedy zarowno ja, jak i moj pan prawie upoilismy sie owa pieknoscia. Czulismy jeszcze podniecenie znane tylko tym, ktorzy cenia swe zycie podwojnie, poniewaz przed chwila mysleli, ze je utraca. Moje serce wezbralo cieplem, a policzki okryly sie rumiencem, gdy wspomnialam te pierwsza wspolna noc po zwyciestwie, noc, podczas ktorej Kerovan naprawde stal sie mym panem. Chociaz na gorskim zboczu bylo zimno, swiat przepelnilo cieplo naszych cial i dusz... nasz nowy swiat. Arvon...

Naprawde byl to piekny kraj, prawie pod kazdym wzgledem. A jednak tyle znajdowalo sie tutaj starych pulapek, w ktore mozna bylo nieostroznie wpasc. Tego tez nauczylismy sie podczas naszych trzyletnich wedrowek... wedrowek bez konca, gdyz wydawal sie, ze nie istnieje miejsce, ktore moglibysmy nazwac naszym. Chociaz znajdowalismy tymczasowe schronienia u ludzi, takich jak ci prosci i mili rybacy, w moim panu zawsze bylo cos, co nie

dawalo mu spokoju, pchalo naprzod do dalszej wedrowki. Dziecko w moich ramionach poruszylo sie, wzdrygnelam sie przypominajac sobie, gdzie sie znajduje. Niemowle miało zaczerwieniona, pelna napiecia wywołanego porodem buzie. Otworzylo malenkie usteczka i krzyknelo wydajac dzwiek podobny do pisku myszy.

Słońce dotknelo juz swymi promieniami tafli jeziora, barwiac wode ciemna purpura. Podnioslam dziecko do okna, aby promienie mogly dotknac takze tej ciemnej czupryny.

-Tvoj pierwszy wschod slonca, malenki. Podoba ci sie? - Mrugnal na mnie spiaco, najwyrazniej nie byl pod wrazeniem.

-Lady Joisan, Utia sie budzi. - Odwrocilam sie i zobaczylam Zwyie, Madra z rodu Anakue, ktora podawala wlasnie wzmacniajace lekarstwo do bladych ust wyczerpanej matki.

-Jak sie czuje teraz? - powrocilam do poslania kobiety i palcami dotknelam jej szyi. Puls nadal byl przyspieszony, ale mocniejszy.

-Chyba lepiej. Stracila duzo krwi, ale mysle, ze wzmocni sie w ciagu paru dni. Dobrze, ze obie tutaj bylyśmy, lady Joisan, inaczej moglybysmy ja stracic.

Zmeczona skinelam glowa. Byl to porod posladkowy i prawie o miesiac za wczesnie. Pospiesznie zostalam wezwana od jednego z naprawiaczy sieci, ktory przebil sobie reke haczykiem. Zwyie uspokajala wlasnie, Utie i chciala sprawdzic ulozenie dziecka. Musialam dac z siebie wszystko, czego nauczylam sie od mojej ciotki Damy Math a takze wykorzystac sztuke, ktorej nauczylam sie podczas naszych wedrowek - piesnia ukoic wstrzasana bolami porodowymi kobiete. Przez reszte nocy pracowalysmy razem mieszajac ziola i leki spiewajac, wzywajac swieta Genowefe o pomoc i sile dla Utii. I Gunnora byla z nami, gdyz zarowno matka, jak i dziecko przezyli.

Utia otworzyla oczy. Byla zbyt slaba, aby mowic, ale domyslilam sie, czego pragnela.

-Dziecko jest zdrowe, Utio. - Ukleklam na uplecionej z sitowia macie, trzymajac dziecko tak, aby mogla zobaczyc jego malenka pomarszczona buzie. - Macie z Raneyem wspanialego syna.

Blade usta kobiety usmiechnely sie lagodnie, gdy z wysilkiem podniosla reke i dotknela ciemnych, kreconych wlosow dziecka. Istnialo tutaj ukryte uczucie, ktore obudzilo we mnie dziwna tesknote, podobna do bolu. Moje ramiona byly puste nie tylko dlatego, ze oddalam jej dziecko.

-Zostaw ich teraz w spokoju, pani. - Obok mnie stala Zwyie. Nie slyszalam, jak weszla. - Ty tez musisz odpoczac... pozywic sie...

Podeszlam do stolu na zdretwialych nogach i przelknelam kilka lyzek jedzenia. Nagle odczulam pelny ciezar calonocnej pracy. Staralam sie nie osunac i nie zasnac z glowa

wsparta o deski stołu. Poranne słońce stało już wysoko, jego światło drzało na powierzchni wody. Za drzwiami widac było jasną panoramę całego Anakue. Słupy z umocowanymi na nich drewnianymi domami, pajecze mosty łączące je między sobą... wszystkie, z wyjątkiem jednego, stojącego trochę na boku. Ten dom był tradycyjnie przeznaczony dla wioskowej Madrej Kobiety. Zanim ja i Kerovan nie przybyliśmy do Anakue - prawie przed rokiem - Zwyie mieszkała tam sama. Dala nam mieszkanie na poddaszu. Pokój był mały, ale po miesiacach wędrowki, mieszkania pod gołym niebem w każdą pogodę, po otrzymywaniu noclegu lub posiłku gdziekolwiek i u kogokolwiek, w zamian za nasze umiejętności - był to nasz pierwszy prawdziwy dom, jaki miałam od chwili, gdy Ogary z Alizonu zaatakowały teraz zniszczone mury Ithkrypt. Tesknie marzyłam o zbudowaniu naszego własnego domu nad brzegiem jeziora, w pobliżu wędzarni, gdzie przynoszono codzienne połowy. Gdyby tylko mój pan...

-Jak on się czuje, lady Joisan? - Zwyie jak gdyby czytała w moich myślach, chociaż nie było między nami prawdziwej łączności telepatycznej, takiej jaka czasami łączyła mnie z moim panem. Mimo to wszyscy ci, którzy pracują w zespole z Kunsztem, odczuwają wiele rzeczy niewidzialnych dla dotyku, węchu i smaku. A Zwyie i ja stałyśmy się sobie bliskie - myślałam o niej jak o starszej siostrze, chociaż nigdy jej nie miałam...

Spojrzałam w górę, w jej ciemnobłękitne piękne oczy otoczone długimi rzęsami. Była to jedyna piękna rzecz w jej szerokiej i nieładnej twarzy.

-Sny... przychodzą coraz częściej, wtedy... budzi się, jest... zachmurzony... rysy zmieniają się mu trochę, zupełnie jak gdyby ktoś inny w nim nagle zamieszkał...

-Zachmurzony? Czy myślisz o Ciemności?

-Nie wydaje mi się... nie! Nie jest aż tak przeklęty, ale po tych snach nie chce mówić o tym, co go gnębi. Jego umysł także jest dla mnie zamknięty. Za każdym razem, gdy się budzi, szuka broni, czyści ją, smaruje, poleruje... jak gdyby to, co nachodzi go podczas snu, można było zwyciężyć stała...

-Stal... zimne żelazo jest ochroną przeciw niektórym formom Cienia. Tutejszy kraj kryje wielu, którzy czczą Ciemności. Dlatego właśnie Anakue jest otoczone wodą - to także ochrona, ponieważ zło nie może jej przebyć.

-Tak, wiem o tym. Nadal wierze w jego talizman, te bransolety stworzone przez ludzi Starej Rasy. Nadal nie sygnalizuje Cienia. A mój pierścien także nie uległ żadnej przemianie.

Spojrzałam w dół na pierścien w kształcie głowy kota, który znalazłam w zamku niegdyś zamieszkiwanym przez ludzi Starej Rasy, tych - których byłam pewna, że stali po stronie Światła. Na powierzchni pierścienia zabłysły tęczowe kolory, gdy w glebi kryształu odbił się rozwozłoty odblask wschodzącego słońca.

-Zawsze patrz na ten pierścien, pani. Dopóki będzie żywy, wszystko jest w porządku, ale

można mieć powody do obaw, że jest inaczej.

Madra wyjęła zza paska malenki woreczek zrobiony z wysuszonej, pociemniałej od długiego używania rybiej skóry.

-Już bardzo dawno tego nie robiłam, ale... włoż palec wskazujący i zamieszaj.

Zdziwiona, ostrożnie wsunęłam palec do woreczka. Wewnątrz poczułam wiele malenkich ostrych rzeczy. Zamieszałam je i po czułam, jak jedna z nich mnie ukluła. Szybko wyciągnęłam rękę, na której widoczna była kropla krwi.

-Bardzo dobrze, krew zawsze wzmacnia zamawianie. Teraz...

Zwyje wysypała zawartość woreczka na stół. Na posypanej piaskiem powierzchni rozsypały się malenkie rybie ości. Madra przyjrzała się układowi, a potem zaczęła mówić, jak gdyby recytowała piosenkę. Głos był tak cichy, że musiałam się dobrze wsłuchać, aby ją zrozumieć.

-...Od góry rozpostiera się Mrok... stała się Ciemność związana starym czarem. Będziesz podróżowała i odnajdziesz siedzibę odwiecznej mądrości, siedzibę odwiecznego zła... to, co teraz jest dwojgiem, stanie się trojgiem... a potem zamieni się w szóstą, aby stawić czoło temu, co nie pochodzi z ziemi... sięgnij w głąb siebie, a potem od siebie -już dla uzyskania siły... - Głos Zwyje zamilkł, teraz patrzyła na mnie uważnie. - Strzeż się, lady Joisan. Twoja przyszłość prowadzi przez Cień, nic więcej jasno nie widzę. Ale wiem jedno - idziesz śladem wielkiego niebezpieczeństwa.

-Bede uważała - odpowiedziałam pragnąc prawie, aby nie zaglądała w moją przyszłość. Wiedziałam jednak, że chciała dobrze. Co jest lepsze? Ostrzeżenie o niebezpieczeństwie i w pełni świadome trwanie w jego cieniu czy też droga na ślepo, spokój w słonecznym blasku tak długo, dopóki jeszcze trwa? Za nami odezwał się płacz dziecka.

Podeszłam do niemowlęcia i przytulilam je.

-Cicho, malenki.

-Przytrzymaj je, lady Joisan. Damy mu teraz błogosławieństwo.

-Zwyje sięgnęła do worka z ziołami i wyciągnęła dwie uschłe liściaste gałązki. Zapaliła białą świecę i zaczęła cicho recytować, kilkakrotnie przesunęła gałązki przez dym. Następnie skinęła na mnie.

Położyłam dziecko na stole i przytrzymałam, żeby się nie zsunęło.

Madra potarła malenkie stopy dziecka kruchymi gałązkami dzięglu i werbeny i razem wyrecytowałyśmy rytualne słowa:

-Gunnoro, Pani, która chronisz kobiety i niewinne zrodzone z kobiet, czuwał nad tym dzieckiem. Nie pozwól mu wejść w Cień, pozwól mu raczej zawsze i wszędzie kroczyć w Światłości. Na koncu potarła czoło dziecka. - Pozwól, aby jego umysł pozostał czysty i niczym nie skażony, udziel mu siły woli, by umiał powiedzieć "nie". Każdej myśli zrodzonej z Ciemności. Przerwała, a potem obie kolejno powtórzyłyśmy: - Niech tak będzie zawsze, według Twojej woli.

Odniosłam dziecko do matki, która obudziła się i wyglądała znacznie lepiej.

-Utia - uniosłam przed nią dziecko według zwyczaju jej ludzi, tak jak nauczyła mnie tego Zwyie - to twój dobry syn. Spójrz na niego i nadaj mu takie imię, dzięki któremu dobrze ułoży się jego życie.

Gdy Utia z wielką czułością patrzyła na dziecko, pojawił się we mnie ten ból, któremu nie mogłam nadać nazwy.

-Będzie się nazywał Acar - wyszeptala.

Ułożyłam Acara bezpiecznie obok jego matki i w tej chwili na drabinie pomostu zabrzmiały kroki. Przyszedł mąż Utii, Raney, i jej siostra Thalma. Ponieważ Utii był teraz najbardziej potrzebny odpoczynek, opieka i ciepłe słowa rodziny, Zwyie wraz ze mną wyszła. Doleciało nas jeszcze niewyraźne podziękowanie Raneya. Mała łódź zakolysała się gwałtownie, a potem poddała naszym wiosłom, kierując się w kierunku domu Madrej. Zmęczone siedzieliśmy obok siebie w milczeniu. Z chłodem w sercu wspominałam straszną przepowiednię Zwyie.

-Patrzyłam, jak trzymasz dziecko - powiedziała nagle Zwyie. Jest w tobie pustka, moja pani, i nic w tym dziwnego. Chodź jutro ze mną do świątyni Gunnory i poproś ją o dziecko.

-Nie mogę tego zrobić - patrzyłam spokojnie na przybliżający się kamienny słup, który podtrzymywał nasze tymczasowe mieszkanie.

-Dlaczego?

Stwierdziłam, że nie mogę patrzeć prosto na Zwyie.

-To z... powodu mego pana.

-Dlaczego, Joisan? - jej głos brzmiał jak wyzwanie. - Jest przecież mężczyzna, to oczywiste dla każdego. Jego... różnice nie sprawiają przecież, że nie może - spuściła nagle oczy i przerwała w poszukiwaniu odpowiednich słów.

Uśmiechnęłam się do niej z przymusem. - Nie, to zupełnie nie to, siostrze. Mój pan jest rzeczywiście mężczyzną, pomimo tych... różnic, jak je nazwałaś, bardzo lubię na niego patrzeć. - Wzięłam głęboki oddech i zanurzyłam wiosło w szarozielonej wodzie. Mówię o

pewnym niepokojem, który go gnebił od czasu do czasu podczas naszych wędrowek po Krainie Arvonu. Teraz pojawił się znowu mocniejszy niż kiedykolwiek przedtem. Boję się, sama nie wiem czego...

-Ten niepokój powoduje barierę pomiędzy wami?

-To nie moja wina. Tylko Kerovan obawia się, że wiem, chociaż o tym nie mówi, i ten strach powoduje...jego wewnętrzne rozdarcie.

Zwykłe spojrzała na mnie szybko i rozumnie. Zrozumiałam, że wiedziała to, czego nie potrafiłam głośno powiedzieć - że mój pan nie był dla mnie mężem od ponad miesiąca.

W gardle poczułam znajomy bolesny skurcz. Każdej nocy albo udawał, że śpi, albo wymyślał coraz mniej prawdopodobne powody, żeby się oddalić. Chciałam zapytać dlaczego, ale kilka prób poruszenia tematu spowodowało tylko bolesne milczenie; wewnętrzna świadomość, że moje pytania zraniły go w jakiś niezrozumiały dla mnie sposób.

Gdyby tylko... ręce zacisnęły się na wygładzonym dotykami dłoni drzewcu wiosła, gdy wspominałam ostatni raz, kiedy byliśmy tak blisko, serce przy sercu. Obudziłam się wówczas wczesnym rankiem i stwierdziłam, że rzuca się niespokojnie we śnie, na twarzy widoczna była owa "innosc" oznaczająca, tego byłam pewna, przesłanie z innego miejsca... ale od kogo... lub czego?

Z bijącym niespokojnie sercem, obawiając się, czy jego duch i umysł będzie chciał powrócić z miejsca, gdzie zabrała go "innosc", obudziłam go potrząsając lekko. Jego oczy - te oczy, dzięki którym nazwałam go przy naszym pierwszym spotkaniu lordem Amber otworzyły się i spojrzały na mnie.

-Kerovan? - w imieniu zabrzmiało pytanie; wydawało mi się, że "innosc" nadal przesyła jego rysy.

-Moja pani? - Uśmiechnął się do mnie w sposób, który spowodował nagle przyspieszenie pulsu. Nigdy przedtem tak na mnie nie patrzył... zawsze był niesmiały, nie dowierzający własnym siłom. Przed naszym prawdziwym małżeństwem patrzył nieufnie na wszystkie kobiety. Było to spowodowane okrutnym odrzuceniem przez matkę, a potem jej zdradą. Chociaż starałam się być z nim blisko, zawsze czułam w sobie bolesną świadomość, że pomimo naszej fizycznej bliskości jakaś wewnętrzna cząstka wciąż pozostawała niedostępna.

-Czy dobrze się czujesz? - dotknęłam jego ramienia i poczułam ciepło opalonej na brąz skory, miękkich włosów i uspokoiłam się pod wpływem ich realnego dotyku.

W odpowiedzi otoczył mnie ramieniem i przyciągnął do siebie, całując. Tym razem nie było między nami minionych obaw ani nienawisci - była jedynie płonąca żywa miłość.

Lodz uderzyła mocno o nabrzeze malenkiego, zbudowanego wokół domu portu. Wstrzas wyrwał mnie z marzeń. Zwyie wzięła torbę z ziołami, ja zrobiłam podobnie. Zmęczona do granic możliwości, wdrapałam się za nią po szczeblach drabiny. Usiadliśmy na ławce w kuchni i pomogliśmy sobie nawzajem zdjąć długie, obcisłe, wykonane z rybiej skóry buty. Kobiety z Anakue ubierały się tak, jak mężczyźni - z wyjątkiem dni świątecznych.

One także brały udział w polowach.

W samych ponczochach weszłam na poddasze, gdzie mieszkaliśmy. Kerovan spał mocno. Jeden rzut oka powiedział, że znowu opanował go niepokój. Kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy, myślałam, że należy do rodu Starej Rasy, tych istot podobnych do ludzi potrafiących kontrolować takie Sily i Moce Krainy Dales, które my mogliśmy zaledwie wyczuć. Teraz, z mokrymi od potu włosami, jego podobieństwo do przedstawianych w starych kapliczkach i świątyniach twarzy było jeszcze większe. Ta długa owalna twarz, ostra broda... Gdy pochyliliłam się nad nim z obawą, że po przebudzeniu to może być zupełnie ktoś inny, Kerovan otworzył oczy.

Odwążyłam się w nie spojrzeć, ale nawet nie zwrócił na mnie uwagi. Miękkim ruchem wytrenowanego wojownika wstał z łóżka i sięgnął po spodnie. Wciągnął je, a potem narzucił spodni kaftan.

Wszystkie jego ruchy były szybkie, jak gdyby wzywano go na posterunek wartowniczy. Następnie odrzucił na bok pokrywę skrzyni, w której trzymaliśmy nasze rzeczy, i założył pikowaną koszulę. Później glucho zadzwieczał pancerz.

-Kerowanie, co się dzieje? - podeszłam do niego w chwili, gdy kciukiem wypróbował ostryść szyletu. Skinał głową z aprobatą na widok cienkiej niby włosów, krwawej linii. Zachowywał się tak, jak gdyby nie słyszał żadnego pytania.

Nasze miecze i pasy zostały rzucone ze szczeniakiem, który odbił się echem od drewnianej podłogi. Następnie wyciągnął mój pancerz.

-Moj panie! - położyłam dłoń na jego ramieniu i potrząsnęłam. Co czynisz? Nie ma przecież walki...

Odwrócił się do mnie z rozjaśnionym wzrokiem. - Ach, Joisan! Już się obawiałem, że będę musiał wysłać Zwyie na poszukiwanie ciebie, a tak mało mamy czasu. Masz - rzucił mój puklerz, a na wierzchu położył bezładny stos z pikowanej koszuli, butów i miecza.

-Naloz je! - powiedział ostro, widząc moje wahanie, a następnie odwrócił się i wyciągnął swój worek podróżny. Potem mój. Bez jednego spojrzenia w moją stronę zaczął je ładować szybkimi, pewnymi ruchami osoby, która spędziła życie w drodze.

-Ależ, Kerowanie, dlaczego? - Pomimo opanowania w moim głosie zabrzmiał gniew. Opuszczałam ramiona i pozwoliłam rzeczom osunąć się na podłogę.

-Odchodzimy - spojrzal na mnie, jak gdybym byla niespelna rozumu. - Musimy isc dzisiaj. Szybko - powiedzial i z powrotem zajal sie zaciaganiem rzemieni worka.

-Dlaczego?

Nie zwrocil na mnie wiecej uwagi. Patrzylam na niego rozumiejac, ze jesli nie przygotuje sie do wyruszenia z nim, moze pozostac sama. Juz raz, przed nasza walka z Galkurem, poszedl naprzod sam, nie ogladajac sie za siebie; byl powodowany strachem, jaki odczuwal z powodu mojej bliskosci. Teraz ponownie cos pchalo go do przodu i w jego umysle nie bylo nic, z wyjatkiem checi uciezki lub - dotarcia...

Niechetnie przebralam sie w moje podrozne rzeczy, skorzane spodnie i buty, pikowana spodnia koszule, potem welniana koszule i w koncu pancierz. Byl twardy i ciezko lezal na moich ramionach. Jego ciezar wyraznie przypominal o strachu i glodzie oraz zimnie, tych wiecznie obecnych towarzyszach wojny. Po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna zastanowilam sie przez chwile, jak zakonczyla sie walka pomiedzy Hallackiem i najezdzcami ze wschodniego morza.

Na dlugo zanim skonczylam przygotowania, moj pan spakowal nasze rzeczy i zaczal przechadzac sie niespokojnie. Slyszalam chrobot i stukot jego kopyt na twardych drewnianych szczeblach drabiny, gdy schodzil w dol. Rzucilam ostatnie teskne spojrzenie na "nasz dom" i poprawilam narzute na poslaniu. Potem z sercem ciezszy od mego pancierza zeslam za nim.

Slyszalam glos Zwyie, dobiegajacy z kuchni. - Co sie dzieje, Kerovanie? Gdzie jest twoja pani?

-Tutaj - odpowiedzialam. - Odchodzimy z Anakue. Jezeli mozesz, przekaz nasze pozegnanie i dobre zyczenia swoim ludziom. Dzieki za twoja dobroc, Zwyie.

Dlaczego? Pytanie odbilo sie echem w moim umysle. Zwyie nie powiedziala tego glosno. Wzruszylam ramionami za plecami Kerovana.

-Jedynie, co moze zrobic, to wyslac was z pelnymi zoladkami! Tak dlugo z pewnoscia mozesz pozostac, panie!

Na dzwiek ostrego glosu Zwyie moj pan skinal glowa. Bylo mi za niego wstyd, chociaz nie wierzylam, aby zrozumial swoja nieuprzejmosc. Zwyie zapakowala szybko wedzona rybe, chleb podrozny i suszone owoce. Chwile pozniej wepchnela pozywienie do mojego worka i pomogla zalozyc go na plecy.

-Idz z blogoslawienstwem Gunnory i jej pomoca, pani.

Wsunela mi cos do reki. Spojrzalam i zobaczylam amulet Gunnory, wyrzezbiony zloty snop zboza, oplatany ciezka od dojrzalych owocow winorosla. Lzy prawie mnie oslepily, gdy

niezdarnie wkładalam przez glowe skorzany rzemien, na ktorym amulet byl zawieszony.

-Dziekuje ci, siostro. - Nakreslilam pomiedzy nami symbol blogoslawienstwa. Oczy Zwyie rozszerzyly sie ze zdumienia, gdy moje palce przez chwile pozostawily w porannym powietrzu delikatny zielonoblekitny slad.

-Wiele sie nauczylas, pani. Pamietaj, ufaj temu, co jest w tobie, bardziej niz temu, co sie wydaje.

-Joisan!

Kerovan byl juz w lodzi, wlosy rozwiewal mu niespokojny wiatr, jak gdyby chcial odzwierciedlic przepelniajacy nas pospiech.

Cicho zeslam po drabinie i usiadlam. Nasze wiosla zgodnie dotknely wody. Lodz skierowala sie ku brzegowi. Kerovan byl zwrocony twarza na poludnie, a potem na zachod, nie obejrzal sie ani razu. Tak jak gdyby dla niego wioska - ci, ktorzy nas przyjeli, przestali w ogole istniec.

Aleja patrzylam przez ramie za zmniejszajaca sie masywna sylwetka Zwyie i z trudem powstrzymywalam lzy.

Rozdzial 2 - Kerovan

Nieodparty zew z gor trwal teraz nieprzerwanie, wiecznie istniejacy glos syreni wolal mnie na polnoc i wschod. Od chwili wejscia do Krainy Arvonu bylem wiezniem tego wolania. W kraju tym istoty, o ktorych szeptalo sie tylko w ciemnosciach w High Hallack, uzyskiwaly trwala forme i przerazajaca realnosc. Czasem wolanie bylo tak silne, ze wystepowalo we snie i po przebudzeniu. Od czasu do czasu mialem troche wytchnienia, gdy nacisk uciszal sie na pare miesiecy. Moglem wiec ukryc sekret przed Joisan i miec nadzieje - jak bardzo mialem nadzieje! - ze w koncu odzyskam wolnosc.

Teraz moglem jedynie wedrowac, walczac z sila, ktora zmuszala mnie do odwrotu, do dotarcia do tych ciemnych gor, gdzie czekalo - co?

To, ze Joisan wiedziala o moim niepokoju, zwiekszalo tylko ciezar. Wielokrotnie chcialem jej to powiedziec i jednoczesnie ze wszystkich sil musialem walczyć, aby ukryc to, co, jak sie obawialem, bylo wezwaniem Ciemnosci. Nie opuszczala mnie mysl, ze Galkur, odrazajacy dla mnie pod kazdym wzgledem, do ktorego jednak czulem przewrotne przywiazanie, odzyskal swoja Moc i staral sie mnie do siebie przyciagnac. Chcial torturowac mnie w snach i podporzadkowac sobie.

Mialem nadzieje, ze On z Ciemnosci zostal zwyciezony, pochloniety przez zlo powstale z calej jego natury. A gdyby tak bylo inaczej? Gdyby nadal czail sie w tych gorach, chcac znowu zwabic mnie swoimi roszczeniami? Moze bledem bylo odrzucenie pomocy Landisla,

pragnienia posiadania tylko takiego dziedzictwa, jakie można otrzymać poprzez naturalne narodziny. Bez tego, jaka miałem ochronę przed okrutnymi czarami?

Co było teraz moja prawdziwa broń? Tylko ta bransoleta ludzi Starej Rasy, która przyniosłem z Krainy Dales, i mały kawałek błękitnego kamienia-metalu, które Landisi nazwał quan-stal. Było to niczym w porównaniu z Moca Adepta, będącego już daleko na Ścieżce-Z-Lewej-Strony.

Obok mnie potknęła się o kamień Joisan. Wyrwany z trzesawiska okropnych przewidywań, złapałem ją za rękę i podtrzymałem.

-Czy dobrze się czujesz? - Głos zabrzmiał szorstko nawet w moich uszach. Spojrzała na mnie. Na jej twarzy ściągniętej zmęczeniem oczy wyglądały niczym dwie przygasnione iskry otoczone ciemnymi kołami, a szeroko zarysowane usta były mocno zacisnięte.

-Dobrze, chociaż przydałaby się chwila odpoczynku. Kerowanie, wydaje mi się, że idziemy od wieków.

Spojrzałem na słońce chylące się ku zachodowi. Wyszliśmy z Anakue wczesnym rankiem. Jak można było tak zapomnieć o czasie. Zatrzymałem się i spojrzałem na przebyty szlak.

Anakue leżało pośrodku ogromnego jeziora, jednego z wielu jemu podobnych. Były to otoczone zielonymi łakami otwarte przestrzenie wodne. Wyteżając wzrok, ledwo mogłem dojrzec ich daleki, otoczony ciemną zielenią łak, błękitny blask. Rzeczywiście daleko zaszliśmy.

Joisan przykleknęła, szukając czegoś w plecaku. Wyjęła manierkę z wodą i napiła się licząc łyki. Przykucnąłem obok niej. W milczeniu podzieliliśmy się chlebem podróżnym i kilkoma garściami suszonych owoców. Po raz pierwszy od momentu rozpoczęcia podróży byłem na tyle przytomny, aby obejrzeć szlak okiem wytrenowanego zwiadowcy.

Wchodziliśmy na długi, wznoszący się powoli stok. Nie byliśmy na żadnej ścieżce. Do tej pory było to łatwe. Pod stopami rosły kępy brzozy po zimie trawy. Na takiej wysokości wiosna nie była jeszcze w takim rozkwicie, jak w Anakue. Chmury nad głową ciemniały, zapowiadając burzę. Nad nami przefrunęły ptaki, zawisły przez chwilę na tle jasnobłękitnego nieba. Były prawie zupełnie czarne, tylko konce skrzydeł zabarwione miały mieniące jaskrawym fioletem. Chociaż nigdy przedtem nie widziałem takich ptaków, wyczułem, że były to po prostu ptaki - a nie szpiegujący nas śludzy Cienia.

Wyparowała ze mnie część napięcia, zmniejszyła się władza "zewu". Południowo-wschodnie pasmo gór, których się tak obawiałem, prawie zniknęło za horyzontem. Pojawiła się nadzieja - może w końcu ucieknę przed wezwaniem? A może była to tylko chwila odpoczynku?

Kiedy ostatni raz byłem tylko Kerovanem? Osoba nie gniebiona przez inne uczucia, z

wyjątkiem tych, jakich zwykle doznają mężczyźni? Powróciło wyraźne wspomnienie. Zaczarowałem się i niezdarnie zacząłem grzebać w worku podróżnym. Odwróciłem twarz, aby Joisan nie zauważyła i nie nawiązała ze mną kontaktu myślowego.

Miała bowiem swoje miejsce w moim wspomnieniu. Położyłem się spać jako "mężczyzna" (jeśli ktoś taki jak ja może się tak nazywać). - Potem obudziłem się w środku nocy, panowała we mnie ta podniecająca, pozadająca "innosc" - byłem wolny, bez żadnych więzów. Jakaś moja wewnętrzna część, do tej pory zawsze związana i ograniczona, została wyzwolona z łańcuchów.

Joisan też tam była, włosy miała rozpuszczone, a piersi rysowały się pod cienkim materiałem koszuli. A potem - na wspomnienie tej chwili zacisnąłem gwałtownie ręce na materiale worka. Dalej wspomnienie było niejasne, jak gdyby przesłonięte gestem dymem lub mgłą. Nie mogłem jednak zaprzeczyć, że moje ręce odszukały jej ciało. Byłem uwolniony przez tego Innego. Tak bardzo bałem się, że był to On z Ciemności. Wziąłem ją tak gwałtownie - moja łagodna pani, jak mogłem cię tak wykorzystać.

Przełknąłem z trudem ślinę. Moje kopyta naznaczyły mnie mianem bestii i tej nocy rzeczywiście byłem bestia. Muszę na zawsze zapamiętać owo pełne wstydu wspomnienie, aby nic takiego się już nigdy nie zdarzyło.

Tak naprawdę od tamtej chwili jeszcze jej nie dotknąłem - bałem się nawet spojrzeć jej w oczy, aby nie wyczytać w nich usprawiedliwionego wstretu.

Gdyby Joisan odwróciła się ode mnie, co by mi pozostało? Wiele razy myślałem, że zacząłem mówić o tym wszystkim, co nas dzieliło. Chociaż tak bardzo się starałem, nigdy nie mogłem zmusić się do szczerości. Joisan zawsze akceptowała moje fizyczne różnice, udając, że jej się podobam, dzieliła ze mną bez słowa skargi liczne kłopoty i trudy wędrowki, zawsze pozostając moją a jedyną pociechą i przyjacielem.

A jednak nasze wspólne przebywanie nie mogło być dla niej takie łatwe. Była taka piękna. Zerwnąłem na nią ukradkiem. Pomimo wyraźnie widocznego zmęczenia każdy uznałby, że jest piękna. Miała takie cudowne rudobrazowe włosy, błękitnozielone oczy, takie delikatne, a jednak zaokrąglone ciało.

Wielokrotnie podczas naszych wędrowek widziałem, z jakim uznaniem patrzyli na nią mężczyźni, wydawało mi się, że widzę ich zdziwienie, iż podróżuje z kimś takim jak ja. Po wszystkich problemach, jakim musiała stawić czoło i które musiała przetrwać, ktoż mógł się domyslić, jaki czyn może się okazać ponad siły jej walecznej natury.

-Zastanawiam się, jak się czuje Acar? - jej słowa wyrwały mnie z zamyslenia, którego nigdy nie mogłem całkowicie zahamować.

-Acar? - Imię nic mi nie mówiło, a jednak na ustach miała łagodny uśmiech, który wywołał u mnie nowe, ciepłe, nieznane uczucie.

-Syn Utii i Raneya urodzil sie wczoraj w nocy. Razem z Zwyye przyjelysmy go na swiat, z pomoca Gunnory. To byla ciezka, ale wygrana walka. - Joisan wsparla glowe na uniesionych kolanach i zmeczonym ruchem potarla kark.

Dziecko - jak by to bylo zobaczyc krew ze swojej krwi, kosc z kosci, cos wspolnego? Och, na Sily Swiatlosci, cos tak bardzo wspolnego. Wzdrygnalem sie i iskra ciepla zgasla. Jakie mialem prawo, aby za tym tesknic? Jakie mial znaczenie fakt, ze rybak mial teraz syna, a ja, niegdys dziedzic poteznego pana, nie mialem nadziei na dom, a tym bardziej na dziecko.

Odrzucilem te mysl, rozumiejac w koncu, ze ta kobieta, ktora bez slowa skargi maszerowala przez caly dzien niczym wprawiony w trudach weteran, od dwoch dni w ogole nie spala.

-Wiec nie spalas ostatniej nocy? - z wahaniem, nieporadnie, nie chcac jej urazic dotknieciem, objalem ja ramieniem. - Dlaczego mi nie powiedzialas? I tak juz pora na rozbite obozu. Czy zdolasz dojsc do szczytu? Dalej moze znajdowac sie lepsze miejsce. Uniosla troche glowe i usmiechnela sie z przymusem.

-Oczywiscie, moj panie. Trzy lata temu powiedzialam ci przeciez, ze nie mozesz mnie zostawic. Czy nie udowodnilam mojej obietnicy wiecej razy, niz mozesz zapamietac?

Pomimo jej protestow wzialem oba worki podrozne i wdrapalismy sie na wierzcholek wzniesienia. Stanelismy na grani i popatrzylismy na rozposcierajaca sie wokol kraine.

Przed nami, w odleglosci okolo pol dnia marszu, znajdowaly sie wzniesienia, nie tak jednak wysokie jak te, ktore oddzielaly Kraine Arvonu i High Hallack. Faliste zbocza pokrywaly niewielkie kepy jodel i swierkow, niedaleko pod nami zobaczyłem srebrny blysk strumienia. Wskazalem na zarosla w poblizu strumyka.

-Tam. Jest biezaca woda, drewno na male ognisko - to dobre miejsce.

Slonce juz zaszlo, zanim rozbilismy oboz. Nad glowa, pomiedzy przeplywajacymi chmurami, pojawialy sie i znikaly gwiazdy.

W tej zacisznej, malej kotlinie bylismy zaslonieci przed szalejacym wyzej wiatrem, malenki ogien z odwaga stawal czolo wszystkim ciemnosciom. Na linie przywiazanej do dwoch mlodych drzewek zawiesilem jeden z pokrytych rybia luska kocow z Anakue. Mielismy wiec schronienie w razie deszczu.

Zjedlismy, a potem wsparlem sie o zwiniete poslanie, nie czujac nog. Odzwyczailem sie od podrozy, gdy mieszkalismy w tej rybackiej wiosce. Joisan siegnela po torbe z ziolami i zaczela je przesypywac. Trzymala w dloni wysuszone galazki i cos, co wygladalo jak zwykla szpulka, a potem zaczela recytowac.

-Co robisz, pani? - W ciszy nocnej mój głos zabrzmiał ostrzej, niż chciałem. Nie spojrziała na mnie, ale w położeniu głowy widac było upor i determinację.

-Chcę stworzyć ochronę dla tego miejsca, abysmy mogli spać w spokoju.

-Joisan, dobrze wiesz, że nie chce mieć nic wspólnego z Mocami. Lepiej się tym nie martwić. Nawet jeżeli to, co przywołasz, będzie Światłością, to jedna jego iskra może stać się sygnałem dla zwabienia Ciemności.

-Ziela i czerwona nitka mająca ochronić to miejsce to naprawdę nie są wielkie czary, Kerovanie. - Nie spojrziała na mnie, odłożyła jednak to, co trzymała. Pomiedzy jej brwiami pojawiła się pionowa zmarszczka niezadowolenia, ale nie starała się mnie przekonać.

Zastanowiłem się, ile ze Sztuki zglebiła Joisan przez te lata naszych wędrowek. Kiedy ją spotkałem po raz pierwszy, już wtedy nie była zwyczajną dziewczyną, cechowała ją odwaga i wycucie występujące zazwyczaj u ludzi znacznie starszych.

Wiedziałem jednak, że w pełni należy do rodziny ludzkiej, nie była skazona ta inna krew, jak było to widoczne u mnie... Czy było możliwe, aby ktoś taki mógł nauczyć się posługiwać prawdziwą Mocą? Czy zetknięcie się z siłami nie znanymi do tej pory ludzkości tak ją zmieniło, że teraz rzeczywiście sama mogła panować nad Mocą? Taka myśl mnie zaniepokoiła. Wiedziałem, że Joisan wiele się nauczyła o prostych lekach i ziołach od swojej ciotki Damy Math i od długowiecznej dawnej przełożonej Klasztoru Norstead. Widziałem jak w każdej wiosce i osiedlu, przez które podróżowaliśmy, szukała Madrych Kobiet. Ale nigdy przedtem nie myślałem o mojej pani jak o osobie, która mogłaby utrzymać Moc... wszelkie oznaki jej Mocy zawsze łączyłem z kryształowym Gryfem... a on był teraz dla nas niedostępny. ... znikł podczas naszej walki z Galkurem.

Moje myśli zatoczyły zdradliwe koło i znowu myślałem o tych, którzy tak długo mnie przesładowali. Podniosłem się, aby podsyć ogień. Joisan, która, jak wcześniej myślałem, usnęła, siedziała wyprostowana na posłaniu. W ciemności jej oczy wyglądały niczym czarne smugi na niewyraźnej twarzy. W rosnących płomieniach widziałem jej całkowity bezruch, jak gdyby nasłuchiwała. Kiedy pochyliłem się, aby położyć się obok niej na moim posłaniu, złapała mnie za ramię. Przez rękaw kurtki czułem jej wbijające się w moje ciało paznokcie.

-Nie ruszaj się - jej głos był niczym oddech na moim policzku. Zaniepokojony sygnalem po jej ręce, drugą dłoń położyłem na uchwycie miecza.

-Co się dzieje? - Mój głos był równie cichy jak jej. Poprzez nasze dłonie popłynął do mnie strumień Mocy, obudził we mnie siły, które, jak teraz stwierdziłem, leżały we mnie uspione od czasu naszej walki z Tym z Ciemności. Wydawało mi się, że widzę, jak po zboczu splywa w naszym kierunku cień, ale nie widziałem tego wzrokiem, tylko wyczułem tym nowym odczuciem.

Owa Ciemność była zimna, lodowata i niosła ze sobą smród padliny. W uszach brzmiał

jednostajny skowyt, pod kopytami wyczulem wibracje, ktore wstrzasnely calym moim cialem. Nawet nie wiedzac dlaczego, wysunalem miecz z pochwy i polozylem go na kolanach, tak by lezal pomiedzy nami i tym okropienstwem. A jednak. ... to bylo dziwne, tego cienia tak naprawde tam nie bylo. W myslach zobaczyłem obraz czegos poruszajacego sie gorskimi szlakami, czegos zoltawego, jarzacego sie mdlym blaskiem. To cos bylo przeswietlone jadowitymi blyskawicami czerwieni, jak gdyby karmilo sie krwia - lub czyms gorszym.

Nagle wszystko zniknelo rozwiane podmuchem czystego zachodniego wiatru. Doszedlem do wniosku, ze tak naprawde na zboczu nic nie bylo. To, co zobaczyliśmy, bylo odbiciem lub przeslaniem rzeczy istniejacej bardzo daleko.

-Masz racje, moj panie - Joisan odczytala moja mysl. - Nie wiem jak ani dlaczego, ale to, co teraz zobaczyliśmy, nie jest realne w tym czasie i miejscu. Jest to widmo... czegos.

Ponownie wzdrygnela sie, a ja objalem ja, pragnac przytulic jak najblizej, chronic przed wszystkim. Ale nie mam odwagi, pomyslam gorzko. Nawet siebie nie moglem obronic przed tym, co wzywalo mnie z gor. A to, co widzieliśmy przed chwila, emanowalo z tego samego miejsca. Tego takze bylem pewien.

-Dlaczego nam to pokazano? - zapytalem bardziej przeznaczenia niz jej. Przesladowanie nas przez nowe niebezpieczenstwo bylo niewyobrazalna niesprawiedliwoscia. Szczegolnie wtedy, gdy stare wydawalo sie nie do pokonania.

-Nie wiem. Owa... rzecz przyszla z tamtych gor - Joisan spojrzala na polnocny wschod. - Byc moze pomiedzy szczytami i nami istnieje jakies polaczenie, dzieki ktoremu mozna przekazywac obrazy tego, co sie tam dzieje. Moze byc to takze przyszosc lub ostrzezenie. Kraina Arvonu kryje wiele tajemnic nie znanych w Krainie Dales. - Przygryzla usta, a ja na dzwiek strachu, jaki drgal w jej glosie, i widoku spokojnej odwagi malujacej sie na jej twarzy, objalem mocniej jej ramiona. - Jestem jednak pewna, ze to, co zobaczyliśmy tutaj, to nie tylko nierzeczywisty cien. To, co nawiedzilo gorskie szczyty, gdzie istnieje.

Siedzieliśmy tak przez chwile, ale owej nocy juz nic wiecej nam nie przeszkodzilo. Glowa Joisan z wolna opadla na moje ramie. Zasnela. Przytulilem usta do jej miakkich wlosow, poczulem zapach ziol, w jakich je ostatnio myla.

-Joisan... - tyle chcialem jej powiedziec, a nie moglem... moglem tylko szeptac jej imie.

Kiedy polozylem sie z powrotem na poslaniu, obudzila sie i chciala usiasc.

-Zostan - powiedzialem, naciagajac na nia koc. - Wezme pierwsza warte. Spij, moja pani.

-Dobrze.

A potem slychac bylo juz tylko jej cichy oddech. Siedzialem tak z mieczem w dloni, patrzac

na gwiazdy. Geste chmury przerzedzily sie w dlugie, potargane, znacznie oddalone od siebie pasma i przez chwile bylem wdzieczny, ze nie musialem sie przynajmniej martwic o deszcz.

Chcialem pozwolic Joisan spac i nie mialem zamiaru jej budzic na czuwanie, ale po pewnym czasie musialem wstac i zaczac chodzic po obozowisku, aby nie zasnac. Od dawna nie mialem spokojnej nocy. Dzisiejsza dluga droga takze mnie wyczerpala. Kiedy stwierdzilem, ze zasypiam stojac, postanowilem ja obudzic.

Obudzila sie natychmiast pod lekkim dotknieciem. Prawie nie mialem czasu na polozenie sie na poslaniu i przykrycie, tak szybko ogarnal mnie sen.

Sen... i marzenia senne. Wezwanie powrocilo. We snie bylem lekki jak puch ostu, szybki niczym mysl - wracalem do gor, od ktorych z takim uporem uciekalem na jawie. Znajdowalo sie tam to wszystko, co kiedykolwiek mialem i kiedykolwiek pragnalem, koniec mojej walki... moj dom. Bylem przyciagany, tak jak stal jest przyciagana do magnesu, od razu znalazlem swoj kierunek i cel byl tak blisko - blisko...

W uszach zabrzmial dzwiek, grzmot, jak gdyby wielkie skrzydla uderzaly o moja glowe i ramiona. Ktos mna gwaltownie potrzasal.

-Kerovanie! Obudz sie!

Na wpol przytomny zamrugalem oczyma. Stalem z workiem podroznym w jednej dloni i mieczem w drugiej. Joisan zastawiala mi droge. Nadal trzymala mnie za ramiona.

-Co? - upuscilem worek i schowalem miecz. Swiat zawirowal, potem uspokoil sie i stwierdzilem, ze jestem po drugiej stronie obozowiska i ze chcialem isc pod gore w kierunku, z ktorego wczesniej przyszliśmy. Zew byl we mnie niczym skowyczacy bol. Poczulem na czole krople potu. Z wielkim wysilkiem opanowalem sie, by nie odepchnac mojej pani i nie pobiec dalej.

-Przeszedles przez ogien, Kerovanie. - Drobne dlonie trzymajace moje ramiona zadrzaly, a potem wzmocnily chwyt. Wolalam cie, probowalam zatrzymac, ale przeszedles przez ogien, zanim zdolalam temu zapobiec. Czy jestes poparzony?

Zobaczylem rozrzucone niedopalki drewna i usiadlem na ziemi. Obejrzałem jedno kopyto, ale twarda rogowa substancja nie ucierpiala. Po raz pierwszy powinienem dziekowac losowi, ze nie mialem takich stop, jak inni ludzie.

Joisan przyniosla plonaca glownie i podala mi ja do potrzymania. Ukleknela i siegnela po moja noge.

-Pokaz.

-Nie - nigdy nie pozwalałem jej dotykać moich stóp, powodu tak wielu kłopotów. Twarz płonęła mi ze wstydu na samą myśl o tym.

-Nie czas teraz na głupstwa, mój panie. Siedz spokojnie.

W głosie Joisan brzmiała nuta takiego nakazu, jakiego nigdy wcześniej u niej nie słyszałem - Lord Imgry, Główny Dowódca Armii Krainy Dales, mógłby jej pozazdrościć takiego tonu.

Przytrzymałem galaz, a Joisan obejrzała dokładnie najpierw jedno, a potem drugie kopyto.

-Nie ma żadnych widocznych obrazów.

Usiadła naprzeciw mnie. Wrzuciłem głównie z powrotem i rozejrzałem się wokół. Lekki wietrzyk zapowiadał poranek, chociaż ciemności były nadal nieprzeniknione.

Dobiegł mnie znowu głos Joisan. Nadal tkwiła w nim nuta rozkazu. - A teraz, mój panie, myślę, że powinniśmy porozmawiać. Nie zgadzam się na dalsze milczenie i unikanie tematu. Nadszedł czas prawdy.

Zwilżyłem suche usta.

-Chodzi o to, co się dzisiaj zdarzyło?

-Co się zdarzyło tej nocy, poprzedniej i przez te wszystkie noce, odkąd weszliśmy do tej krainy, Kerowanie. Co cie tak gnębi?

Przelknąłem ślinę, istniejące dotąd opanowanie zniknęło bezpowrotnie. A potem głosem, którego nie mogłem poznać, opowiedziałem jej o wezwaniu z gór, jak rosło i małało, i o tym, od kogo, jak się obawiałem, pochodziło. Słuchała uważnie, a gdy skończyłem, siedziała zamysłona przez kilka chwil. Wydawało mi się, że przemówiła po bardzo długim czasie. - Nie mogę udawać, że rozumiem wszystko, co się tu wydarzyło. Jest tutaj Moc, ale nie czuje w niej chłodu Cienia. Może to jednak nic nie oznaczać, być może jest on lepiej zamaskowany, niż mogą to wyczuć moje ograniczone umiejętności. - Gdzieś daleko w ciemnościach nocy coś krzyknęło, prawdopodobnie była to sowa. Joisan mówiła dalej. - Ale wiem jedno. Nie możemy nadal zachowywać się tak, jak dotychczas.

Serce we mnie zamarło, nagle samo oddychanie stało się bólem. Staralem się mówić spokojnym głosem.

-Wrocisz więc do Anakue - sama? Nie mogę cię winić, Joisan. Pozwól mi tylko siebie odprowadzić. Te ziemie są niebezpieczne, a ja... Jej słowa były niczym cieciej mieczem.

-Zawsze mi nie dowierzasz, Kerowanie. Co mam uczynić, abys uwierzył? Nie pragnę innego towarzystwa - pragnę tylko ciebie. Nie, ja tylko powiedziałam, że musisz zwalczyć swój strach przed Mocą i korzystać z niej, a także pozwolić, abym cię chroniła w miarę

moich mozliwosci. Bedzie to przedsiwziecie wieksze od wszelkich innych, jakie do tej pory spelnialam, i nie moge byc pewna sukcesu. Ale wiem, ze musze sprobowac, i ty musisz mi w tym pomoc.

Ulga, ze Joisan nie chce ode mnie odejsc, byla tak wielka, ze wewnetrzna nieufnosc do czarow byla w tym momencie czymś niewaznym.

-Dobrze wiec, dziekuje ci za twoja pomoc, pani. I - odetchnałem gęboko - co moge zrobic? - Chociaz nic wiecej nie powiedzialem, musiala wiedziec, o co mi chodzilo.

Joisan ukladala ziola w woreczku, szukajac tych, ktore beda jej potrzebne, mnie wyslala z plonaca glownia do pobliskiego lasku.

-Poszukaj jesionu, Kerowanie. Gdybys go nie znalazl, poszukaj leszczyny. Musze miec dobra rozdzke poswiecona przy ksiezycu. Spojrzala w niebo i zmarszczyla sie. - Pospiesz sie, ksiezycjuz prawie zachodzi.

Zarosla byly mokre od rosy, zarosniete niskimi krzakami, gaszcz, w ktorym potykalem sie i ktory przeklinałem, brnac przez niego z uniesionym luczywem. W koncu zobaczylem waskie liscie i szarawa kore poszukiwanego drzewa i zawolalem Joisan. Przyszla niosac cos w reku.

-Czy ulamac ci galaz? - zapytałem.

-Nie, musze to zrobic sama. - Podeszla i kladac reke na korze powiedziala cicho: - Dobre drzewo, uslysz moja prosbe.

Wolno, z powodu gestych, otaczajacych drzewo zarosli, trzykrotnie obeszla jesion w lewa strone, recytujac przy tym cicho:

-Drzewo jesionu. Dobre drzewo, daruj mi galaz, bym mogla tego, kogo kocham, bronic z twa pomoca. Dobrze wykorzystam twój dar w sluzbie Swiatlosci. Moje dzieki beda z Toba zawsze. O wielkie, wspaniale drzewo.

Skonczyla, ukleknela i odgarnela ziemie nad korzeniami.

-Niech moja ofiara zasili twoja ziemie, abys wzrastalo ciagle silniejsze i wyzsze.

Pochylilem sie i zobaczylem, co zakopywala - byl to kawalek chleba podroznego.

-Nie mozna go przyjac, nie dajac czegos w zamian z wlasnej woli - wyszeptala, zanim zdazylem zapytac.

Joisan stanela na palcach i wyciagnela reke do jednej z krotkich dolnych galezi. Zlamanie bylo czyste, bez wiszacych pasm kory, zupełnie, jak gdyby w odpowiedzi na jej prosbe

drzewo z ochota oddalo czesc siebie.

W drodze do obozowiska Joisan odarla galaz z kory. Patrzylem, jak dokladnie rozcierala na ostrych kamieniach szczypty roznorodnych ziol, a potem uzywala je do oczyszczenia galezi. Nastepnie zebrala odarta kore, zwinela i polozyla na plaskim kamieniu, dodajac do niej jeszcze troche ziol.

-Dziegiel, korzen waleriany, koniczyna i werbena - glosno wymieniala nazwe kazdego wyjmowanego ziela - to ziola chroniace.

Wymieszala garsc ziol, nastepnie wziala w dlonie i wrzucila do przygasajacego ogniska. Potem uklekla i przesunela galezia jesionu siedmiokrotnie przez dym, recytujac przy tym w jezyku, ktorego nie rozpoznałem. Nastepnie wstala, dotknela koncem galezi ziemi, po czym pokropila kilkoma kroplami wody z manierki. Trzymajac galaz w swietle ksiezycy zaczela recytowac.

-O rozdzko jesionowa, uswiecam ciebie dla mnie. Przez cnoty ziemi, powietrza, ognia i wody napelnij sie Moca i pozwol, aby byla to Moc Swiatlosci. - Spojrzala w gore i uniosla obie rece wraz z rozdzka nad glowa. - Gunnoro, Pani Ksiezycowa, wspomagaj i podtrzymuj mnie w tym, co teraz robie. Niech sie zawsze dzieje Twoja wola.

Pozostala bez ruchu przez chwile, a nastepnie odwrocila sie do mnie i powiedziala.

-Musimy sie umyc przed rozpoczeciem.

Poszedlem za nia do strumienia, ktory w slabym swietle pochodni byl tak niewidoczny, ze prawie do niego wpadlem. Joisan uklekla, obmyla rece i twarz. Na jej skinienie zrobilem podobnie. Gorska woda byla tak zimna, ze zaczalem szczekac zebami. W glosie mojej pani zabrzmialo rozbawienie:

-Wedlug prawa oboje powinniśmy sie wykapac, Kerovanie. Ciesz sie, ze nie kazalam ci wejsc calemu i stac nago podczas rytualu!

Kiedy skonczylem, otworzyla mala ampulke i po namaszczeniu siebie jej zawartoscia dotknela pachnacym olejkiem takze mojego czola i nadgarstkow.

-Rozmaryn - to dla ochrony.

Wrocilismy do workow podroznich. Joisan przyjrzała mi sie krytycznie w swietle plonacego luczywa.

-Odloz miecz i noz, Kerovanie.

Szybkim ruchem rozplotla wlosy i rozsypala na ramionach. Odpialem pas z mieczem i wyjalem z pochwy noz, czulem sie tak nagi, jak gdyby kazala mi sie zupelnie rozebrac.

-Czy masz przy sobie jeszcze cos stalowego lub metalowego?

Dotknałem rekoma klamry pasa od moich skorzanych spodni.

-To także - nakazała.

-Miejmy nadzieje - powiedziałem ponuro, czyniac jak powiedziała - ze nie napadna na nas rozbojnicy ani dzikie zwierzeta. Bede pieknie wygladal probujac jedna reka znalezc miecz, a druga usilujac utrzymac w gorze spodnie!

Joisan ukladala jednak wlasnie rozdzke i nie zwrocila uwagi na moje slowa.

-Chodz tutaj, moj panie, gdzie teren jest mniej zarosniety.

Stanalem na wskazanym miejscu i patrzyłem, jak wyjmuje z woreczka wiecej ziol, szpulke nici i kilka swiec. Ustawila je na srodku niewielkiej polanki, a nastepnie narysowala rozdzka kolo wokol nas.

-Nie wychodz poza kolo przed zakonczeniem rytualu, Kerowanie. Gdybys tak uczynil, mogloby dojsc do wielkiego nieszczescia.

W slabym blasku ognia zobaczyłem, ze swiec bylo trzy i ze byly czerwone. Moja pani ustawila je w roznych odleglosciach od granicy kola, rozsypujac po drodze ziola. Na koniec plonaca galazka z ogniska zapalila swiece. Ruchy miala szybkie i pewne, przeczace niepewnosci, o jakiej wczesniej wspominala. Na koniec podeszla do mnie z wyciagnieta reka.

-Bede potrzebowala twojej sily, moj panie. Mocy, ktora jest w tobie. - Chcialem glosno zaprotestowac, ale potrzasnela glowa. Oboje wiemy, ze nosisz w sobie Moc, chociaz trzymasz ja w ukryciu. Potrzebujemy jej teraz.

Wzialesm gleboki oddech i przyjalem jej dlon. Joisan zamknela oczy, potem pochytila sie i dotknela lezacej przed nia rozdzki. Prawie natychmiast rozdzka poruszyla sie i zaczela rysowac w miekkim pyle - wygladalo to tak, jak gdyby sama wybierala powstajacy wzor, a Joisan nie miala w tym najmniejszego udzialu. W ciagu kilku chwil pojawila sie kula, a potem po obu jej stronach ujrzalem rozpostarte skrzydla.

Joisan otworzyla oczy, popatrzyła na narysowany na ziemi symbol i szybko wciagnela oddech.

-Czy nie to wlasnie chcialas narysowac? - zapytalem.

-Nie. Myslalalam o pentagramie'... najczestszym znaku do wzbudzenia Mocy. Ale to... - popatrzyła na symbol. W blasku ogniska zobaczyłem, jak zmarszczyla brwi.

-Co wiesz o tym symbolu?

Walczyłem ze sobą, aby nie okazać strachu. Czy było to coś z Ciemności, coś, co chciało mnie przejąć, tak jak się tego obawiałem od samego początku.

-Już kiedyś go widziałam. Wiem, że to symbol Światłości. Jednak symbol, który widziałam, miał całkowicie rozłożone skrzydła, a te są na wpol rozpostarte.

-Dlaczego przyjął taki kształt?

-Nie wiem... chyba że bez twojej wiedzy, Kerovanie, miała w tym udział twoja Moc.

Zaczęłam zaprzeczać, ale potrzaskała głową. - To nie jest coś, czego mogłabyś być świadoma, mój panie. - Spojrzała jeszcze raz na symbol i skinęła głową. - Każdy fragment czarów tworzy się sam. Ten należy do Światłości i być może posłuży lepiej.

Trzymając przed sobą rozdzkę, zaczęła znowu recytować. Jej głos nasilał się wraz z rytmiczną intonacją piosenki. Słuchałem uważnie, ale nie mogłem rozróżnić słów.

Poczułem mrowienie pomiędzy naszymi dłońmi, dreszcze, które przesuwały się wzdłuż dłoni, a potem wzdłuż nadgarstka i ramienia. Tam, gdzie przeszedł, ciało stawało się nieczule, jak gdybym zbyt długo znajdował się w jednej pozycji. Mrowienie trwało. Patrząc na rękę prawie widziałem, jak siła wychodzi z mojego ciała i przepływa przez Joisan. Jej piosenka stawała się coraz głośniejsza, coraz bardziej władczą.

Z wysiłkiem podniosłem wzrok i rozejrzałem się. Plomienie świec przestały drzeć na lekkim wietrze. Palily się prosto i były jasniejsze. Podczas gdy wokół nas...

Zamrugalem powiekami i nie ruszyłem się z miejsca tylko pod wpływem ostrzegającego nacisku dłoni Joisan.

Wokół nas powietrze delikatnie błyszczało. Było to niebieskozielone światło, które wydobywało się z kółka narysowanego przez moją panią. Wznosiło się wyżej z każdym moim oddechem. Przez moment patrzyłem poprzez ścianę światła, które chwile później było wysoko nad moją głową, odgradzając nas od wszystkiego delikatną promieniującą mgiełką.

Z zadumania wyrwał mnie głos Joisan.

-Niech to, co dziś stworzyłam, chroni i broni mego pana w dzień i w nocy, tak długo jak będzie potrzebne.

Powoli światło zaczęło blednąć. Joisan patrzyła, jak znika, a potem odwróciła się do mnie.

-Jak się czujesz, mój panie?

Tak bardzo zaangażowałem się w obrządek, że zapomniałem, czym został spowodowany.

Odwrocilem sie i popatrzyłem tam, gdzie znajdowały sie wzywajace mnie szczyty.

Nic... pustka, tylko swiadomosc, skad bral sie zew. Nie bylo juz bezposredniego przyciagania.

-Zniknelo - odwrocilem sie do Joisan i z ulga zlapalem ja za ramiona. - Zniknelo, Joisan! - Przyciagnalem j a do siebie i uscisnalem w uniesieniu. - Silne czary dzisiaj stworzylas, moja zono, moja pani! Nigdy nie myslalem, ze mozesz takie wezwac.

Podniosla glowe, jej oczy blyszczaly w swietle ksiezyca.

-Gdybys nie wspomogl mnie swa sila, nigdy by sie nie udalo, Kerowanie. Jakze sie ciesze, ze jestes w koncu wolny.

Jej usta byly miekkie, zyly pod moim dotknieciem, gdy ja calowalem. Odsunalem sie i pomyslam, ze juz dawno nie bylismy jednocia. Ale teraz juz nas nic nie rozdziela. Westchnela gleboko i bezwladnie osunela sie w moich ramionach.

Przerazony podnioslem ja i zanoslem na poslanie. Kiedy ja kladlem, otworzyla oczy i glosem tak cichym, jak gdyby byla bardzo daleko, a nie o pare centymetrow ode mnie, powiedziala:

-Wzywanie i wladanie Moca... to bardzo ciezka praca.

-Czy wszystko w porzadku? - zapytalem.

Zamknela oczy.

-Musze... odpoczac. Zasnac...

Patrzyłem na nia z niepokojem, ale stwierdzilem, ze naprawde usnela. Przykrylem ja kocem i usiadlem obok. Patrzyłem, jak zachodzi ksiezyc, a na wschodzie, w oczekiwaniu prawdziwego brzasku, delikatnie rozowieje niebo.

Joisan obudzila sie poznym rankiem. Wyruszyliśmy po pospiesznym sniadaniu. Czulem sie taki lekki i wolny, nie musiałem juz walczyć z wezwaniem z gor. Ciagnace sie przed nami zbcze bylo najmniej wazna ze wszelkich przeszkod.

Nadal trzymajac sie kierunku poludniowego i zachodniego przeszliśmy przez wzgorza i poznym popoludniem zeszlismy na ogromna trawiasta rownina, rozciagajaca sie tak daleko, jak tylko mozna bylo siegnac wzrokiem.

Nie bylo zadnych sciezek, drog, najmniejszych sladow ludzi, ktorzy mogliby rownina zamieszkiwac - tylko oznaki zycia dzikiej zwierzyny.

Zatrzymalismy sie na odpoczynek. Wlasnie dzielilismy sie suszonymi owocami Madrej

Kobiety, gdy usłyszeliśmy cichy dźwięk. Joisan rozejrzała się wokół.

-Co to było?

Stałem już i patrzyłem na zachód.

-Nie wiem. To w tamtym kierunku - wskazałem.

-Kerowanie, to brzmiało, jakby ktoś cierpiał w bólu.

Zarzuciliśmy worki podróżne i skierowaliśmy się w kierunku linii drzew i gęściejszych zarośli, oznaczających pobliski strumień lub rzekę. W połowie drogi znowu usłyszeliśmy dźwięk. Tym razem był wyraźniejszy. Joisan zaczęła biec.

Zawolałem, żeby uważała, i pobiegłem za nią. Była daleko w przodzie i dogoniłem ją dopiero po pewnym czasie. Prawie na nią wpadłem, gdyż zatrzymała się, patrząc uważnie na leżący przed nią na ziemi ciemny kształt.

Na boku ze wzdętym brzuchem leżał koń. Był tak nieruchomy, iż przez chwilę myślałem, że zdechł. Później błyszczące od potu boki drgnęły, a nogi znowu wierzgnęły.

-To klacz - powiedziała Joisan idąc dalej. - Wygląda, że będzie rodziła.

Podeszliśmy bliżej. Joisan miała rację. Klacz miała bóle porodowe i problemy. Jeżeli wszystko przebiega normalnie, konie zrebia się bardzo szybko. Patrząc jednak na porozrywana dąbninę, zorientowałem się, że musiała walczyć już od pewnego czasu. Była czarnej masy, prawdziwy karos (co jest rzadkością u koni), miała piękną głowę wskazywała, że było to cenne, pełnokrwiste zwierzę.

Moja pani ukleknęła przy głowie.

-Biedna dziewczynka, pozwolisz mi pomóc?

Ogromne, ciemne, pełne bólu oczy klaczy otworzyły się, gdy Joisan pogłaskała jej chrapy i szyję.

-Spokojnie, spokojnie. Kerowanie - spojrzała w górę - zostań z przodu, a ja zobaczę, jak leży zrebie. Nie możemy tracić czasu.

Uspokajając konia, patrzyłem, jak Joisan podwinęła rekaw i szybko sprawdziła ułożenie płodu.

-Podwinęła się jedna z przednich nóg zrebaka i nie mogę jej uwolnić.

Klacz szarpnęła się, mocno przycisnąłem jej łeb do ziemi. Joisan podeszła do mnie wyciągając amulet, który miała pod pancerzem.

-Zaspiewam jej piosenkę, dzięki której zapomni o bólu. Może mi się uda. Ty musisz spróbować uwolnić zrebkę, masz długie ręce i jesteś silniejszy. Czy już kiedyś robiłeś coś podobnego?

-Jako chłopiec chodziłem z Madrym Riwałem, on opiekował się zwierzętami rolnymi. Razy czy dwa widziałem, jak coś takiego robił.

-Nawet niewielka znajomość musi wystarczyć. Wsun dłoń w kierunku brzucha i znajdź przednią nogę. Podciągnij ją tak, żeby leżała obok drugiej.

Sciągnąłem pancerz i rozebrałem się do pasa. Joisan zaczęła śpiewać. Kiedy klacz zamknęła oczy, skinęła na mnie.

Był to trudny wyczyn, musiałem prawie leżeć twarzą na ziemi. Każdy skurcz porodowy gniołł moją rękę, ale powoli posuwałem się podczas każdej przerwy pomiędzy nimi i w końcu dotarłem do przeszkadzającej w porodzie nogi zrebki. Przesunąłem ją w kierunku kanału rodowego i pociągnąłem, czując na wierzchu mojej dłoni dotyk chrup zrebki.

Klacz jęknęła, zadrżała i zrebka wysunęła się nagle, nadal okryta błoną porodową. Joisan uśmiechnęła się do mnie.

-Bardzo dobrze, mój panie. Częściej będę cię zapraszała jako położną.

Rozerwałem białe przezroczyste błony płodowe i zacząłem masować zrebce zębami. Wziął głęboki, przerywany oddech.

Klacz wstała i pozbyła się łóżyska. Zajęty zrebkiem, usłyszałem okrzyk Joisan, gdy klacz położyła się znowu.

-Kierowanie, ona...

Klacz odetchnęła głęboko i ozębła się ponownie! Odsunąłem pierwszego zrebka i razem z Joisan zajęliśmy się drugim, który był o wiele mniejszy, chociaż oba były zrebkami o szarej sierści z ciemniejszymi grzywami, ogonami i nogami. Wkrótce klacz stanęła ponownie i wydalila drugie łóżysko. Joisan także nie się zaopiekowała. Przyniosła wodę ze strumienia i dodała do niej wzmacniające lekarstwo.

Trochę później, rzadko cicho, klacz traciła pyskiem większe zrebki, polizowała je, a potem popchnęła łagodnie, tak aby stanęło na swoich niestabilnych nożkach i zaczęło ssać. Kiedy podniosło się drugie zrebko, klacz położyła po sobie uszy i odpędziła je gryząc złośliwie.

-Będę się, że tak właśnie się stanie - zmarszczyłem brwi, patrząc na odepchniętą klaczkę. - Kiedy rodzi się bliźnięta, zazwyczaj klacz odrzuca jedno - to słabsze i mniejsze.

-Ale... - Joisan pogłaskała małą sierotkę, jeżeli nie zostanie wkrótce nakarmiona, to

umrze...

-Mozemy spróbować wydoić klacz - powiedziałem, wiedząc, że czasami, ale tylko czasami, można było w ten sposób uratować odrzucone młode.

-Co po godzinie? - Joisan przygryzła wargę i obronnym ruchem otoczyła ramieniem szyję zrebiecia. - 1 przez ile dni... tygodni? Mamy niewielkie zapasy, Kerovanie.

-Wiem... Może znajdą się właściciele klaczy. Mogą być lepiej przygotowani do opieki nad zrebakiem. Jeżeli nie... - Wyjąłem noż i spojrzałem na krwawe odbicie promieni zachodzącego słońca w jego ostrzu. - Chyba będzie lepiej jednym cięciem zakończyć jego życie, niż być zmuszonym pozostawić go w cierpieniu.

Joisan pokręciła głową. Spojrzała na mnie z powagą.

-Nie rozumiesz, mój panie. Jestem ta, która leczy, przysięgam uprawiać moją Sztukę dla wszystkich, którzy tego potrzebują. Muszę zrobić wszystko, aby uratować to zrebie, nawet jeżeli będzie to oznaczało konieczność pozostania tutaj.

Popatrzyłem na nią, a potem na góry, których nie mogłem już dojrzec, ale które nadal na mnie oczekiwały.

Bezpieczeństwo Joisan -jak długo mogło przetrwać?

-A co się stanie, jeżeli twoje zaklecie się nie utrzyma? Moje wybawienie polega na oddaleniu się od tych gór...

-Wiem - spojrzała na mnie. - Nie mogę jednak pozwolić, aby zginęła! Kerovanie, ja składałam przysięgę uleczenia. Okrzyk Joisan był tak gwałtowny, że zrebiatko drgnęło.

-Ale... - wykonałem bezsilny gest, a potem poglaskalem poskreczana grzywe. - Wiem, że to trudne, lecz nie widzę innego rozwiązania jak odejść bez ciebie.

Rozdział 3 - Joisan

Musi być jakiś sposób! - z rozpaczą spojrzałam na czarną klacz spokojnie lizającą swoje pierwsze zrebie, podczas gdy moje ręce gładziły pysk jej drugiego dziecka. Zrebie złapało mnie za palec bezzębnymi dziąslami i spróbowało ssac. Popatrzyłam w bursztynowe oczy Kerovana. Zniknęło chłodne oddalenie, które było w nich, gdy walczył z wezwaniem z gór.

Zamiast tego widoczny był taki smutek, że szybko położyłam na jego ramieniu pocieszającą dłoń.

Wiedziałam, że zawsze czułem się bliższy zwierzętom niż własnej rasie, gdyż zwierzęta nie oceniają wyglądu, ale to, co jest w głębi duszy. Nieszczęście zrebiecia bardzo go poruszyło.

Te bursztynowe oczy... przyciągały mnie, ich złoty kolor obudził we mnie pomysł...
bursztyn...

Podniosłam rękę do amuletu Zwyie i mocno zacisnęłam dłoń na dojrzałym, bursztynowym, oplecionym winoroślą snopie zboża. Gunnora!

Odwrociłam się w kierunku klaczy.

-Kerowanie, musimy to malenstwo skropić mlekiem klaczy. Wycisnij trochę na rękę, a potem potrzyj zrebaka.

Zawahałam się, jak gdyby wątpił w słuszność pomysłu, ale spełniłam moją prośbę bez najmniejszego sprzeciwu. Odeszłam trochę na bok, tak aby widzieć klacz, oba leżące teraz zrebaki i mego pana.

Kierujące się na spoczynek słońce przygasło lekko i niebo stało się bursztynowe niczym mój wisior. Nad głową widziałam niewyraźny biały dysk księżyca. Zamknęłam oczy i uniosłam twarz do cienia księżyca, wyobrażając sobie Gunnore tak, jak jest zawsze opisywana (choć nikt jej nie widział oczyma ciała, jako że od wieków była prawdziwym duchem).

Kobieta... dojrzałe ciało, szczupła talia, ciemne włosy i oczy, ubrana w płaszcz w kolorze bursztynu, na szyi amulet podobny do mojego... Skoncentrowałam się na tej wizji, trzymałam się jej z całą mocą, jaką mogłam przywołać. Mówiłam w myślach zwroty nie uformowane, ale płynące z głębi serca.

Gunnoro... ty, która troskasz się o kobiety, nasza podpora w chwili bólu i strachu... ty, która zasilasz zasiane ziarno, która pomagasz dojrzewać plonom... proszę Cię o pomoc, o wzbudzenie i umocnienie uczuć matczyńskich, tak aby nie zginał potrzebujący. Niech się zawsze dzieje Twoja wola...

Przez chwilę liczona uderzeniami serca widziałam przed sobą postać Gunnory, chciałam jej dotknąć... dotknąć.

Na piersiach poczułam ciepło płynące z głębi ciała. Te ciemne oczy nie były już oczyma kobiety, która sobie wyobraziłam, lecz prawdziwe, żywe. Przez długą chwilę patrzyły w moje oczy.

Kontakt zniknął, a ciepło, które było prawie gorącym, nagle złagodniało. Zamrugalam powiekami i spojrzałam wokół. Znowu czułam drapiącą moje łydki ostrą trawę, a po chwili łagodny oddech wiatru na policzku.

Kerovan patrzył na mnie, jego wzrok był skierowany na amulet. Ja także spojrzałam i zobaczyłam, jak pulsuje w rytm uderzeń mojej krwi. Obliznął nerwowo usta.

-Joisan!

-Tak - odpowiedziałam. Co zobaczył przed chwilą, żeby tak na mnie patrzeć?

-Przez chwilę wydawało mi się... - Potrząsnął głową i długimi palcami odsunął z czoła ciemne, niesforne loki (helm odłożył bowiem wraz z puklerzem). - Zupełnie, jak gdyby przez chwilę stał tutaj ktoś jeszcze. Tylko przez sekunde - zbyt krótko, aby się upewnić.

Czarna klacz prychnęła gardłowo. Pochyliła głowę i stanęła nos w nos z odrzuconym zrebkiem. Wstrzymałam oddech, klacz zaczęła lizac swoje drugie dziecko. Na niestabilnych, patykowatych nożkach zrebiatko podeszło do boku matki i zaczęło chciwie ssac, machając przy tym miotłkowatym ogonkiem.

-Dziękuję - wyszeptałam, czując ten absurdalny ucisk w gardle, taki sam, jaki czulam, patrząc na Utie i Acara. - Niech więc zawsze będzie Twoja wola...

Kerovan objął mnie i przez chwilę tak staliśmy - potem ucisk zwiększył się nagle, aż wciągnęłam z bólu oddech.

-Co, Kerowanie? - Teraz ja także słyszałam. Grzmiący tetent kopyt.

Mój pan nadal nie okryty pancerzem odwrócił się i sięgnął po miecz, ustawił się pomiędzy mną i nadjeżdżającymi. Serce biło mi teraz ze strachu, zacisnęłam palce na ostrzu mojego miecza i na wpol wyciągnęłam go z pochwy. Twarde niczym stal palce złapały moje ramie i unieruchomiły.

-Nie, Joisan, jest ich zbyt wielu.

Wszystko we mnie krzyczało, aby użyć broni. Przelknęłam ślinę i jednak schowałam miecz. Kerovan miał rację, musiałam to przyznać. Podziwiałam też jego mądrość i opanowanie, gdy powoli wsunął kciuk za pas i na pozór spokojnie czekał.

W miarę zbliżania się naliczyłam dwudziestu jeźdźców. Wszyscy dosiadali rumaków tej samej rasy co klacz za nami, chociaż miały one męski od szarej aż do białej nakrapianej kasztanowej. Jeźdźcy byli równie barwni.

Przystanęli przed nami w milczeniu. Ze zdumieniem stwierdziłam, że wśród jeźdźców byli mężczyźni i kobiety. Wszyscy jednakowo ubrani w lniane bluzy o szerokich rękawach, ozdobione barwnymi haftami. Spodnie mieli także lniane, utkane z surowego dzikiego lnu, wsunięte w wysokie, miękkie, sznurowane barwionymi rzemieniami buty. Niektórzy mieli narzucone wspaniałe, wzorzyste koce, z dziurą na głowę, co dawało efekt luznej oponczy.

Wszyscy należeli do tej samej rasy-ciemnoskorzy, o ciemnych włosach i oczach, o wystających kościach policzkowych i orlich nosach. Większość miała zaplecione warkocze, kobiety wplotły we włosy kolorowe rzemienie. W promieniach zachodzącego słońca

krwawo, blekitnie i ogniscie zielono blyszczaly miedziane naszyjniki wysadzone nie oszlifowanymi kamieniami. Kazdy jezdziec mial niebezpiecznie zakrzywiona krotka wlocznie. Po chwili wahania przywodca, krzepki wasaty mezczyzna w srednim wieku, stuknal pietami boki wierzchowca i podjechal do mego pana. Wspolny jezyk Krainy Arvonu brzmial w jego ustach ostro i z dziwnym akcentem.

-W jaki sposob tutaj przyszliscie? I po co? Czy snicie o kradziezy koni? - Zakrecil krotkimi palcami i nagle skierowal w naszym kierunku wlocznie. - Wiedziecie, ze ludzie Kioga nie lubia takich jak wy.

Kerovan potrzasnal glowa zaprzeczajaco.

-Nie kradlismy konia, nieslismy pomoc klaczy... i to cennej, sadzac z wygladu.

Przywodca pokazal zeby w twardym uśmiechu.

-To ty tak mowisz, cudzoziemcze, i kazdy tutaj przylapany tak wlasnie by powiedzial. Ale Briata nigdy nie oddalala sie tak daleko od stada, nawet wtedy, kiedy sie zrebila, o ile...

-Obred, spojrz! - Jego slowa przerwal krzyk. Zaskoczona, spojrzalam, o co chodzi. Mloda kobieta, z wplecionymi w dlugie warkocze czerwonymi i zlotymi sznurami, patrzyla szeroko rozwartymi oczyma i wskazywala... na mnie...

Zdumiona spojrzalam za siebie, zastanawiajac sie, co spowodowalo ow okrzyk. Z grupy jezdcow dobiegły mnie szepty i posapywanie.

Przywodca, Obred, dotknal nagle dlonia czola, klaniajac sie tak nisko, ze wasami prawie dotknal grzywy swojego rumaka.

-Wybacz, Cera. Nie wiedzialem, kim jestes. Prosze, wybacz, Madra.

Moj pan takze patrzyl na mnie. Wzrok mial utkwiony na moim pancerzu. Spojrzalam na bursztyn.

Amulet Gunnory juz tak nie blyszczal, ale w promieniach zachodzacego slonca bursztynowy blask rosl i malal w rytm uderzen mego serca. Wzielam drzacy oddech. Kerovan skinawszy lekko glowa nawiazal ze mna kontakt myslowy, wiedzialam wiec, ze w pelni zgadza sie z moja ocena odwroconego juz od nas niebezpieczenstwa.

Zwilzylam suche usta i przemowilam, z wysilkiem hamujac drzenie glosu.

-Dzieki woli Gunnory udalo sie nam pomoc Briacie, ale zarowno ona, jak i jej zrebietka potrzebuja opieki. Moj pan i ja pozostawimy je teraz warn, a sami ruszymy w swoja droge.

-Zrebietka? Dwa? - Oczy Obreda przeszukaly wysoka trawe i zatrzymaly sie na

wyciągnieję we śnie większej zrebicy. To prawdziwy cud. Cera! Blizniaki i oba żywe! Czy Briata oba zaakceptowała?

-Tak, dzięki mojej pani. - W głosie Kerovana była duma tak wielka, że oblalam się rumiencem.

Odwrociłam się po worek podróżny, a Kerovan założył ubranie i pancerz. Obred zsiadł z konia, potrzasając głową.

-Nie odejdziesz. Cera, nie możesz, zanim nie dasz nam szansy, abysmy mogli ci podziękować. Briata jest Klacza Przywódca, bez niej nasze stada straciłyby drogę. Ludzie Kioga potrafią docenić takie przysługi, a ta jest bezcenna. Postaramy się odwdziaczyć.

Kerovan zawahał się, patrząc na niższego mężczyznę, najwyraźniej zastanawiał się, czy przyjąć ofiarowywaną pomoc. Przywódca Kiogów wyciągnął zza pasa sztylet i podał go mojemu panu.

-Przysięgam na noż, że ty i twoja pani zasłużyliście na to, aby wam udzielić pomocy. Mamy tylko nadzieję, że pozostaniecie wystarczająco długo, abysmy mogli zwrócić chociaż część tego długu.

Nastąpił szybki myślowy kontakt z Kerovanem, mimo że jego wzrok nawet na chwilę nie oderwał się od twarzy starszego mężczyzny.

"Czy godzisz się, pani? Wydaje mi się, że mówi prawdę"...

"Też mi się tak wydaje" odpowiedziałam.

Kerovan skinął głową, a następnie klasnął w dłonie i podniósł w górę prawą rękę w geście pozdrowienia wojowników.

-Pozdrowienie dla Domu. Wdzięczność za przywitanie przy bramie. Dziękujemy ci, Obredzie.

Nieco później odjeżdżaliśmy od Briaty i jej zrebiat na dwóch koniach Kiogów. Dwóch ludzi Kioga, których rumaków teraz dosiadałismy, pozostało z Klacza Przywódca, by opiekować się nią do jutra, gdy ona i jej zrebaki będą mogły podróżować.

Słońce rozpuściło się za zachodnim horyzontem w purpurowożółtej powodzi światła, która fioletem zabarwiła dolną warstwę chmur. Obred nadal szybkie tempo mknął przez płaską równinę kawalkadzie. Byłam zadowolona, że ogier, na którym jechałam, miał równy i gładki krok, nie jeździłam konno od czasów opuszczenia High Hallack. Wkrótce w przyzwyczajonych tylko do chodzenia miesiącach zaczęłam odczuwać rwący ból. Miałam nadzieję, że siedziba Kiogów nie znajdowała się zbyt daleko.

-Po wczorajszym marszu stwierdziłem, że się rozhartowałem. Odwróciłam się i zobaczyłam ponury grymas Kerovana. - Dzisiaj jestem tego pewien!

Rozesmiałam się.

-Myślałam dokładnie to samo, mój panie. Jednak w porównaniu z rumakami z High Hallack powinniśmy być szczęśliwi, że siedzimy na takich koniach.

-Sa piękne - zgodził się Kerovan, przeciągając dłoń po błyszczącej szyi konia. - Pełne ognia, wrażliwe na wodzę i dotyk nogi, a jednak łagodne i spokojne.

-Nasze konie są naszym życiem, a my ich - powiedział Obred, odwracając się w siodle. W zapadającym mroku jego twarz była tylko niewyraźna, jasniejsza plama.

-Ludzie Kioga nie istnieliby, gdyby nie szybkość i mądrość naszych rumaków. Dawno temu wyprowadziły nas ze śmierci i zniszczenia do nowego życia, każdy mężczyzna i kobieta jechał na swoim Wybranym, nie mając nic nad to, co mogli unieść konie. Naszym znakiem jest Klacz. - Wskazał dłoń na niebo na południu, gdzie zaczęły się pojawiać pierwsze gwiazdy. - Na wiosnę biega za nią jej Bliznieta.

Sciągnął wodzę koniowi i zniżając głos tak, aby dotarł tylko do naszych uszu, powiedział:

-Jest powiedziane, że gdy Klacz z Bliznietami zejda na ziemię, ludzie Kioga przestaną wędrować - znajdą swój prawdziwy dom.

Pomyślałam o dziwnej Bramie, przez którą przeszliśmy trzy lata temu, by znaleźć się w Krainie Arvonu. Ciekawe, czy "nowe życie" Obreda tego dotyczyło. Ich odmiennosc od ludzi, jakich do tej pory tutaj spotykaliśmy, wskazywała, że nie należeli do tej krainy. Jego opowieść wyjaśniała także natychmiastowe zaakceptowanie mego pana i mnie po zobaczeniu bliźniaczych zrebiat.

Z niepokojem i nadzieją a myślałam o tym, czy "prawdziwy dom", o którym mówili, nie był czymś, co miało się pojawić znikąd... chociaż mogłam zrozumieć ich tęsknotę za własnym miejscem i koncem wędrowania.

Zwalnialiśmy w miarę zapadających ciemności. Pusciliśmy wodzę i pozwoliłam koniowi wybierać drogę, wierzyłam w jego, o wiele bardziej wyczulony od mojego, nocny instynkt.

Kilkakrotnie widziałam, jak Obred jechał naprzód i cicho rozmawiał z przewodnikiem - młodą kobietą, która na mnie wskazała. Domysliłam się, że w poszukiwaniu Klaczy Przywódcy Kiogowie oddalili się daleko od swoich pastwisk. Ponownie poczułam niepokój. Obred miał rację, kiedy powiedział, że Briata oddaliła się zbyt daleko, nawet w celu ozrebiecia. Zupełnie jak gdyby została uprowadzona. ... a my ją znaleźliśmy.

Zadrzałam. Już raz przedtem mój pan i ja zostaliśmy tak pokierowani, zagonieni (jak się

wydawalo) w przypadkowych okolicznosciach do konfrontacji pomiedzy Ciemnoscia! Swiatloscia. Spojrzalam na Kerovana. Czy jego obawy mogly sie okazac prawdziwe? Czy byl to Galkur chcacy odzyskac to, co uwazal za swoj a wlasnosc? Zblizalismy sie do kepy drzew, srebrzyscie polyskujacych w poswiacie ksiezyca. Zobaczylam, jak przez srodek lasu biegnie prosta, pusta droga. Dzielila zarosla na pol niczym gigantyczny cios miecza. Droga blyszczala jak polyskujaca rzeka. Z oddali dobiegal lekko przy tlumiony krzyk nocnych ptakow. Obred skrecil konie w kierunku przejscia, a ja skierowalam sie za nim, czujac w sercu nagla lekkosc. Noc rozdarl krzyk: - Obredzie, stoj!

Moj ogier sploszyl sie i skoczyl, gdy Kerovan poganiajac pietami swoja klacz zmusil ja do wysforowania sie na czolo grupy i ustawil w poprzek drogi. Jego rysy byly rozswietlone blekitnozielona poswiata wydobywajaca sie z zawsze noszonej przez niego bransolety ludzi Starej Rasy.

-Stojcie! Niech ci, ktorzy szanuja swoja dusze, nie wchodza na sciezke. - Odwrocil sie na siodle, patrzac na nas. - Spojrzcie! Popatrzyłem na droge przez swiatlo mojej bransolety! Przyjrzyjcie sie dobrze!

Mruzac oczy popatrzyłam na prosta jak strzala droge. Spojrzalam na nia przez prawdopodobny blask bransolety mego pana, widzialam wzrokiem wolnym od omamienia i czaru. Teraz droga wygladala jak fosforyzujace szkliwo polozone na cuchnacej Ciemnosci, byla niczym blysk rozkladu na wiekowej zgniliznie.

Uslyszalam odglos wymiotowania i zobaczylam, jak Obred pochyla sie z dala od wierzchowca. Teraz i ja takze czulam smrod, ktory zdradzal miejsce Zacienione. Walczac z mdlosciami, odwrocilam sie od ohydnej pulapki.

Po przegrupowaniu pojechalismy dalej. Z pewna jednak roznicza, gdyz Kerovan i ja pojechalismy wraz z przywodca Kiogow na przedzie, na wszelki wypadek, gdyby na drodze pojawily sie jeszcze podobne pulapki. Obred odwrocil sie do mego pana.

-Dzieki za uratowanie moich ludzi, lordzie Kerovanie. Czy zechcialbys towarzyszyc nam w jutrzejszej wyprawie w poszukiwaniu nowych wiosennych pastwisk? Twój talizman mogłby się okazać bardzo pomocny w tej nawiedzanej krainie.

"Co sadzisz, Joisan? Mysle, ze pojade, chociazby dlatego, by dowiedziec sie czegos wiecej. Moze to nam pomoc w podrozy"... dotarla do mnie mysl Kerovana.

Zawahalam sie, zastanawiajac sie, jak bedzie mi samej posrod obcych, ale zrozumialam, ze moj pan odnalazl w Kiogach ludzi, wsrod ktorych czul sie swobodnie. I to przewazylo. W ciagu wszystkich podrozy nie mial innych towarzyszy, z wyjatkiem mnie, a jezeli teraz ich znalazl...

"Mysle, ze zostane troche z tymi ludzmi... i dobrze bedzie poznac ziemie, ktore leza przed nami..." - odpowiedzialam.

-Pojade z toba, Obredzie - zgodzil sie Kerovan.

-Dziekuje w imieniu wszystkich moich ludzi. Gdzie znalazles te bransolete? - zapytal przywodca Kiogow.

-W strumieniu, niedaleko miejsca zamieszkiwanego kiedys przez ludzi Starej Rasy. Musiala tam lezec bardzo dlugo, gdyz nasi ludzie nie zapuszczaja sie na te ziemie tak dawno opuszczone. Ta rzecz przyszla do mnie, jak gdyby do mnie nalezala, chociaz wiele wiekow oddzielalo chwile jej stworzenia od moich narodzin... - Rozesmial sie, wspominajac, co zaszlo. - To cie ucieszy, Obredzie. Tak naprawde znalazl j a moj kon. To Hiku zaprowadzil mnie do miejsca, w ktorym lezala.

Obred rozesmial sie, a potem spowaznial.

-Ochronila cie juz wczesniej?

-Wielokrotnie - w glosie Kerovana brzmial smutek. - Zazwyczaj ostrzegala, chociaz mam dowody, ze ma wieksza Moc. Moc, ktorej nie znam... nigdy sie czegos takiego nie uczyłem. Nauczono mnie, jak walczyć, a te umietynosci zostaly dokladnie sprawdzone, gdyz za gorami w High Hallack trwa wojna.

-Tak, slyszelismy od handlarzy. Kiogowie zazwyczaj trzymaja sie siebie, ale nikt nie odrzuca ani nie zapomina opowiesci o wojnach w krajach osciennych. Ty i twoja pani uciekliscie, gdy zniszczono wasz dom?

-Tak, ucieklismy wraz z naszymi ludzmi na Ziemie Spustoszone. Ale do Krainy Arvonu prowadzi wiele scizek i do tej pory w naszych wedrowkach nie spotkalismy nikogo innego z rodu Dales.

-Mowia, ze zeszlej zimy czesc mieszkancow Arvonu wrocila do owej krainy i ze przywiezli ze soba zony spoza Dales. Handlarz przysiegal, ze związki te powstaly w wyniku jakiegoś ukladu pomiedzy rodem Wereriders i lordami Dales.

Gladki krok wierzchowca mego pana przez chwile zostal zaklocony, jak gdyby jezdziec mocniej scisnal boki klaczy.

-Wereriders? Podpisali uklad z Kraina Dales?

-Taka byla cena za ich szable. Walczyli po stronie Dales, chociaz pod wlasnym dowodztwem i wlasnym sposobem - wiele istnieje plotek i cicho szeptanych opowiesci na temat tego ich dziwnego sposobu - wyglada jednak, ze nie walczyli na prozno. Handlarz Klareth powiedzial nam, ze wojna w High Hallack sie skonczyla.

Wojna sie skonczyla! Zerksnelam na Kerovana i zobaczylam niewyraźny kształt jego twarzy zwróconej w moim kierunku.

Wiadomość dała mi radość, ale radość dla innych - we mnie nie było najmniejszej ochoty powrotu do Dales, aby odnaleźć i odbudować moją zniszczoną Wieżę Ithkrypt, chociaż ci z moich ludzi, którzy tego pragnęli, tak właśnie mogli zrobić.

"A ty, Kerovanie? Czy myślisz teraz o powrocie do Ulsmdale"? Powrotna myśl była szybka. "Wiesz, że nie. Ten fakt mnie, który walczył przeciwko demonom z Alizonu, cieszy z powodu ich przegranej - ale nie mam już tam domu".

Zgodziłam się z tym stwierdzeniem, ale jego słowa przypomniały ponownie, iż nie mieliśmy żadnego własnego miejsca. Westchnęłam, uświadamiając sobie, że powinnam być wdzięczna za tymczasową gościnę u Kiogów.

Kilka minut później wjechaliśmy na gościnny teren. Światła, ludzie - po cichej ciemności podróży. Oboz Kiogów (skorzone namioty świadczyły o tym, co wcześniej podejrzewałam, że byli oni nomadami wędrującymi ze swoimi stadami) był wypełniony ludźmi, którzy chcieli nas powitać. Przywódca wydawała się małą, krzepką kobietą, gdyż Obred podeszedł do niej natychmiast po zejściu z konia. Rozmawiał z nią cicho. Kerovan pomógł mi zsiść z konia, stanęliśmy razem w świetle łuczywa i czekaliśmy, aż podeszła.

-Nasz przywódca, Jonka.

Kobieta skinęła głową z uśmiechem na dźwięk słów Obreda.

-Obred powiedział już, jak wielki mamy w stosunku do was dług, dług, który przyjmuje, gdyż Briata jest moja Wybrana. Dam wam wszystko, co może dać Kioga. Pozostaniecie wśród nas jako goście, w pokoju i z honorem.

Wykonała gest, po którym podeszła do nas młoda dziewczyna, niosąc w dłoniach czare gościnności.

Zwilżyłam usta ciemnym płynem, a potem przelknęłam z wdzięcznością. Było to wino, osłodzone ziołami i miodem, o uderzającym do głowy, bogatym aromacie. Podalam srebrne naczynie Kerowanowi, który napił się także. Jonka dopełniła rytuału gościnności także upijając trochę z czary, potem strzepnęła kilka kropli w kierunku księżyca, a pozostałości wylała na ziemię.

-Valona - skinęła na młodą dziewczynę, która przyniosła czare gościnności. - Pokaż naszym gościom, gdzie mogą odpocząć i odświeżyć się. Muszę dopilnować ucztę gościnnej. Możliwość zdjęcia ciężkiego pancerza i umycia się w pachnącej ziołami wodzie spowodowała, że byłam prawie szczęśliwa. Valona przyniosła do namiotu nasze worki podróżne, w czym pomagała jej mała dziewczynka zbyt niesmiała, aby mówić. Przycisnęła tylko dłoń do czoła w geście powitania. Z głębi worka wyciągnęłam kaftan i skrzywiłam się na widok licznych zagniecen.

-Chciałabym mieć mój najlepszy płaszcz i suknie, mamy być przecież uhonorowani ucztą-

powiedzialam do Kerovana, który pracowicie przeszukiwal swój worek.

-Ja też, to znaczy chciałbym mieć płaszcz. Mimo to nie mogą przecież oczekiwać wspaniałych strojów od dwójga ludzi, którzy właśnie przebyli równinę i przyjmowali zrebaki. Prawda?

-Miejmy nadzieję - wyszeptalam, krzywiąc się przy rozczesywaniu potarganych włosów.

Pare minut później umyć, uczesani i ubrani w najlepsze szaty (nawet jeżeli biedne) poszliśmy za naszą małą przewodniczką pomiędzy szeregami namiotów w kierunku dobiegających nas odgłosów śmiechu i zapachów jedła.

Jedliśmy, siedząc ze skrzyżowanymi nogami na brązowych kepkach trawy, ale różnorodność pożywienia - a także wspaniała kuchnia - zadawały klam braku ceremonii. Ryby i ptactwo wodne, ryż wymieszany z orzechami i wiosenne cebulki, owoce i chleb - po dwóch dniach podróżniczych racji. Uczta Kiogów zdawała się usuwać w cień nawet najbardziej wspaniałe przyjęcia, jakie odbywały się przed wojną w Wielkim Hallu mego Wujka Cyarta.

Nikt nie mówił zbyt wiele przed końcem posiłku, gdy ponownie napełniono nasze puchary winem osłodzonym miodem. Jonka siedziała z mojej prawej strony, była teraz ubrana w prostą płocienną suknię ozdobioną na przedzie i rekawach. Spodnica była rozdzielona jak spodnie. Jedyńm zewnętrznym wyrazem władzy był wiszący na piersi srebrny polksiecz z wyrytą konską głową. Patrząc na mnie ciemne oczy były mądre i najwyraźniej przyzwyczajone do wydawania rozkazów.

-Opowiedz nam, Cera, w jaki sposób znalazłaś i uratowałaś Briate?

Z wahaniem opowiedziałam wydarzenia, wspomniałam o pomocy mego pana przy ozrebieciu, ale podkreśliłam, że tylko dzięki woli Gunnory oba zrebaki urodziły się bezpiecznie i zostały zaakceptowane.

-Gunnora? - Jonka odgarnęła długie pasmo ciemnych włosów i pytająco podniosła w górę brwi. - Czy twój symbol jest poświęcony Gunnorze?

Skinelam twierdząc głową.

-Ma ona wiele imion, a wszystkie są prawdziwe. Dla ludu Kioga jest Wielka Matka, Matka Wszystkich Klaczy...

-W moich podróżach widziałam jej symbol połączony z różnymi imionami - zgodziłam się. - Jestem wdzięczna, że dzisiaj usłyszała, gdy ja wezwałam.

Pod koniec uczty Jonka i Obred odsunęli się i zaczęli dyskutować o jutrzejszej podróży w poszukiwaniu nowych pastwisk.

Odprezylam sie, dopijajac resztki wina, patrzylam na moich nowych towarzyszy. Blask luczyw polyskiwal na bogato zdobionych klejnotami naszyjnikach i bransoletach, wszedzie bylo widac kolorowe ognie. Lud Kiogow ubieral sie zgodnie z ich wesola, gadatliwa natura, tak odmienna od dosyc malomownych rybakow z Anakue.

Wszedzie widac bylo usmiechy, a zaciekawione oczy patrzyly w moje... Nie. Nie wszedzie.

W cieniu jednego z namiotow kleczala kobieta, patrzac na nas oczyma tak ciemnymi, ze zdawaly sie nie odbijac swiatla ogniska przypominaly raczej dziury w nieruchomej twarzy. Czulam jej wzrok na mojej twarzy niczym dotkniecie zimnej reki w srodku nocy. Trudno bylo od niej oderwac oczy.

Odwrocilam sie i zobaczylam, ze obok mnie usmiechajac sie niesmialo siedzi Valona.

-Valona, kto to jest?

Obejrzala sie i popatrzyła na otaczajacy nas tłum. - Kto, Cero?

-Tamta kobieta - chcialam wskazac, ale cien przy namiocie byl pusty. - Byla tam przed chwila... kobieta w ciemnym plaszczu.

-Z oczyma, ktore zatrzymuj a wszystko w srodku?

-Tak. Kim ona jest?

-To Nidu, Szamanka. - Dziecko zblizylo sie do mnie. Ma wielka Moc...

Pomyslalam o tej ciemnej, ponurej twarzy i stwierdzilam, ze musi byc to prawda.

Uslyszalam za soba kroki, a potem glos wodza.

-Ty i twoj pan musicie byc zmeczeni. Cero. Odprowadze was do goscinnego namiotu.

Poszlismy za nia do duzego namiotu, w ktorym sie wczesniej umylismy. Namioty Kiogow byly tkane z konskiego wlosia, na wierzchu ozdobione roznorodnymi wyszyciami z cienkich pasm splecionego i barwionego wlosia. Czesc sypialna oddzielono od reszty namiotu wzorzystym kocem. Jonka wskazala na dzban z woda i recznik ustawione na bogato rzezbionej skrzyni. Obok stal wyplatany stoleczek, a na nim lezala czysta nocna koszula.

-Podroze sa meczace, Cero, i ciezko jest zapakowac wszystko, co chcialoby sie miec ze soba. Mam nadzieje, ze to wystarczy. Jesteśmy tego samego wzrostu, chociaz ja jestem troche tezsza.

-Jest piekna - powiedzialam gladzac cienka, lniana tkanine, pokryta delikatnym, jasnym haftem. - Dziekuje ci, Jonko.

Jonka wskazała na szczyt namiotu. - Podczas dobrej pogody mamy zwyczaj otwierac nasze domy, aby widziec wschodzaca Klacz. Ale jesli wolisz, moze naciagnac pole i...

-Jestem przyzwyczajona do patrzenia na gwiazdy, gdy leze w lozku, Jonko. Zostaw otwarte.

-Zycze ci dobrej nocy i milego poranku. Cero.

-A ja tobie, Jonko. Jeszcze raz dziekuje.

Kerovan takze sie pozegnal, odsunal koc i zniknal w czesci sypialnej. Umylam sie ponownie, a potem wlozylam koszule.

Jonka miala racje, byla za szeroka. Przy zawiazywaniu sznurowki delikatnie pogladzilam cienki material i wspanialy haft. Od tak dawna nie mialam na sobie kobiecego ubioru, ze przyjemnie bylo czuc na sobie spodnice, gdy rozwiazalam i zaczelam szczotkowac wlosy.

Nad moja glowa blyszczal ksiezyc, tylko jeden dzien dzielil go od prawdziwej pelni. Gdy zgasilam swiece, jego blask posrebrzyl wnetrze namiotu, tworzac wyrazne, ciemne i jasne, kontrastujace ze soba plamy.

Ksiezyc... poswiata...

Stwierdzilam, ze stoje z rozlozonymi ramionami, na lekko rozstawionych nogach z glowa odrzucona do tyłu. Calym swym istnieniem siegalam do owego swiatla i tego, co przepowiadalo.

Ponownie poczulam cieplo na piersiach. Gdy rozluznilam sznurowanie, stwierdzilam, ze amulet znowu blyszczy.

Sciagal on jak gdyby do siebie swiatlo ksiezycy, zmienial i odbijal jego blask w bursztynowych promieniach. Poczulam w sobie podniecenie, dotkniecie czegos, co moglam tylko niejasno odebrac, ale na co moje ciało odpowiedzialo niczym na odwieczne przeznaczenie...

Szlam, kroki skierowaly mnie do czesci sypialnej. Przedzielajacy namiot koc zaczepil o moje paznokcie, gdy go odcignelam. Na poslaniu, z ciemna glowa oparta na wyciagnietym ramieniu, lezal zwiniety w klebek Kerovan. Na odglos moich krokow otworzyl szeroko oczy.

-Joisan-swiatlo...

Dotknelam uspokajajaco jego ust. Ujal reka moj nadgarstek, a usta pocalowaly wnetrze dloni.

-Joisan...

Imie zabrzmiało niczym pieszczota, odbijając się w moim umyśle wyszeptanym echem. Jego dotknięcie było niczym musnięcie skrzydeł na moim ciele, ale tym razem Kerovan był naprawdę sobą, nic nie ukrywał - nie rozdzielało nas ani wahanie, ani strach. Dzięki Jego ciepłu poczułam się wolna, by dawać i brać, jak nigdy przedtem... wolna, by dawać i dzielić z nim...

Napełnieni, szczęśliwi jednoczeniem i wspólnotą, zasneliśmy w końcu zmęczonym snem.

Rozdział 4 - Kerovan

Ze snu tak głębokiego, że był czarna pustka bez marzeń, obudziło mnie jasne słoneczne światło. Przez długą chwilę leżałem patrząc na nieznaną otoczenie, nie mogąc sobie przypomnieć, gdzie byłem ani skąd się wzięłem. Zatrzymałem wzrok na jasnobłękitnym kocu przesłaniającym miejsce do spania od reszty namiotu. Białe, zakrzywione linie wzoru, którym był pokryty, przypominały mi wirujące fale morskie... Jak gdyby ten wzór nagle zakotwiczył mnie w przeszłości, powróciła pamięć. Lud Kioga... Obred... Jonka i ta dziwna ciemna kobieta imieniem Nidu... czy dopiero wczoraj tutaj przybyliśmy i zostaliśmy przyjęci? Wspaniała uczta? A potem, ostatniej nocy... ostrożnie odwróciłem się na bok, aby jej nie obudzić. Popatrzyłem na Joisan.

Nadal spała głęboko. Rdzawobrunatne włosy opadały w ciężkich lokach na twarz, ramiona i na piersi. Słońce wyzwalalo złote błyski pomiędzy ich rudobrazowymi pasmami.

Na szyi nadal miała amulet, który jarzył się bursztynowo w rytm uderzeń jej serca - przez chwilę wydawało mi się, że znowu czuje ciepło talizmanu na mojej piersi.

Wyciągnąłem do niej rękę, pragnąc poczuć pod palcami gładki dotyk jej skóry, ale wstrzymałem się, nie chcąc jej obudzić. Wczorajszy dzień mógł zmęczyć najsilniejszego i z pewnością potrzebowała snu. A jednak pewna egoistyczna cząstka nadal pragnęła, aby się obudziła. Chciałem ponownie poczuć otaczające mnie ramiona... jej pocałunki, gorące i uległe, a potem pełne pozadania... pragnąłem...

Joisan otworzyła oczy i uśmiechnęła się sennie, leniwym ruchem odgarnęła włosy z oczu.

-Tak jak powiedziałaby Jonka, życze ci milego poranka, moją panią.

-Patrzenie na moją panią jest najmiłszą rzeczą, jaką mogę zrobić po przebudzeniu - powiedziałem z wahaniem, bojąc się prawie napotknąć jej oczy i ujrzeć w nich śmiech. Tak niewiele wiedziałem o wytwornych manierach, o pięknym wysławianiu się - nawet jeżeli odczuwałem coś całym sercem, ta umiejętność przychodziła mi z trudem.

Wyciągnęła rękę, pogładziła moje włosy i dotknęła policzka. Nawiązaliśmy kontakt myślowy, wiedziałem więc, że mnie zrozumiała, w pełni odczułem, jak bardzo doceniła moje słowa. Odwróciłem się, aby jej dotknąć, przytulić blisko, pragnąłem...

-Lordzie Kerowanie! - Ktos zadrapal w zewnetrzna plachte namiotu. - Nie chcialem przeszkadzac, ale poranny posilek jest juz gotowy, a konie osiodlane. Musimy zjesc sniadanie i wyjehac. W glosie Obreda brzmialo zaklopotanie, gdy dokonczyl. - Wiem, ze nie nalezy budzic gosci, ale juz prawie poludnie, a przed nami daleka droga.

Westchnalem gleboko i odwrocilem sie na plecy, z dala od Joisan. Chcac ukryc niezadowolenie, odpowiedzialem szybko.

-Dobry ze mnie wedrowiec, przesypiam caly dzien! Zaraz przyjde, Obredzie. Dziekuje, ze mnie zawolales.

Joisan wygladala zarowno na rozbawiona, jak i rozczarowana.

-Dlaczego mowisz, ze nie znasz sie na wytwornych manierach?

Rzadko kiedy slyszy sie takie klamstwo wypowiedziane z taka doza prawdopodobienstwa.

-Chcialbym zamiast tego pozostac z toba, Joisan... dzis, jutro i pojutrze... - Znowu do niej siegnalem, ale ona juz wstawala, potraszajac glowa.

-Lekko wypowiedziane obietnice sa nadal obietnicami, ktorych nalezy dotrzymac - zacytowala z lobuzerskim usmiechem.

Gderajac, przygotowalem sie do rozpoczecia dnia. Po sniadaniu Obred zwrocil sie do mnie:

-Musimy zrobic z ciebie jezdzca, Kerowanie. Chodz ze mna do stada Nie-Wybranych.

Ruszyliśmy szybko po rowninie pomiedzy namiotami Kiogow. W blasku dnia zobaczylem, ze byly one w wiekszosci ciemnobrazowe lub czarne, tylko pare (w tym takze nasz) zostalo ufarbowanych na kolor indygo, przy czym kazda plachta miala inne oznaczenia. Obok nas biegaly grupami dzieci, bawiac sie w jakas gre. Starsze przeszly w poblizu, niosac kosze napelnione praniem i dzikim zbozem do zmielenia. Niektore opiekowaly sie mlodszym rodzenstwem. Wszystkie usmiechaly sie, pozdrawiajac nas.

-Podobaja mi sie twoi ludzie, Obredzie - powiedzialem, myslac, ze nigdy nie czulem sie tak dobrze w obecnosci tak wielu istot nalezacych do mojej rasy.

-Mnie tez - zawtorowala Joisan. - Podczas naszych dlugich podrozy rzadko kiedy witano nas podobnie.

-To maly dar w porownaniu z uratowaniem Briaty. Kilka godzin temu Lero i Vala przyprowadzili klacz i zrebietka. Wyruszyli o swicie. Zrebice juz biegaja i bawia sie ze soba. Beda wspaniala para do trenowania.

-A Briata? - zapytałem.

-Czuwa z ogromną wyrozumiałością, szczególnie gdy obie zdecydowały w tym samym momencie, że są głodne. Powinnicie zobaczyć wtedy jej minę.

Rozesmieliliśmy się.

Po przejściu przez obozowisko Obred wskazał na konie pasące się po naszej prawej stronie.

-To stado Wybranych.

Wartownikami byli tutaj dwaj młodzi ludzie siedzący na koniach. Kilka minut później napotkaliśmy inne, mniejsze stado.

-To Nie-Wybrani. Kazałem chłopcom zebrać roczniaki, dwulatki, a także zrebiące się klacze. Teraz zobaczymy, który z naszych wytrenowanych wierzchowców wybierze ciebie na drogę.

Spojrzałem na blisko dwadzieścioro zwierząt, każde innej masy, wszystkie jednak miały cechy koni ludu Kioga - małe głowy, mocne i krótkie grzbiety, spadziste zady oraz wielkie klatki piersiowe.

-W jaki sposób wybieram?

-Nie wybierasz. Kon sam ciebie wybierze. Czy umiesz gwizdac?

-Tak.

-Wiec zagwizdz. Pierwsze zwierze, jakie do ciebie podejdzie, będzie tym, które ciebie wybrało.

Wspominając dni spędzone w wojsku, włożyłem palce do ust i zagwizdałem zew głuszcą - nasz sygnał do ponownego uformowania szeregów po porannym rekonesansie.

Pare zwierząt spojrzało w górę, ale tylko jedno z nich zrobiło kilka kroków w moim kierunku. Nie odwróciło się także, gdy podszedłem i poklepałem je po łopacie. Stało cicho, strzygac uszami i przyglądało się ze spokojnym zainteresowaniem.

Była to dobrze zbudowana klacz, wysoka na jakieś piętnaście i pół dłoni, ciemnogniada z białymi plamami wielkości mojej dłoni na zadzie i tylnych nogach. Przez jej leb przebiegał szeroki pas tego samego koloru, a przednie nogi miały podkolanówki.

-Spokojnie, spokojnie - powiedziałem łagodnie, gdy przyłączyli się do nas Obred i Joisan. - Rozumiem, że zostałem wybrany.

-Tak. Jest jedna z tych, które wychowała i wytrenowała Jonka. Na imię jej Nekia, co w naszym języku oznacza "oczy nocy". Zawsze ma bystry wzrok, ale szczególnie dobrze widzi w nocy.

Poglaskalem mocna, wygieta szyje klaczy. - No, Nekia? Bedziemy razem?

Kiwnela lbem, jak gdyby sie zgadzajac, a potem tak mocno mnie szturchnela, ze zatoczyłem się śmiejąc.

-Rzadko widuje się taka niecierpliwosc.

Obred usmiechnal się szeroko pod wasem.

-Dobry poczatek, panie. Czy teraz jej dosiadasz?

-Ależ nie mam siodła ani uzdy do kierowania...

-Nasze konie są trenowane pod ciężar i nacisk kolan. Wielokrotnie jechałem cały dzień ze spuszczonej wodzą i ani razu nie musiałem ich brać do ręki.

Ostrożnie położyłem dłonie na szyi i grzbiecie Nekii, potem gdy nadal stała spokojnie, wskoczyłem na nią. Dziwnie było jechać bez żadnej widocznej kontroli i gdy klacz ruszyła pod naciskiem łydek, musiałem przez chwilę łapać równowagę. Natychmiast zwolniła, gdy scisnąłem ją kolanami i przesunąłem swój ciężar do tyłu. Zanim dotarliśmy z powrotem do obozu, ponownie byłem zdumiony umiejętnością trenowania koni przez lud Kioga.

Mimo to z pewną ulgą zobaczyłem w ramionach zegnającej nas Jonki lekkie siodło i plecioną uzdę. Podczas gdy zaciągałem popregi i dostosowałem strzemiona, zgromadzili się pozostali uczestnicy wyprawy. Naliczyłem pięciu innych mężczyzn, w tym Obreda, czterech młodzieńców i siedem dziewcząt w różnym wieku. (Przyzwyczajony do chronionych w warunkach kobiet z High Hallack, którym pozwalano dosiadać tylko najłagodniejszych wierzchowców, spojrzałem na dziewczęta ze zdumieniem, aby po paru minutach stwierdzić, że należały do najodważniejszych i najlepszych jeźdźców).

Część jeźdźców prowadziła dodatkowe konie objuczone lekkimi paczkami.

-To do polowania - odpowiedział na moje pytanie Obred. W drodze powrotnej, jeżeli wszystko pójdzie dobrze, zatrzymamy się na polowanie i z pewnością przywieziemy do obozu świeżą zwierzynę.

Jego słowa oraz ilość zapasów przeznaczonych dla każdego uczestnika uswiadomiły mi, że nie był to jedno- lub dwudniowy rekonesans. Wyprawa miała trwać wiele dni.

Spojrzałem na Joisan, pragnąłem pozostać. Ostatnia noc pozwoliła prawie usunąć przepaść, jaka powstała między nami w czasie, gdy zaczęło mnie nekac wezwanie z gór.

Teraz chcialem byc przy niej... i tylko przy niej...

Bylem jednak, jak mi przypomniała, związany słowem - i nie mogłem go złamać z powodu tak blahego jak własne marzenia. W chwili, gdy dokonywano ostatnich pożegnań, pochylilem się w siodle Nekii i spojrzałem prosto na moją panią.

"Zostałbym z tobą, gdybym mógł, Joisan - wiesz, jak bardzo..." "Wiem", zapewniła mnie, wspólna myśl przepłynęła niczym ciepłe dotknięcie. "Będzie mi cię brakowało... ale wiele się mogę tutaj nauczyć, a Jonka jest taka dobra..." Wziąłem jej rękę w moje dłonie i szybko pocałowałem, potem gwałtownie odwróciłem Nekię, nie patrząc już do tyłu, obawiając się, że moje postanowienie może osłabnąć. Jechaliśmy na południowy wschód. Przed nami rozciągała się równina, na której rosły pojedyncze kępy drzew, otaczające strumienie lub brzozy rzek.

Zapytany o możliwy cel Obred odpowiedział, że będa poszukiwali pastwisk na wyższych terenach. Wyjaśnił, że ich zwierzęta pochodziły od rasy wychowanej w górach i czuły się najlepiej na wyżej położonych pastwiskach.

-Kon, który stapa kopytami po górach, ma lepsze mięśnie i oddech - skomentował podnosząc się w strzemionach, by popatrzeć na płaski horyzont. - Na zachodzie znajduje się ogromna pustynia, nic tam nie ma, tylko piasek, karłowate drzewka i wypełniająca ją śmierć. Mamy nadzieję, że bardziej na wschód znajdziemy jakieś wzgórza.

Tej nocy obozowaliśmy nad strumieniem. Zmęczony całodzienną jazdą położyłem się na kocach, opierając głowę na grzywie Nekii. Podobnie jak wszystkie rumaki Kiogów, klacz położyła się także. Ciało Nekii było ciepłe, a jej obecność dawała uczucie spokoju. W tej wypełnionej gwiazdami i ostrym księżycowym blaskiem pustce moje myśli dążyły jednak do Joisan. Było mi jej brak, i to tak gwałtownie, że aż się zdziwiłem. Nie rozdzielaliśmy się nigdy od momentu spełnienia naszego małżeństwa, chyba że tego wymagała Jej Sztuka Lekarska... ale to nie było to samo, jak teraz stwierdziłem, co rozdzielanie znaczna przestrzeni. Zastanawiałem się, czy myślała o mnie... i tak rozmyślając, zasnąłem.

Po dwudziestu dniach jazdy stanęliśmy nad brzegiem ogromnej rzeki, tak szerokiej, że nie było sensu jej przeprować bez łodzi lub tratw. Obred postanowił dalej szukać wezszego miejsca, gdzie można by przepłynąć na koniach.

Tego ranka jechałem obok młodzieńca, prawie jeszcze chłopca. Ciemna twarz porastał dopiero pierwszy ciemny meszek. (W tym zastępie brodatych twarzy moje przyzwyczajenie do codziennego golenia wywoływało dziwne spojrzenia - kilka razy, z daleka, wzięto mnie za jednego z chłopców).

-Milego poranka, lordzie Kerowanie - odezwał się niesmiało.

-Milego poranka życze też tobie - powiedziałem, nie mogąc przypomnieć sobie jego imienia, jeśli w ogóle je znałem.

-Nazywam sie Guret, sir.

Pozdrowilem go wojskowym salutem, co wywolalo rumieniec radosci pod delikatnym cieniem zarostu.

-Dziekuje, milordzie, ale nie jestem jeszcze wojownikiem. Nadal trenuje do Festiwalu Przemiany.

-Festiwal?

-Za ponad miesiac. Wszyscy ci, ktorzy zostali Wybrani - czule poklepal szyje pieknego kasztanowego ogiera, na ktorym jechal musza przedstawic swoje umiejetnosci myśliwskie i sposoby ochrony stad. Wtedy zostanie nam nadane prawo do glosowania w Radzie.

Pomyslalem o mojej wlasnej ceremonii przyjecia w wiek meski - kiedy moj ojciec Ulric z Ulmsdale uroczyscie darowal mi miecz, ktory do tej pory nosilem. Dobrze wiedzialem, jak to jest, gdy w ciagu jednego dnia z mlodzienia rodzi sie mezczyzna - pamietalem, jak ogromny ciezar nowych obowiazkow zdawal sie mnie przygniatac, zwikszajac jeszcze swiadomosc, ze w o wiele wiekszym stopniu nadal bylem chlopcem niz mezczyzna...

Jak gdyby czytając moje mysli, Guret zaczal mowic coraz ciszej, az w koncu slyszalem go z trudnoscia.

-Czasami wydaje mi sie, ze Festiwal nigdy sie nie odbedzie i chcialbym, zeby byl juz jutro. Innym razem wydaje mi sie, ze zbliza sie do mnie niczym ugryziony przez gza kon, a ja stoję jak slup soli na jego drodze...

Przez dluga chwile milczalem zastanawiajac sie, czy powinienem odpowiedziec na owa polprosze, ktora slyszalem w glosie mlodzienia. Zawsze, z wyjatkiem chwil z Joisan, zachowywalem swoje zdanie dla siebie, bylem poza innymi... ale czy ciagle mozna tak zyc? W chwili, gdy chcialem milczec, uslyszalem swoje slowa:

-Wydaje mi sie, ze tylko ci, ktorzy nie rozumieja, co tworzy prawdziwego mezczyzne, gnaja naprzod. Tacy jak ty, pelni niewiary i zastanowienia, sa potem najmadrzejsi i najbardziej dojrzali...

-Moze masz racje, milordzie - odpowiedzial z namyslem.

Jechalismy dalej w milczeniu, cisze przerywal tylko szum wielkiej rzeki. Zaczalem sie zastanawiac, czy nie plynela ona do jakiegos dalekiego morza lezacego na poludniu. Ten kraj byl rozlegly...

Podczas naszych wedrowek Joisan i ja widzielismy tylko jego niewielka czesc.

-Skad przyszliscie, milordzie, ty i Cera Joisan? - zapytal chlopiec.

-Zza gor - odwrocilem sie w siodle i wskazalem na szczyty, ktorzych juz nie widzialem, ale zawsze odczuwalem, chociaz dzieki mej pani ten silny zew byl teraz zagluszony.

-My takze przybylismy z tych gor - Guret zmarszczyl brwi. Zeszlej zimy Rada zdecydowala, ze ruszymy dalej, choc urodzaj byl dobry, a konie tluste. W gorach zginal jeden z naszych zwiadowcow - cos go zabilo. Wtedy zaczelismy sie spieszyc, jechalismy nawet przez przelecze zasypane sniegiem po konskie brzuchy.

Cos w jego slowach wywolalo dreszcz niepokoju. Po raz pierwszy od wielu dni pomyslam o Galkurze, ktorego dotkniecie oznaczalo smierc i splugawienie, jakiego nie znioslaby zadna ludzka dusza...

Zadrzałem nagle, niespodziewane scisniecie nogami spowodowalo gwałtowna reakcje Nekii.

-Jakie sa te ziemie za gorami? Jacy ludzie tam mieszkaja? Guret nie zwrocil uwagi na moja reakcje. - Pytalem handlarzy, ktorzy do nas przychodzili, ale nawet oni nie podrozowali tak daleko. Chcialbym wedrowac po tym kraju, zobaczyc, co znajduje sie poza naszym malym terytorium.

Pomyslam o ludziach z Dales, z ktorymi wedrowalem podczas wojny, obok ktorzych siedzialem na ucztach - o tych samych mezczyznach, ktorzy odwrocili sie ode mnie patrzac dziwnie, prawie nie kryjac braku zaufania, strachu. A stalo sie to w chwili, gdy odrzucilem specjalne buty, ktore dal mi moj ojciec w celu ukrycia odmiennosci swego dziedzica. Lecz takimi wspomnieniami nie powinienem sie dzielic z tym chlopcem o pelnych zapalu oczach... Zamiast tego siegnalem dalej w przeszlosc, pomyslam o dwoch ludziach z Dales, ktorzy zaakceptowali mnie, tak jak zdaje sie zaakceptowali mnie teraz Kiogowie.

-Ziemia High Hallack jest szeroka i lagodnymi dolinami opada w kierunku wschodnim, dlatego wlasnie zostala nazwana przez swoich mieszkancow Kraina Dales. Kazdy lord ma swoja doline oraz wojownikow sluzacych do jej obrony. Jednym z wojownikow mojego ojca byl Jago, moj nauczyciel sztuki wojennej. Ale nauczyl mnie wiecej niz tylko walki mieczem...

Kraina Dales nie zawsze byla zamieszkiwana przez rase ludzka, podobnie jak Kraina Arvonu; tych pierwszych mieszkancow nazywamy Stara Rasa. Dawno, dawno temu mieszkali w Hallack. Nasze legendy opowiadaja, ze gdy nasi przodkowie po raz pierwszy pojawili sie w Krainie Dales, bylo to miejsce juz nie zamieszkane. Ale nadal pozostaja slady i niektorzy mezczyzni i kobiety, ktorzy pragna madrosci i nauki, staraja sie odnalezc ruiny domostw ludzi Starej Rasy. Taka osoba byl Madry Riwal wedrujacy po Ziemiach Spustoszonych w poszukiwaniu rzeczy, ktorzych prawie nie rozumial, a jednak probowal je odnalezc. Towarzyszyłem mu podczas wielu jego poszukiwan i pewnego razu znalezlismy cudowny talizman z dawnych wiekow...

Mowilem dalej, opowiedzialem chyba wiecej, niz zamierzalem, gdyz Guret sluchal bardzo

uwaznie. Gdy przerwalem, zaprotestowal, ze chcialby dowiedziec sie jeszcze wiecej.

-Tak, jeszcze, lordzie Kerovanie - rozlegl sie za nami glosik.

Odwrocilem sie i zobaczylem male dziecko, dziewczynke, ktorej piety wybijaly staly rytm na lsniacych bokach ogiera, gdy zmuszla go do nadazania za naszymi wierzchowcami.

-Nita! - zmartwienie Gureta bylo bardzo widoczne. - Od jak dawna tu jestes? Czy nie wiesz, ze nie nalezy sluchac slow nie przeznaczonych dla twoich uszu?!

Podniosla w gore glowe i w tym momencie jej podobienstwo do chlopca stalo sie jeszcze bardziej wyrazne.

-To bylo opowiadanie lorda Kerovana i to on powinien na mnie krzyczec, jezeli go rozzloscilam. - Spojrzala na mnie czarnymi oczami i nagle spowazniala. - Czy jestes na mnie zly, milordzie?

Mialem ochote sie rozesmiac. Zmusilem sie jednak do powagi i srogim glosem powiedzialem:

-Nie, nie jestem, ale twoj brat ma racje. Podsluchiwanie swiadczy o braku dobrych manier i nie nalezy sluchac, co mowia inni ludzie, jezeli oni sami nie wiedza, ze to robisz.

-Dobrze wiec - usmiechnela sie pogodnie - od tej pory musisz mi pozwolic jechac obok siebie, milordzie, tak abym mogla sluchac. Twoja opowiesc byla jedna z najciekawszych, jakie kiedykolwiek slyszalam.

Zerknalem na wscieklego Gureta, a potem z ulga zobaczylem uniesiona reke Obreda - sygnal zatrzymania.

-Koniec z opowiesciami. Moze innym razem.

Przywodca Kiogow skinal na mnie, stuknalem pietami Neki i podjechałem do niego.

-Jak myslisz, Kerovanie? Sprobujemy? Do tej pory to najwazniejsze miejsce. Spojrzalem na rzeka, starajac sie ocenic jej brudne wody, widzialem zawirowania swiadczone o bardzo silnym nurcie.

-Moze pojedynczo kazdy jezdziec bedzie prowadzil swego konia az do chwili, gdy trzeba bedzie poplynac.

-Zgoda.

Wydal rozkazy pozostalym ludziom i rozpoczelismy przeprawe. Bylem pierwszy, prowadzilem Neki, dopoki pod moimi kopytami nagle nie zginelo dno i zaczalem plynac, trzymajac sie ogona klaczy. Mowilem do niej z ogromnym spokojem. - Tylko spokojnie,

dziewczyno. To tylko kilka... spokojnie... Mulista woda zalala moj podbrodek i prychnajac zaczalem plynac szybciej. Przede mna wynurzyla sie Nekia, z jej siodla i bokow splywaly strugi wody, chwile potem moje kopyta takze odnalazly grunt.

Nagle w powietrzu zawibrowal wysoki krzyk. Dobiegl zza mnie i zamilkł, konczac sie bulgoczacy westchnieniem, zanim zdazylem sie odwrocic. Z calej sily uderzylem Nekię po zadzie i zawrocilem, wiedzac, ze klacz sama wydobranie sie na brzeg.

Plynac z powrotem do drugiego brzegu, trzymalem wysoko glowe starajac sie zobaczyc, co sie zdarzylo. W plytszej wodzie walczylo cos duzego, pomrukujacego ze strachu, slychac bylo krzyki. Spojrzalem na mniejsza istote zmagajaca sie z silnym nurtem rzeki, który szybko spychal ja w dol rozlewiska. Rzucilem sie za ta postacia, plynalem tak szybko, jak tylko umialem, az w pewnym momencie poczulem, ze mnie takze porwal glowny nurt.

Starajac sie utrzymac glowe w gorze, oczy utkwilem w slabo walczacej ofierze. Przez chwile poczulem ulge, ze moj pancerz i bron byly bezpiecznie przywiazane do siodla Nekii i ze nie mialem na sobie obciazajacych butow. Wiele juz lat minelo, odkad plywalem z Riwalem w spokojnych wodach jezior, starajac sie respektowac ostre uwagi Jago i utrzymac sie na wodzie - nigdy nie walczyłem z nurtem. Jedyne co mogłem zrobic, to nie pozwolic sie zatopić szalejącej wodzie. Jaka miałem nadzieję na uratowanie tego drugiego istnienia, nawet jeżeli dotrę do niej lub niego?...

Zbierajac wszystkie sily, zagluszyłem te beznadziejne mysli i plynalem dalej tylko po to, by zobaczyc, jak istota zanurza sie pod wode w momencie, gdy byłem oddalony od niej na wyciagniecie reki. Zanim zdazylem pomyslec, moje cialo zanurkowalo, z wyciagnietymi rekoma zaczalem przeszukiwac blotniste wody.

Pluca odmowily dalszej pracy, w uszach pulsowala krew - powietrza! Musze miec powietrze! W agonii ruszyłem do przodu, nadal z wyciagnietymi ramionami...

I dotknałem! Palce przesunely sie po materiale i zacisnely, a zaraz potem plynalem w gore do zycia i powietrza, w zacisnietej w piesc dloni sciskajac garśc Inu.

Najlepsze wina, jakie palem na ucztach Wysokiego Lorda, nigdy nie smakowaly mi tak bardzo, jak ten pierwszy haust bogoslawnego powietrza, który zaczerpnałem po wynurzeniu sie na powierzchnie. Szybko przygarnalem to, co złapalem, a co teraz wydawalo sie martwym, szmacianym wezelkiem. Pociagnalem i wydobyłem z wody glowe. Plynac na jednym reku, rozpoczałem dluga droge do brzegu.

Po kilku metrach powietrze, które tak chciwie lyknałem, przesylo moja piers niczym palacy ogien. Miesnie w ramionach i nogach staly sie ciezkie i slabe. Juz nie widzialem brzegu, wzrok miałem zacmiony.

Zamykajac oczy walczyłem jeszcze - czulem przy swoim boku bezwladny, obciazajacy mnie ciezar. Zaciskajac z uporem dlon, nadal walczyłem. ... walczyłem... woda schwycila

mnie i zaczęła ciągnąć w dół...

Tak bardzo byłem nieprzytomny, że przez długą chwilę nie mogłem zrozumieć, że nacisk na moim ramieniu był spowodowany dotknięciem prawdziwej dłoni - dłoni, która stała się wieloma dłońmi, które wyciągnęły mnie ze śmiertelnych objęć rzeki.

Zebra nacisnęła jakąś ogromną siłą, starałem się podnieść protestując jękiem.

-Spokojnie, Keroanie. Leż spokojnie. Próbowales wypić chyba połowę tej przeklętej rzeki - powiedział nade mną jakiś głos. Na wpol przytomnie stwierdziłem, że był to Obred.

Leżałem na brzuchu, pod policzkiem czułem ostre zdziwienie równinnej trawy. Ponownie poczułem ucisk, ale tym razem podniosłem się na dłonie i kolana tylko po to, aby ponownie zostać poddany torturom - tym razem były to gwałtowne wymioty. Sądząc z ilości wody, jaka z siebie wypłułem, mogłem uwierzyć, że naprawdę wypilem przynajmniej połowę rzeki. Obred podtrzymywał moją głowę w swoich ogromnych, twardych dłoniach i czekał. W końcu mogłem z pewnym zrozumieniem rozejrzeć się wokół. Nadal miałem jednak zawroty głowy i pragnąłem tylko upaść zasnąć.

Wokół drugiej ułożonej na ziemi postaci stała spora grupa osób. Przez chwilę myślałem, że moje wysiłki na nic się nie zdały i tamta osoba już nie żyła - nagle zobaczyłem drgnienie stopy. Zataczając się podszedłem do grupy.

Nad małą postacią klęczał Guret - poczułem bolesny ucisk w gardle. Z wody wyciągnąłem bowiem Nite. Jedną z kobiet mocno masowała jej zebra, na chwilę przerwała i zaczęła wydychać własne powietrze pomiędzy swoje usta dziecka. Nie było słychać żadnego dźwięku, z wyjątkiem tych rytmicznych oddechów raz, dwa, trzy. Straciłem rachubę, a kobieta nadal walczyła...

Przemoczony tobolek wydał pojedynczy odgłos chwytania powietrza, potem kolejny. Podniecony szept Kiogów zamienił się w przytłumiony okrzyk radości, gdy leżąc na ziemi dziewczynka zaczęła normalnie oddychać.

Po drugiej chwili odwróciłem się wiedząc, że jeśli nie usiądę, to upadnę. Moje ramiona otoczyła silna ręka Obreda.

-Raz jeszcze jesteśmy ci winni wdzięczność, jakiej nie umiemy spłacić. Popłynales za Nita dobrze wiedząc, że mogłeś utonąć. Nigdy przedtem nie widziałem takiej odwagi. Potrząsnąłem przecząco głową.

-Nie przeceniaj mnie, Obredzie. Zareagowałem, zanim pomyślałem - gdybym pomyślał, może nie umiałbym się zmusić. Tego nie można nazwać odwagą.

-Z moich ust nigdy nie usłyszysz czegoś innego, lordzie.

-Co sie wlasciwie wydarzylo?

Teraz, gdy siedzialem w pelnym sloncu, w ciszy przerywanej jedynie szumem rzeki i szeptami pozostalych ludzi, cale zdarzenie wydawalo sie nierealne. Gdyby nie przemoczone ubranie, moglbym uwierzyc, ze nic sie nie stalo.

-Kon Nity poslizgnal sie na kamieniu i upadl, wrzucajac ja do rzeki. Zadne z nas nie bylo wystarczajaco blisko, aby ja zlapac.

Uslyszalem za soba glosy ludzkie, ale bylem zbyt zmeczony, by spojrzec w gore, az do chwili, gdy uslyszalem, jak Guret mowi do Obreda: - Jest jej nadal niedobrze po wodzie, ktorej sie opila, ale wszystko bedzie w porzadku.

Chlopiec uklakl obok mnie i zanim zdazylem go powstrzymac, wzial moja dlon w swoje rece i przylozyl do czola.

-Lordzie, jestem twoim dluznikiem. Przyjmij mnie wedlug prawa jako swego wasala.

-Przyjmuje cie jako przyjaciela, Gurecie, i bede zaszczycony twoja przyjaznia. - Glos mialem szorstki z powodu bolu gardla. Nic ponad to. Ciesze sie tylko, ze Nita wyzdrowieje.

Porozmawialismy jeszcze przez chwile, a potem zasnałem, podczas gdy Obred nadzorowal dalsza przeprawę. Gdy się ponownie obudzilem, była moja kolej. Na szczęście obyło się bez innych niemiłych przygod. Tego wieczoru obozowisko rozłożyliśmy na przeciwległym brzegu. Siedzialem oparty o poslanie, sluchajac, jak jedna z kobiet opowiada dluga piesnio-opowiesc o duszy rzeki, ktora przybrala postac wydry, i zartowala z dwoch majacych zostac traperami Kiogow. Byla to wesola historia i smialem sie wraz z innymi.

Ktos dotknal mego ramienia. Odwrocilem sie i zobaczylem Gureta obejmujacego w pol Nite. Dziewczynka nadal wygladala na slaba i wstrzasnieta, ale w oczach pojawily sie juz dawne blyski.

-To ty powinienes opowiadac, lordzie Kerovanie. Kazdy slyszal juz o wydrze i jej figlach, ale tylko Guret i ja slyszeliśmy o Gryfie uwiezionym w krysztalowej kuli noszonej na szyi lady, nieswiadomej, ze jest to zywa istota.

-Nita! - Kazalem jej usiasc obok. - Gdzie sie podziewalas?

-Bylam ostatnia na przeprawie. Obred przerzucil line i przebylam rzeke obwiazana niczym kosz z kamieniami. Mowilam mu, ze przejde wraz z koniem jak wszyscy, ale w ogole nie chcial sluchac. Powiedzial mi, ze ty, lordzie, juz przebyles rzeke, a ja nie powinnam kusic wody, by chciala odzyskac to, co juz raz trzymala w garsci. Przerwala, a potem spojrzala na mnie i powiedziala drzacym glosem: - Zawdzieczam ci zycie, milordzie. Ja... niecierpliwie wytarla nos i oczy i sprobowala jeszcze raz. Dziekuje... - A potem zaczela plakac. Polozylem reke na jej ramieniu, zmartwiony zalamaniam sie zuchwalej Nity. Jej ciało drzalo

w konwulsyjnych dreszczach.

-To reakcja spowodowana otarciem się o śmierć - bezradnie powiedziałem do jej brata. - Po bitwach widziałem mężczyzn, którzy przechodzili przez to samo. - Niezgrabnie objąłem ją i przytulilem, zastanawiając się, czy zaprotestuje. Nic nie powiedziała i tak siedzieliśmy przez długi czas. Słychać było tylko ciche szlochanie Nity.

W końcu Guret wyszeptał do mnie: - Lordzie, czy ty naprawdę jesteś człowiekiem? Czy też jednym z Duchów Marzeń, o których mówi Nita, gdy bebnieniem wprowadza się w trans i ociera o inne światy?

Spojrzałem na niego ponad głową jego siostry. - Naprawdę człowiekiem, Gurecie, i niczym więcej. Choć czasami - ciemne oczy chłopca zmuszały mnie do uczciwości - byłem napelniany obcym istnieniem kogoś z przeszłości. Kogoś, kto nie jest... z tego świata. Ale to było bardzo dawno temu.

-A jednak jest to - chłopiec wskazał na podwiniete podę mnie kopyta.

Poczułem, jak przeszywa mnie stary dreszcz, ale starałem się mówić spokojnie.

-Tak się... urodziłem. W mojej rodzinie była... inna krew, tak mówiły opowieści. Jesteśmy spokrewnieni z ludźmi Starej Rasy.

-I dlatego masz Moc?

-Kto ci to powiedział?

-Wszyscy widzą, że jesteś inny, a w noc, kiedy przybyłeś, Obred opowiedział, jak ostrzegłeś ich przed jednym z zabójczych Zacięzionych Miejszc. Nosisz także to. - Skinał głową na moją bransoletę. - Osoba nie mająca Mocy nie mogłaby tego uczynić.

-Może masz rację - zgodziłem się niechętnie - ale nie znam się na tym ani tak naprawdę nie chcę się uczyć. Nie chcę być odmienny wewnętrznie, tak jak jestem zewnętrznie.

Ciemne oczy zabłysnęły w świetle płomieni ogniska. - Może jest tak, jak mówiłeś dziś rano. Ten, kto nie martwi się odpowiedzialnością - lub Mocą - nie powinien jej mieć.

Uśmiechnąłem się trochę smutno. - Moje własne słowa, ale być może obaj powinniśmy je rozważyć...

Tej nocy, gdy wokół mnie leżał pogrążony we śnie oboz, nie mogłem zasnąć. Wielokrotnie wspominałem uratowanie Nity, wbrew mej woli myśli przesuwają się w zwolnionym tempie. Jak gdyby spoza siebie widziałem wirujący nurt, mały kształt Nity, moje własne ruchy - takie niezgrabne i nieefektywne. Na myśl o tym, jak blisko byłem śmierci - a Nita poza wszelkim ratunkiem, cały się spocilem. Przed śmiercią przecież, pomyślałem wstrzasając się, chociaż

noc była ciepła, nie ma zadnej obrony...

Nieprawda, odpowiedziała inna część mego umysłu. Większość ludzi ma potomstwo swej krwi i w ten sposób istnieją dalej.

Pomyślałem o jasnym spojrzeniu Gureta i zadziornej przyjaźni Nity i pozazdrościłem ich rodzicom. Jak by to było mieć własnego syna lub córkę, doradzać im, opiekować się tak, jak dzisiaj stało się z Guretem i Nita?

Joisan i ja od trzech lat byliśmy prawdziwym małżeństwem. Wiedziałem, że nigdy nie wykorzystają swej sztuki Madrosi i nie próbowała nie dopuścić do poczęcia. A jednak nie mieliśmy dzieci. To musiało oznaczać, że nie mogłem jej dać dziecka - znowu różniłem się od czystej ludzkiej rasy.

Pomyślałem o moim własnym dzieciństwie, gdy ojciec dawał mi wszystko, czego mogłem oczekiwać jego syn i dziedzic, a co dotyczyło ubrania i trenowania. Nie dopuszczał natomiast do zbliżenia i dzielenia uczuć. Zawsze trzymał mnie z dala od siebie. To odosobnienie było częściowo spowodowane czarami matki, pragnąc, by zwrócił się przeciwko "potworowi", którego był ojcem.

Odkryłem to po jego śmierci, gdy było już za późno. Przypomniałem sobie moje dziecięce przysięgi spowodowane odrzuceniem przez Ulrica. Przysięgałem, że jeśli kiedykolwiek będę miał syna, nigdy się tak nie zachowam... i wtedy przypomniałem sobie miękka, tęskna nutę w głosie Joisan, gdy mówiła o dziecku Utii...

Westchnąłem głęboko stwierdzając jednocześnie, że ręce miałem zwinięte w pięści, a paznokcie wbijały się w spód dłoni. Otworzyłem oczy i zmusiłem do rozluźnienia, patrząc na księżyc, którego ponownie przybywało, i na jasne, tak bardzo jasne gwiazdy. Tutaj, na równinie, gdzie nieba nie zasłaniały żadne drzewa, gwiazdy rozposcieraly się w tak jasnijacej mnogości, że od patrzenia na nie krecilo się w głowie. Wydawało mi się, że kurcze się w sobie, a w porównaniu z ich odwieczną obojętnością moje zmartwienie stało się śmieszna, bezcelowa słabość.

A jednak coś we mnie walczyło z takim wyrokiem znikomości negacji duszy. Jestem człowiekiem, powiedziałem tym dalekim, nic nie czującym obserwatorom, człowiekiem, i dzisiaj uratowałem życie. Ta myśl dała mi pewną pociechę. Zamknąłem oczy i przywołałem sen.

Przez następne dziesięć dni jechaliśmy stale na południe lub wschód, na horyzoncie szukając gór dla Obreda. Nad rankiem jedenastego dnia, kiedy przypadkiem jechał obok mnie, zapytałem, dlaczego on i pozostali Kiogowie opuścili góry, zza których przyszedłem z Joisan, a także czy on i jego ludzie pochodzili z tych szczytów.

-Odpowiedz na twoje drugie pytanie brzmi "nie". Gdy byłem jeszcze tak mały, że ledwie sam mogłem jeździć, przybyliśmy na te ziemie. Droga otworzyła Nidu. - Widzisz mój

zdziwiony wzrok, kiwnął potwierdzająco głową. - Tak, ta sama Madra, która widziałeś.

Mój rod żyje długo, to prawda, ale Sily Nidu dały jej rozpiętość życia, jakiej zaznało niewielu. Jest stara, a jednak nie starzeje się... Lepiej nie wypytywać kogoś, kto ma Moc... Grała na bebenku i śpiewała, a my jechaliśmy w szarość... gdy się rozwiła, byliśmy tutaj, w tej krainie.

-Dlaczego porzuciliście swój dawny kraj? - zapytałem myśląc, że podejrzenia Joisan o przejściu tych ludzi przez jakiś rodzaj Bramy z innego miejsca lub czasu do tej krainy, będą miały więcej prawdopodobieństwa po wyjaśnieniu Obreda.

-Byłem zbyt mały, żeby dużo zrozumieć, a Starsi nigdy nie chcieli o tym mówić... ale pamiętam, że schowałem się na jednym z wozów i po kryjomu wyglądałem. Wtedy zobaczyłem, jak nasi młodzi mężczyźni i kobiety byli zabierani w kajdanach, skuci lancuchami za szyję i w okowach. Pomiedzy nimi była moja matka. Obok nich, z batami w dłoniach, jechali wysocy, szczupli mężczyźni o jasnych włosach i oczach. W ten sposób do Krainy Arvonu przybyliśmy w dziwnej grupie - tylko bardzo starzy i bardzo młodzi i zaledwie paru jeźdźców w pełni sił...

-To smutne wspomnienia - powiedziałem wolno, myśląc, że w pewnym sensie jego los był gorszy od mojego. - Musiał ci brakować matki.

-Być może na początku. Nie pamiętam zbyt wiele. Zapamiętałem tylko ten jeden moment. Ale tutaj wszystko było inne.

Byliśmy wolni, jeździliśmy bez leku po naszym gorskim domostwie aż do ostatniej zimy. To znaczy, aż do... - przerwał w poszukiwaniu właściwego słowa. - Ta rzecz... Ten, Który Przemierza Szczyty, zabrał życie Jerwina. Miedzy tymi, którzy To widzieli, był Guret wraz ze mną. Jedno spojrzenie wystarczyło. Spakowaliśmy się i wyruszyliśmy, czując na naszych plecach oddech Lodowych Smoków, mieliśmy szczęście, że przeszliśmy przez przełęcz bez wywołania lawiny, ale zaden z nas, który To widział, nawet nie pomyślał o powrocie.

Jego słowa ugodziły bezpośrednio w ciało, poczułem na szyi dreszcz i wbijające się lodowe szpilki. Wciągnąłem powietrze i wykrztusiłem: - To?

-Każda z obecnych tam osób widziała coś innego, ale wszyscy twierdzili, że było to niesamowite - coś przeciwne Naturze. Dla mnie było to zółtawe, klebiące się i zimne, zimniejsze od śmierci, bardziej przegniłe niż rozkładające się ciało. Pedziło w górę starożytnej górskiej drogi z prędkością myśliwego, na jego drodze stał Jerwin. Stał... jak przykuty... a my krzyczeliśmy, żeby uciekał. Jego twarz... - głos Obreda zalał się i na chwilę zamilkł. Widzisz, Jerwin był synem mojej siostry. To była jego pierwsza wyprawa. I gniebi mnie myśl, że jego śmierć się jeszcze nie zakończyła... to nieczysta śmierć... śmierć bez końca.

-Rozumiem - wyszeptałem poruszony jego przerażeniem i wspominając moje własne. - Ja

tez to widziałem.

-Ty? Kiedy? - Obred był najwyraźniej zaskoczony.

-Zanim z Joisan weszliśmy do twojej krainy. Nie widziałem tego w rzeczywistości, to był tylko cien... wizja, jeśli chcesz. To było okropne.

-Tak - Obred w zamyszeniu pociągnął za ciężko opadające wasy. Czy widziałeś to tak, jak ja opisałem?

-Tak. Przez żółtawą mgłę przelatywały czerwone pasma... slychac było brzęczenie przypominające odgłos wściekłych os lub jakas niesamowita muzyke...

-Nic nie słyszałem. Ale to było w każdym z nas, niektóre rzeczy wydawały się jednakowe, inne były odbierane w zależności od patrzącego. Nidu była jedyna, która widziała wyraźnie - lub tak jej się zdawało.

-Co zobaczyła?

-Polowanie. Ludzi i potwory za istotą z legendy. Niesamowita mieszanka kobiety i ptaka... groteskowa i brzydka. Podobna do harpi ze Starych Legend Arvonu.

Harpia? Szukałem w pamięci, aż w końcu przypomniałem sobie jedną z małych figurek, jakie zabrał mój przyjaciel Riwal podczas jednej ze swych wypraw do Ziemi Spustoszonej. Wspomniałem jego słowa, gdy starał się złożyć razem połamaną nogę i ciało. To prawda, że to ciało kobiety, Kerovanie, ale noga należy do ptaka. Można je jednak dokładnie złożyć. Widzisz? Szkoda, że nie ma drugiej nogi. - A ja stałem i patrzyłem zdumiony na jednoznacznie o ciele kobiety, ptasiej głowie i nogach drapieżnego ptaka. Coś w drapieżnym wyrazie małej twarzy spowodowało, że zadrzałem i odsunąłem się jak gdyby w przestraszeniu, że istota za chwilę klapnie zakrzywionym dziobem i rzuci się na mnie.

-Harpia to straszna istota - powiedziałem wspominając małą rzeźbioną figurkę.

Obred skinał głowę. - Po śmierci Jerwina - po tym, jak owa istota przetoczyła się po nim, nie pozostało nic, nie mogliśmy nawet go pochować ani spalić - zdecydowaliśmy się na odejście. I teraz znowu szukamy gór, bezpiecznych gór, wolnych od Cienia. Popatrzyliśmy obaj na horyzont, był nadal płaski, bez żadnych charakterystycznych konfiguracji. Rozciągały się jedynie równiny...

Zmrużyłem oczy i wyciągnąłem w kierunku Obreda rękę. Spójrz, tam na zachodzie. Co to jest? - Wydawało mi się, że łan trawy przedzielał niewielki pagórek.

-Nie widzę - tak widzę! - Dał znak reszcie i podjechalismy w kierunku wzniesienia.

W tak jednolitym krajobrazie odbieranie wrażeń jest wypaczone. Po kilku minutach

zrozumiałem, że pagorek jest o wiele bliżej, niż się pierwotnie wydawało, a w związku z tym jest znacznie mniejszy. Klus Nekii przemienił się w łagodnie kolyszający, gładki galop. W parę minut później zatrzymaliśmy konie przed owym samotnym obiektem.

-Studnia! - wykrzyknął Obred. - Skąd się tutaj wzięła, z dala od ludzkich zabudowań?

Patrzyłem na wysokie ocembrowanie wykonane ze spojenego razem polnego kamienia. Z glebi dobiegał upojny szmer płynącej wody. U stop studni rosły kępy małych krzaków okryte dużymi pomarańczowymi kwiatami. Obred sięgnął po bukłak i odczepił go od siodła.

-Przynajmniej będziemy mogli odnowić nasze zapasy wody i napić się do woli. Wydaje mi się, że od niepamiętnych czasów nam jej brakuje.

Zaczął zsiadać z konia. W tym momencie poczułem mrowienie na nadgarstku. Spojrzałem na bransoletę ludzi Starej Rasy błyszcząca teraz niebieskozielonym światłem, widocznym nawet w jasnych promieniach słońca. Po zewnętrznych runach przebiegał złotoczerwony płomień. Popatrzyłem na talizman z niedowierzaniem, studnia była czymś tak zwyczajnym, nie mogłem uwierzyć.

Z bransolety buchnęła fala gorąca, prawie przeszywając mnie podmuchem. Usłyszałem swój głos.

-Obredzie, nie!

Przywódca Kiogów szedł dalej, nie odwrócił nawet głowy. Zerknąłem na resztę grupy, większość siedziała na koniach, z oczyma utkwionymi w studnię. Paru poruszało się z niepokojem.

Zobaczyłem znajomą twarz i wkładając w okrzyk całą moją wolę zawolałem:

-Gurecie! Musimy go zatrzymać! Do mnie!

Chłopiec ocknął się z zauroczenia studnią, jego ciemne oczy spojrzały w moje. A potem uderzając piętami wierzchowca przepchnął się pomiędzy innymi jeźdźcami i dojechał do mnie.

Obrocilem Nekię i dałem mu znak. Razem ruszyliśmy za Obredem. W momencie, gdy dopadliśmy jego szerokich pleców, prawie dosięgnął krzewów. Pochyliłem się i obiema rękoma złapałem przywódcę Kiogów za koszule, Guret zrobił podobnie.

-Na prawo! - krzyknąłem, kierując konia naciskiem kolan i przemieszczeniem ciężaru. Oba rumaki zawróciły na tylnych nogach i oddaliły się od studni. Popędziłem Nekię, uderzając piętami po bokach, potrzebna nam była bowiem duża szybkość dla utrzymania równowagi, zwłaszcza że ciało Obreda było ciężkie. Poczułem w reku nagły ból. Jego zęby zacisnęły się mocno na moim lewym kciuku i palcu wskazującym. Ich biel wkrótce przesłoniła płynącą

czerwona krew. Zacisnałem uścisk, błagając mogące słuchać mnie Moce, by dodały mi siły, dopóki nie odjedziemy poza zasięg czarnej studni.

Kilka kroków dalej Obred rozluźnił szczęki i osunął się bezwładnie w naszemu uścisku.

Scisnąłem Nekię kolanami, sygnalizując zatrzymanie. Z mojego zdrewniałego uścisku na równinę, twarzą w dół, upadł Obred.

-Zajmij się nim - powiedziałem Guretowi, zawracając klacz w kierunku pozostałych Kiołków. Wasnie zsiadł pierwszy, drugi, trzeci, a potem czwarty jeździec. Wszyscy szli w kierunku pulapki.

Wyprzedziłem ich.

-Stop! - Zawrociłem Nekię w ich kierunku, wyciągnąłem miecz postanawiając, że każdy, który nie usłucha, umrze czysto od mojej broni i nie zostanie wciągnięty w pulapkę Cienia.

Paru zawahało się w momencie wyciągnięcia ostrza, potem wszyscy zatrzymali się, mrugając powiekami. Działając pod wpływem na wpół zapomnianej opowieści przesunąłem się, stała w powietrzu pomiędzy całą grupą i studnią. Zimne żelazo rzeczywiście przerwało zapałanie.

-Z powrotem! Wracajcie z powrotem! - natarłem na nich Nekię, nadal machając w powietrzu mieczem. Przez cały czas starałem się utrzymać ostrze pomiędzy nimi i studnią. Działając pod wpływem wskazówek jeźdźców, kilka koni cofnęło się z wahaniem do tyłu. Pojedynczo, powoli, wszyscy Kiołkowie odstąpili. Gdy znaleźli się w odległości około czterdziestu stop, przymus znikł nagle. Zdezorientowana grupa zmieszała swoje szeregi, jeden z jeźdźców spadł zemdłony, inni łapali się za głowy i krzyčeli.

Podszedł do mnie Guret podtrzymujący Obreda. Zsiadłem z konia, ostrzegając: -Nie patrzcie na to wprost. Być może ci, którzy już raz dali się złapać, mogą być bardziej podatni za drugim razem.

Obred wzdrygnął się. - Nie wydaje mi się, aby już raz złapani mogli mieć drugą okazję, lordzie. Ta - obrzydliwość... - splunął, wyglądając przez chwilę, jak gdyby miał wymiotować na samo wspomnienie studni.

Obejrzałem się i popatrzyłem na kamienną pulapkę, otoczona nienaturalnie jasniejszym kwieciem. Nakazałem Obredowi i Guretowi pozostać na miejscu, a sam zbliżyłem się, trzymając wyciągnięty miecz pomiędzy sobą i studnią. Bransoleta płonęła ogniem. Z ogromną ostrożnością okrażyłem studnię, badając skały i kwiaty. Gdzie czaiło się niebezpieczeństwo? Czy ofiary miały się rzucać do wnętrza? Nagle coś trzasnęło pod nogą. Spojrzawszy w dół stwierdziłem, że jest to czaszka lani. Do białych kości nadal przylegały kawałki skóry. Nieco dalej leżały bielejąc w słońcu jelenie rogi, potem coś, co wyglądało jak resztki małego dzikiego kota. Instynktownie stanąłem i opuściłem miecz.

Natychmiast poczułem jej czar, chociaż zew był przytłumiony najprawdopodobniej przez bransoletę. W uszach słyszałem plusk wody, wody życia, wody wieczności. Napicie się takiej wody dawało niesmiertelność... odporność na ból... dawało wielowiekową mądrość...

Zrobiłem krok do przodu, co wyrwało mnie z odretwienia i zrozumiałem, jak blisko byłem wpadnięcia w pułapkę. Odskokczyłem do tyłu, podniosłem w górę miecz i wtedy zobaczyłem drgniecie przy kamiennej cembrowinie. Te kwiaty...

Zamrugalem powiekami. Czy była to wyobraźnia, czy też te kwiaty naprawdę odchyliły się od stali? Znowu opuściłem miecz, patrzyłem, jak kwiaty wyciągają się w moim kierunku, skrecają się, falują, płatki drgają, otwierają się niczym głodne usta, takie cudownie piękne...

Szybko podniosłem miecz i znowu były tylko kwiatami. Ostrożnie zakończyłem obchód, zauważając jeszcze prawie skryte w wysokiej trawie kosci, jak gdyby odrzucone po uczcie.

Gdy podszedłem do Obreda i Gureta z drugiej strony studni, przywódca Kiogów podprowadził Nekię.

-Wsiadaj, Kerowanie. Odjedźmy od tego, zanim ponownie nas zwabi. Przez chwilę myślałem, że i Ciebie pochwycono.

Potrząsnąłem głową, odmawiając ofiarowywanych wodzy.

-Nie mogę jeszcze odejść. - Spojrzałem na pułapkę Cienia i w moim głosie zabrzmiał strach. - Muszę zrobić wszystko, co w mojej mocy, by To unieszkodliwić. Nie można pozwolić na zwabianie innych - ani zwierząt, ani ludzi.

Na ramieniu poczułem uścisk dłoni Gureta.

-Ależ, Kerowanie, sam przecież mówiłeś, że nie uczono Cię wykorzystywania Mocy. W jaki sposób będziesz mógł zrobić coś takiego?

-Nie wiem. - Te słowa zostały ze mnie wydarte, zmusiła mnie do nich prawdomówność. - Ale Wiem, że nie mogę odjechać wolny i pozostawić te istoty także wolne. Wolna do dalszego zabijania.

Wysunąłem się z jego uścisku, odwróciłem i z powrotem poszedłem w kierunku studni.

Rozdział 5 - Joisan

Nie minął jeszcze tydzień od chwili odjazdu mego pana z wywiadowczą wyprawą Kiogów, gdy zaczęłam się zastanawiać, czy nie będę miała dziecka. Kobięce okresy zawsze miałam w terminie, a tym razem księżyc stał już w nowiu - i nadal nic. Jako akuszerka z uwagą śledziłam drobne zmiany zachodzące w moim ciele, które mogły oznaczać, że przygotowywałam się do noszenia w sobie nowego życia. Nie wiedząc sama, czy pragnęłam

potwierdzenia, czy też zaprzeczenia moich podejrzeń, wspominałam forsowne chwile naszej wędrowki od chwili opuszczenia Anakue, irracjonalne zachowanie Kerovana na widok owego zewu z gor - to wszystko mogło zakłócić mój biologiczny rytm. Każdego ranka mówiłam sobie, że dzisiaj skończy się moje niepokojenie... dni mijały, jeden podobny do drugiego i nie dawały odpowiedzi na moje pytanie. Tylko czas mógł rozwiązać te wątpliwości.

Czas, jaki spędzałam w obozowisku Kiogow, pozwalał na samotne rozmyślenia. Jako honorowy gość nie miałam przypisanych zajęć, a te, w których mogłam pomagać - takie jak przedzenie sztywnych lnianych nici z dzikiego, rosnącego wzdłuż brzegów rzeki Inu, pozostawiały dużo czasu na rozmyślenia.

Długie godziny spędzałam rozmawiając z Jonką, ucząc się o ludźmi Kioga, o tym, jak przybyli na te równiny. Ze strachem przyjąłem wiadomość o tym, co wyгнаło ich z gorskiego domostwa - ta sama Istota (lub podobna, jeżeli w ogóle można było wyobrazić sobie podwójny horror), jaka ujrzeliśmy z Kerovanem owej nocy na zboczu.

Z jakiegoś powodu (może nawet chciałam myśleć o czymś innym, gdyż było to tak niemile) powracało wspomnienie o owym gorskim horrorze. Nie mogłam przestać o tym myśleć. Zaczęłam się zastanawiać, czy zawsze istniało owo zło niszczące ziemię, a może zostało stworzone przez jakiegoś przewrotnego wyznawcę Ciemności...

Czasem w nocy, leżąc sama w namiocie gościnnym, sniłam o tym. Budziłam się wtedy drżąc cała z zimna, tak bardzo brakowało mi ciepła i siły Kerovana. Zawsze szukaliśmy w sobie wsparcia i szczęścia, zupełnie jak gdybyśmy istnieli tylko w zakreślonym przez naszą miłość kole - tak jak rozdzka kresli pentagram dla ochrony podczas czarów. W miarę jak mijały dni, zastanawiałam się, czy zew z gor został ostatecznie zerwany, moglibyśmy wtedy rozszerzyć to otaczające nas ciepło na jeszcze jedną osobę - nasze dziecko...

Pod wpływem tej pełnej nadziei myśli odizolowałam się od strachu i niepewności. W miarę jak upływały dni, wzrastała pewność. Czasem leżałam bezsennie z rekoma przycisniętymi do brzucha (choć długo jeszcze należało czekać na jakiegokolwiek oznaki ruchu), starając się odpedzić złe odczucia, starając się myśleć zimno i logicznie.

Każda kobieta obawia się trochę, gdy stwierdzi, że jest w ciąży ja może bardziej niż inne, zbyt wiele porodów już odbierałam w swoim życiu. Strach przed bólem... strach przed ostateczną samotnością bóli porodowych... strach przed zmianą... strach przed możliwością nawet jak najmniej prawdopodobnej - śmierci. Myśleć rozsądnie, wiedziałam, że fizycznie jestem odpowiednio stworzona do rodzenia. Byłam zdrowa, miałam mocne i giętkie ciało. Kobiety z rodziny mojej matki od pokoleń rodziły łatwo i w niewielkich bólach. A jednak bałam się trochę...

Razem z rosnącym w pełni księżycem rosło także moje pragnienie, aby potrzymać, dotknąć, zobaczyć mego syna lub córki. Kiedy przechodziłam przez oboz Kiogow, mój wzrok przyciągały niemowlęta i małe dzieci. Wkrótce poznałam kilka młodych matek, ale

moj sekret nadal pozostawal tylko i wylacznie moj.

Jedna z mlodych kobiet imieniem Terlys takze byla sama, gdyz jej maz wyjechal wraz z wywiadowcami. Zaczelam z nia jadac kolacje, pomagalam jej przy dwojce wesolych dzieci - Janosie, piecioletnim chlopcu, i Ennii, malej coreczce. Ennia zaczynala wlasnie raczkowac, ale czasem wydawalo sie, ze czolga sie szybciej, niz ja i jej matka chodzilyśmy. Przez caly czas mialysmy z nia zajecie... odplatywalysmy ja z koszyka z przedza, ratowalysmy przed spalaniem w domowym ognisku, raz odwrocilam sie na chwileczke, aby zaraz potem odnalezc Ennie bawiaca sie spokojnie miedzianym naszyjnikiem matki pomiedzy kopytami przywiazanego przed namiotem ogiera!

Dzieki niech beda Gunnorze, kon jak gdyby wiedzial, ze nie powinien sie ruszac i stal jak wyrzezbiony, podczas gdy ja zabieralam dziecko. Zanoslam dziecko z powrotem do namiotu.

Slabo sie poczulam na mysl o tym wszystkim, co moglo sie wydarzyc. Gdy oddalam Ennie matce i wyjasnilam, gdzie ja znalazlam, ukroilam gruba kromke chleba, grubo posypalam sola i dalem ogierowi, dziekujac mu za wyrozumialosc.

Po powrocie do namiotu Terlys pomoglam jej ubrac dziecko w czysta dhoti, zalamujac material tak, by nie ranil delikatnych nozek i siedzenia. Zmeczona wrazeniami Ennia zasnela, zanim zalozylysmy jej przez glowe czysta tunike. Trzymajac ostroznie na reku, ulozylam jaw plecionej kolysce. Przykrywajac spiacze dziecko uslyszalam glos Terlys. - Potrzebujesz wlasnego, lady Joisan.

Spojrzalam w gore zaskoczona. Na ustach Terlys widoczny byl delikatny usmiech. Zastanawialam sie, czy odgadla. Moze bym jej wtedy powiedziala, ale w tym samym momencie plachta namiotu zalopotala, to Janos wracal z nauki jazdy.

-Jak dzisiaj poszlo, Janos? - zapytalam z obawa. Poprzedniego dnia wrocil brudny i podrapany po upadku przez glowe kucyka, gdy ten ostatni (zachowujac sie kapryśnie jak to zwykle kucyki) zdecydowal sie na wierzganie zamiast na klus w kole.

-O wiele lepiej, Cera Joisan - usmiechnal, sie pokazujac przerwe miedzy przednimi zebami. - Tym razem Pika chodzila tam, gdzie ja chcialem, a nie tam, gdzie ona wybrala.

Matka przytulila go do siebie. - To bardzo dobrze. Nie bedziesz juz spadal.

-No... - odwrocil sie z kwasna mina, pokazujac siedzenie Inianych spodni. - Tego nie powiedzialem. Ale... - rozjasnil sie - dzisiaj juz sam wsiadlem z powrotem.

Tego wieczoru, gdy wyszlam z namiotu Terlys i ostroznie przechodzilam pomiedzy rzedami namiotow i wozow, zobaczylam, ze ksiezyc byl ponownie w pelni. Zdecydowalam sie zapytac Gunnore (gdyz otacza ona specjalna opieka kobiety rodzace), czy rzeczywiscie nosze dziecko, a jesli tak, to kiedy mialabym je urodzic. Przygotowalam sie uwaznie, nigdy

przedtem nie wykonywałam tej wroźby.

W świetle księżycy wolno poszłam na pobliskie pastwisko, patrzyłam na dalekie kształty koni, słyszałam ich przytłumione parskanie, chrzest rwanej trawy. Po zachodniej stronie pastwiska znajdowało się pole dzikiego ziarna, chronionego przed zwierzetami ciernistym plotem. Ostrożnie zerwałam garść zielonych kłosów, wymawiając przy tym podziękowanie.

W namiocie wsypałam je do glinianej czary, a potem dolałam wina. Pojedyncze ziarna zaczęły pływać w ciemnym płynie. Zaczęłam głęboko wdychać zapach winogron, wyrecytowałam niema inwokację, prosiąc Gunnore o błogosławieństwo i pomoc. W końcu podniosłam czarę tak, aby padły w nią promienie księżycy. Następnie usiadłam ze skrzyżowanymi nogami i zamknęłam oczy, odprezylam się. Nie wszyscy Madrzy mają talent wroźenia, niektórym bardziej udają się pewne rzeczy niż inne. Nigdy nie próbowałam czegoś podobnego... ale coś mnie zmuszało... pchało, szeptało w mej duszy, że muszę wiedzieć... muszę wiedzieć... muszę...

Kiedy w umyśle pojawiła się jasność, pochyliłam się do przodu rozluźniając wiązania koszuli, tak aby amulet Gunnory był swobodny. Był nadal ciepły od kontaktu z moją pierś. Nie dotykając palcami amuletu, zdjęłam go przez głowę trzymając za skorzany rzemień i wrzuciłam do glinianej czary z ziarnem i winem. Kiedy czerwony płyn znieruchomiał, spojrzałam w niego.

W migoczącym świetle jedynej świecy jasno widziałam czarę wraz z zawartością. Patrzyłam na powierzchnię płynu starając się otworzyć umysł na każdą wizję, każdą wiadomość. Odbicie zapalanej świecy... moje własne szeroko rozwarte oczy... nie było nic, z wyjątkiem mieniących się czerwonych plomków... potem czerwonozłotych...

Płynełam nad swoim ciałem, patrzyłam na młodą kobietę o szczupłych ramionach okrytych złotorudymi włosami. Jej/moja twarz były oczywiście zakryte, ale mój wzrok zdawał się mocniejszy, zwielokrotniony, tak że widziałam dalej, niż widzi się zazwyczaj... otaczał ją migający delikatny niebieskozielony blask, jasniejszy nad głową, poniżej słabo zarysowanej linii łopatek, pod lnianą koszulą zmieniał się w fiolet... fiolet to kolor czystej Mocy, czaru duszy... tylko niewielu należących do tego świata umiało ją okiełznać. Fioletowe światło rozjaśniło się, zapulsowało regularnie jak uderzenie serca. Wydawało mi się, że w samym sercu fioletu widzę biały płomień, jasny niczym srebro, błysk czegoś... czegoś... czegoś, co powiększało się nieskonczenie, rozwijało, aby wypełnić cały wszechświat, a w tym samym momencie malało do rozmiarów małej iskry, prawie nierozróżnialnej przez ludzkie oko.

Nie można długo patrzeć na coś, co jest, a jednak nie istnieje... na szczęście umysł przestał rejestrować, odciął się od widoku zbyt strasznego, zbyt wzbudzającego grozę, a tak cudownego.

Ocknęłam się na podłodze namiotu, czara była przewrócona, resztką zawartości wsiąkała w ziemię. Na szczęście wylała się obok tkanej podłogowej maty Jonki.

Powoli, bojąc się nawet pomyśleć o tym, co zobaczyłam, podniosłam się. Byłam zmęczona, ale dziwnie spokojna. Po umyciu i wysuszeniu amuletu odłożyłam wszystkie rzeczy, zgasilałam świecę i poszłam spać.

Zamknęłam oczy i oddychałam głęboko leżąc w białym świetle księżyca, czułam, jak powoli zasypiam. Dopiero wtedy, uspokojona i pogodna, pomyślałam o moim wroźeniu i o dziecku, które rzeczywiście w sobie nosiłam. Ten fiołkowy blask... Malenstwo, pomyślałam, jak gdyby mój syn lub córka już mogły dzielić ze mną myśli, czym/kim - byłeś przedtem? Kims z ludzi Starej Rasy, na pewno... kims, kogo Moc zaciemniała moje zebrane z takim trudem wiadomości.

Niektórzy ludzie należący do mojej rasy uważali, że każdy przychodzący na ten świat miał poprzednie wcielenia. Wobec tego wszyscy przeżywamy wiele istnień, a czyny z poprzednich wcieleń determinują naszą egzystencję w obecnym życiu. Miałam bezpośredni dowód na to, kiedy Landisi ukazał się Kerowanowi jako istota mająca starodawną tożsamość z moim panem. Być może w jakimś minionym czasie rzeczywiście byli jedną osobą.

Czy właśnie poprzez to dziedzictwo Mocy nasze dziecko odznaczać się może takimi właściwościami? Czy tylko potomkowie Kerovana dziedziczą cechy rodowe dawno zapomnianej władzy? Pomyślałam o mojej ciotce. Damie Math, jak zwała kamienie Ithkryptu na zniechęconych najeźdźców Alizonu. Takie wykorzystanie Mocy spowodowało jej śmierć, ale z takiej śmierci byłby dumny każdy wojownik. Jedną starą kobietą zrownała z ziemią zamek obronny mogący stać jeszcze przez wieki. To nie były małe czary. Aja... znając niewiele nad to, czego nauczyłam się przy Damie Math i innej Matce Kobiety, wzmocniłam moją wolę... moja Moc i teraz mogłam przyznawać się do znajomości niewielkiej części starożytnej Sztuki.

Nie, nasze dziecko nie otrzymało całej swojej siły tylko od mojego męża... ja także miałam w tym swój udział.

Wówczas pomyślałam z uśmiechem, że dziecko i jego Moc mogły być całkowicie niezależne i nie miały nic wspólnego z moim rodem. Powinno mi wystarczyć, że Gunnora odpowiedziała na moje pytanie, dała pozytywną odpowiedź. Usiłowałam wyobrazić sobie

Kerovana trzymającego w ramionach małą wezelek, jak patrzy na to piskzące czerwone stworzenie, które musi uznać za swoje i czuje się przy tym nieszczególnie, jak większość ojców.

Czy będzie uradowany? Całym swoim istnieniem miałam nadzieję, że tak, chciałam, aby jak najszybciej powrócił. Może to właśnie będzie dla niego wystarczającym powodem do znalezienia prawdziwego domu. Chociaż okazał się dobrym akuszerem przy ozrebianiu Briaty, niezbyt marzyła mi się myśl rodzenia syna lub córki gdzieś na pustkowiu, bez żadnej Matki Kobiety - takiej, która znalazłaby się na przyjmowaniu porodów i miała zdolne i wypróbowane dłonie.

Policzyłam tygodnie i stwierdziłam, że termin wypada gdzieś około Uczty Środka Zimy, wtedy gdy oddech Lodowego Smoka był jak najbardziej dotkliwy. Zamknęłam oczy i poczułam się senna, prawie już zasypiając przysięgam sobie, że zanim to się stanie, mój pan i ja będziemy już wtedy mieszkać we własnym domostwie (chacie, zamku lub namiocie), zanim...

Podczas pobytu w obozowisku Kiogów nie miałam powodu do stosowania moich umiejętności leczniczych, z wyjątkiem tych, jakie sama potrzebowałam. Nie potrafiłam zapomnieć ciemnej, zamkniętej twarzy Nidu i wydawało mi się, że w tym wypadku najlepsza będzie rozważa - zachowywać milczenie i nie robić nic, co mogłoby wyglądać jak uzurpacja stanowiska Szamanki...

Dwa dni później po próbie wrozenia nie miałam jednak wyboru. Wczesnym popołudniem usłyszałam w moim namiocie głos Terlys. - Joisan! Joisan! Musisz przyjść!

Wstałam szybko, w tym samym momencie zasłona przy wejściu została zerwana gwałtownym wtargnięciem Terlys.

-Joisan! - zazwyczaj spokojna Terlys złapała mnie gorączkowo. - Twoja sztuka Madrej - Janos jest chory - musisz przyjść!

-Juz ide. - Szybko zabrałam woreczek z lekami, sprawdzając jego zawartość. - Co mu jest, Terlys? Uspokój się i opowiedz wszystko, co pamiętasz.

-Obudził się dzisiaj rano z bólem głowy, ale poza tym wydawał się zdrowy. Dzisiaj po południu położył się mówiąc, że jest zmęczony. Teraz, kiedy poszłam go obudzić, poczułam od niego gorączkę, zanim go dotknęłam. Nie pozwolił się obudzić, tylko się rzuca i jęczy,

-Gorączka... wysoka gorączka... - zajrzałam do woreczka i stwierdziłam, że lepiej nie będę już przygotowana. - Kiedy dojdziemy do namiotu, zagotuj wody. Muszę zrobić wywar z czarnej wierzby i szafranu.

W przyciemnionym świetle namiotu Terlys obejrzałam Janosa. Miał tak wysoką gorączkę, że skóra wydawała się naciągnięta, oczy były zapadnięte w głąb czaszki. Balam się, że jeżeli jego ciało nie zostanie ochłodzone, to zaraz dostanie konwulsji.

-Szybko, Terlys - powiedziałam, ściągając z dziecka ubranie.

-Wyniesiemy go na zewnątrz, do strumienia. Przynies czyste szmaty i czerpak. Musimy go obmyć chłodną wodą.

Kilku Kiogów obejrzało się za nami, gdy dążyliśmy w stronę strumienia. Terlys niosła Janosa, a ja szłam za nimi dzwigając torbę z lekami i garnek wrzącej wody. Podeszła do nas Jonka.

-Co sie dzieje, Cera?

-Janos jest bardzo chory. - Przyspieszylam kroku. - Ma wysoka goraczke.

-Gdzie jest Nidu? - zapytala Jonka, dolaczajac do nas.

Terlys nie odwrocila sie nawet przy odpowiedzi.

-Pytalam, ale nikt nie wie, gdzie poszla, tylko ze nie bylo jej od rana.

Nad strumieniem pomoglam Terlys ulozyc Janosa na plecionej macie, a potem kazalam jej zmoczyc szmaty i polozyc na jego ciele.

-Gdy skora przyzwyczai sie troche do chlodu wody, zacznij polewac go czerpakiem.

Podczas gdy Terlys zaczela moczyc i wyzymac szmaty, szybko namascilam sie olejem leczacym, nastepnie zapalilam trzy blekitne swiece, ktore przynioslam ze soba. Zerkajac spod oka na Terlys i pomagajaca jej Jonke, rozpoczalam pospieszna i zarliwa inwokacje:

-Gunnoro, pani, ktora opiekujesz sie niewinnymi, ulecz Janosa i poblogoslaw go. Wspomoz mnie w niesieniu pomocy, prosze cie o to w imieniu Duchow Swiatla. Niech sie zawsze dzieje Twa wola.

Wzielam nadal wrzacy garnek i odmierzylam z mojego woreczka szczypte proszku z czarnej wierzby, potem kilka szczypt szafranu, a nastepnie porcje drzewa sandalowego. Mieszajac wszystko razem, czekalam, az woda ostygnie, staralam sie uspokoic, odprezyc spiete miesnie. Musze odsunac od siebie niecierpliwosc - zastosowac odpowiednia dyscypline.

Zamknelam oczy i odetchnelam gleboko, zmuszalam sie do spokoju, do wiary w moje sily. Niewiele mozna dzialac w sztuce leczenia, dopoki leczacy nie osiagnie spokoju, stanu odprezenia i mozliwosci ujrzenia w swoim umysle osoby chorej jako calkowicie uleczonej... Skoncentrowalam sie na widzeniu Janosa szczesliwym, jadacym na swoim kucyku. Mieszalam napar, az ostygl na tyle, by mozna bylo go przelac do blekitnej krysztalowej czary, ktora trzymalam do celow medycznych.

Podeszlam do Janosa i dotknelam jego czola. Wysilek Terlys troche pomogl - dzieki Gunnorze - chlodna woda orzezвила go nieco, a nalewka calkowicie zwyciezyla febre. Podtrzymujac na wpol przytomne dziecko, zmusilam go do wypicia zawartosci czary. Skrzywil sie po pierwszym lyku, ale pod wplywem naszych namow wypil potem nastepne. Przykrylysmy go lekkim kocem i cicho usiadlysmy obok. Trzymalam w dloni reke Terlys i kazalam jej myslec o Janosie jako o zdrowym i wesolym chlopcu. Starajac sie utrzymac te wizje i z calej sily koncentrujac sie na uzdrowieniu, nie uslyszalam krokow na przeciwnym brzegu strumienia.

-Jakie ma szanse? - Ostrosc tego pytania zaskoczyła mnie.

Otworzyłam oczy i na drugim brzegu zobaczyłam stojąca Nidu. Jej zaciemnione oczy zazwyczaj tak puste i ciemne, błyszczały teraz gniewnie.

Milczałam, odpowiedziała Terlys.

-Cera Joisan pomogła, gdy Janos nagle dostał wysokiej gorączki.

-Pomogła! - Niewiara Nidu była oczywista. - Zanurzyła biedne dziecko w strumieniu? Dusila go miksturami? On potrzebuje magicznego bebna, Terlys... nie tego - tego...

Nigdy nie dowiedziałam się, jakie jeszcze oszczerstwo miała na myśli. Krzyk zdziwienia, jaki wydała z siebie Jonka, spowodował, że wszystkie odwróciliśmy się do Janosa.

-Patrzcie, na jego czole widac pot. Gorączka spada. Podbiegłam z powrotem do chłopca i dotknęłam z ulgą jego czoła i piersi. Jonka miała rację. Terlys delikatnie otarła mu czoło i szepnęła coś do niego cichutko, na chwilę otworzył oczy - Mamo... pic...

-Czy można dać mu wody? - zapytała Terlys.

-Oczywiście, takie wysokie gorączki odwadniają organizm. Daj mu chłodnej, ale nie zimnej wody.

Kiedy niosliśmy chłopca do namiotu, rozejrzałam się za Nidu, ale nigdzie jej nie było. Gdy Janos usnął, dałam resztkę naparu Terlys i poleciłam jej dać mu jeszcze jedną porcję o zachodzie słońca i jedną o północy.

-Jeżeli będzie potrzebował więcej, to uwarzę rankiem powiedziałam - ale nie wydaje mi się, żeby był jeszcze potrzebny. Skryj go przed chłodem i każ mu przynajmniej jutro zostać w domu. Będzie zamilkł, uświadamiając sobie, że to Nidu powinna mieć ostatnie słowo dotyczące chłopca... - Przyjść jutro po południu, nie będzie mnie rano - powiedziałam stanowczo. Na razie Janos był pod moją opieką i powinnam go dopilnować. Jeżeli Nidu nie potrafiła zrozumieć zasad poświęcania się Sztuce Leczenia, musiała być bardzo nieumiejętna znachorka.

-Dziękuję, Cera Joisan. - Terlys wzięła moje ręce w swoje dłonie. - Zwrociłaś mi mojego pierworodnego, mam nadzieję, że pewnego dnia sama dowiesz się, co to znaczy. Jak wielki jest to dar. Jestem ci dłużna i oboje z Rignonem przyjmujemy ten dług. Będzie się starała spłacić go, gdy tylko będzie mogła.

-A ja jestem ci wdzięczna za ciepło twego ogniska i twoje towarzystwo, Terlys. - Teraz ja ujęłam jej dłonie, poruszona bardziej, niż mogłam to pokazać. - Niech Gunnora błogosławi tobie i twojej rodzinie.

W gardle czułam dziwna suchosc i przez chwile zastanawialam sie nad glebokimi emocjami, jakie wyzwolilo we mnie uleczenie Janosa i slowa Terlys... To bylo zupełnie tak, jak gdyby moje najbardziej intymne uczucia zostaly uzewnetrznione. Dlaczego? Zawsze uczono mnie silnej kontroli, maskowania mysli i uczuc - byla to czesc nauki, jaka otrzymalam jako przyszla pani Na Zamku, zanim wojna zniszczyla moja przyszlosc.

Nagle odnalazlam odpowiedz na to pytanie. Wiele z moich pacjentek opisywalo to uczucie jako "wrazliwosc" na otoczenie w momencie ciazy - czy moglam pomyslec, ze jako uzdrawiajaca bede niewrazliwa na dziecko?

-Uśmiechasz sie, pani? - Za mna rozlegly sie zimne slowa.

Odwrocilam sie i zobaczylam Nidu wychodzaca z najblizszego namiotu. Szamanka jak zwykle byla ubrana w ciemnobrazowa szorstka szate z kapturem. U paska wisial maly bebenek, a jej palce poruszaly sie lekko po jego powierzchni wytwarzajac ciche bebnienie. Dlaczego sie usmiechasz? Czy masz jakies tajemne szczescie? A moze myslisz o tym, jak mnie osmieszylas przed chwila?

Stwierdzilam, ze ledwie slyszalny dzwiek bebna nie pozwalal mi na koncentracje, ale mimo to odpowiadalam:

-Z pewnoscia nie, Cera Nidu. Po prostu ciesze sie, ze Janos jest zdrowszy.

-Dzieki tobie oczywiscie... - Zblizyla sie do mnie, szybciej poruszajac palcami. - Wyglada na to, ze masz jakas Moc, chociaz nie jest ona taka silna jak moja, ale bede musiala sie z toba liczyc. Bebnienie bylo coraz silniejsze, Nidu zaczela sie kolysac w takt uderzen. - Czy masz zyczenie, by tutaj pozostac? Tak, pani?

-Nie... nie wiem. - Ze strachu stwierdzilam, ze moj puls zaczyna przyspieszac w takt uderzen bebna. - Musze tutaj pozostac, dopoki moj pan nie powroci z wyprawy. Nie wiem, co bedzie robil potem. Nie chce sprawiac klopotow. Przyszlam na wezwanie Terlys, jest tutaj moja przyjaciolka.

Oczy Nidu byla czarne niczym studnia, kamienne i bez wyrazu.

-Widze, ze nie klamiesz. Mimo to czasem nawet ci, ktorzy nie pragna tworzyc klopotow, jednak je znajduja. Twoje wezwania obudzily Duchy Snow, ktore odpowiadaja na moje bebnienie. Zciemnily sie polaczenia, na ktorych sie z nimi porozumiewalam. Musisz odejsc, teraz.

-Nie moge. Moj pan...

-Joisan, twoj pan ma wlasne klopoty. Tak jak i ty, pani, wtraca sie w nie swoje sprawy, a nie ma nawet twoich niewielkich umiejetnosci. Patrz. - Podniosla reke, tak ze widzialam poznaczone liniami wnetrze jej dloni. Bebnienie przyspieszalo svoj rytm bardziej. Chcialam

zrobic krok do tyłu, odsunac sie od grozacej reki, ale nie moglam sie poruszyc. Patrzylam na dlon i nie moglam odwrocic wzroku, nagle ujrzalam zawirowanie... chmure. Obraz, który rosl...

Na srodku nie konczacej sie rowniny stal Kerovan z wyciagnietym mieczem, jego bransolety blyszczala jasno, wryte na obwodzie runy pulsowaly czerwono i zloto. Dalej znajdowalo sie cos, co wygladalo jak studnia - trudno bylo zobaczyc dokladny ksztalt, gdyz otaczal ja nimb Cienia. Wstrzymalam oddech rozumiejac, ze Ciemnosc wolala, przyciagala mego pana, a on odpowiedzial na wyzwanie. Stal w rozkroku, z uniesiona glowa, patrzyl na owa rzecz tak prawdziwa w moim dalekowidzeniu, ze wydawalo mi sie, iz moge wyciagnac reke i zlapac go za ramie, odciagnac od probujacego go zwabic niebezpieczenstwa.

-Kerovan! - Sprobowalam mowic, a potem laczyc sie z nim telepatycznie, ale Kerovan nie odwrocil swej uwagi od Istoty, przed ktora stal. Czy byla to iluzja, ktora stworzyla Nidu? Ale on byl taki rzeczywisty - byl tak blisko, ze widzialam slaby cien zarostu na jego policzku, widzialam, jak wiatr rozwiewa wlosy na jego odkrytej glowie. Wlosy mial dluzsze niz przed odjazdem. Dlaczego mnie nie slyszal? Kerovanie!

Wolno skierowal sie w strone owej Istoty, jeden krok... drugi...

-Kerovan! - Moj krzyk przerazil mnie, a takze kilku przechodzacych obok Kiogow. Zamrugalam powiekami, zadrzalam, serce bilo mi gwaltownie, chociaz beben juz umilkl. Nidu stala przede mna usmiechnieta, uklad jej ust nie kryl w sobie nic z przyjazni ani ludzkiej dobroci. Powoli opuscila reke.

-Widzisz? Twój pan może w ogóle nie powrócić z wyprawy. Lepiej będzie, jeśli pojedziesz dalej bez niego szczęśliwa, że możesz to zrobić bezpiecznie.

Zawrzała we mnie gorąca, gwałtowna złość, była niczym zatruta od wewnątrz rana. Pragnelam dobyć sztyletu zza pasa, a jeszcze bardziej miecza lezacego kilka kroków dalej w moim namiocie.

Lecz utrzymana na wodzy złość, skryta przed nienawiścią innej osoby, jest często o wiele silniejsza bronia. Zmusilam swój głos do spokoju.

-Wiesz, że tego nie zrobię, Nidu. Czekać na bezpieczny powrót mego pana. Już wcześniej stawał przed Cieniem i zwyciężał.

-Naprawdę tak myślisz? Czy chciałabyś zobaczyć, co się teraz z nim dzieje?

Nie miałam odwagi przyjąć jej propozycji wywołania następnego dalekowidzenia - domyślałam się, że moja akceptacja uchyliliby drzwi dla dowolnej iluzji, jaka Nidu pragnęła, abym zobaczyła. Śmierć Kerovana lub gorzej. Dobrowolne przyjęcie daru czaru od osoby, która źle życzy, może związać przyjmującego z dającym, a cena może być straszna.

-Nie - odpowiedziałam twardo i bez żadnych dodatkowych słów, po czym odeszłam szybko do mojego namiotu.

Bezpieczna w środku, z daleka od przyjaznych i nieprzyjaznych spojrzeń, osunęłam się na posłanie. Ciałem wstrzasnęły dreszcze, a gardło ścisnęło się. Ta istota Zła - i mój pan szedł w jej kierunku! Czy jeszcze żył? Wypowiedziałam do Nidu odważne słowa, ale moja pamięć powracała do niewzruszonej decyzji Kerovana unikania wszelkiego rodzaju Mocy, z wyjątkiem tych najbardziej ludzkich. Stojąc twarzą w twarz z takim przeciwnikiem, zwyczajna stała się, nawet trzymana w dłoni takiego wspaniałego wojownika jak Kerovan, mogła działać niewiele. Jeżeli Kerovan w ten sposób próbował walczyć z takimi zagrożeniami... zamknęłam oczy, starając się uchwycić jakąś nic wspólną myśl, tak by móc wiedzieć... ale reakcji na moje wołanie nie było. W ciągu kilku następnych dni próbowałam się z nim kilkakrotnie skontaktować, miałam jednak niewielką nadzieję. Nasze łączenie myśli przychodziło nam z trudem, najczęściej zdarzało się, gdy znajdowaliśmy się w odległości głosu lub przy fizycznym kontakcie. Możliwość kontaktu przy odległości liczonej w wielu dniach podróży... A jednak po pewnym czasie stwierdziłam, że nadal wzywam - ale napotykam pustkę.

Każdego wieczoru zmęczona kładłam się na posłaniu. Kształtowanie dziecka podczas trzech pierwszych księżyców jest bardzo męczące dla ciała matki. Słyszałam o tym wiele razy i stwierdziłam teraz, że to prawda, chociaż na moje szczęście nigdy nie miałam nudności. Czulałam się dobrze, z wyjątkiem niespotykanego zmęczenia - i ciągłego martwienia się o Kerovana.

Podczas tych dni pojawiło się jednak także coś innego. Coś, co starałam się wytłumaczyć moją ciążą, ale nie czulałam się usatysfakcjonowana... rozpoczęły się sny.

Każdej nocy sniłam, że staje się inna osoba - młoda kobieta, o nie w pełni ludzkich kształtach. Nigdy nie widziałam swojego odbicia, ale dłonie miały wydłużone, lekko wygięte palce, o lekkim, perłowym zabarwieniu, jak gdyby były pokryte drobnymi luskami. Na ramionach (odsłoniętych przez krotką tunikę, jaką nosiłam) widac było wyraźny biały puch, także zabarwiony na perłowo.

Na początku budziłam się natychmiast, gdy przychodziła senna przemiana. Ale każdej kolejnej nocy coraz dłużej przebywałam w tym drugim ciele. Patrzyłam jej oczyma. Jako ta Druga mieszkalam w starej kamiennej Wieży, tak starej, że nie sposób było określić jej wieku, starszej nawet od ruin, jakie spotkałam w High Hallack. Patrząc z okna na szczyty (Wieża znajdowała się na gorskiej grani) wiedziałam, że ta budowla stoi od niepamiętnych czasów.

A jednak ja nie byłam stara - raczej młoda, nawet młodsza niż w rzeczywistości. Szczyty górskie mnie nie przerazały, znalazłam każdą ścieżkę, każdą skałę, każdą szczelinę. Prawie codziennie schodziłam z gór do leżącej w dolinie rzeki, do otaczających ją łąk i lasów.

Kochalam strome skaly gorskich szczytow, ale jeszcze bardziej u siebie czulam sie w dolinie. Ptaki, zwierzeta - nawet drzewa i trawy mialy ze mna specyficzne pokrewienstwo, w moim swiecie nie bylo wiekszej radosci niz przesiadywanie nad lesnym strumieniem lub swobodne bieganie po nadrzecznych lakach.

Obrazy - wedrowki przez lasy lub wspinaczka na gorskie szczyty - dominowaly w moich snach przez wiele nocy. Co dziwniejsze, nigdy nie obawialam sie tej Drugiej istoty na jawie.

Kazdej nocy kladlam sie spac wiedzac, ze sen nadejdzie i kazdy nowy poranek zastawal mnie budzaca sie z glebokiego odprezajacego snu, ktory byl zwyczajny pod kazdym wzgledem z wyjatkiem jednego. W odroznieniu od moich normalnych snow nie zapominalam tego, co mi sie obecnie snilo, wspomnienia nie ulegaly zatarcu w ciagu dnia. Coraz mocniej odczuwalam pewnosc, ze kazdej nocy patrze cudzymi oczyma w celu dowiedzenia sie historii - historii, ktorej znaczenie w koncu stanie sie oczywiste. Z jakiegos powodu nawet przez chwile nie watpilam, czy sny te rzeczywiscie maja jakies znaczenie... W miare uplywu nocy pojawila sie pewnosc, ze w pewien sposob jestem zlaczona z ta Druga.

Byc moze dlatego, ze kazdy dzien byl wypelniony zmartwieniem o Kerovana, zaczelam wyczekiwac na moj sen, chcialam sie dowiedziec czegos wiecej o tej Drugiej. Pewnego dnia, gdy Terlys wraz ze mna siedziala przed namiotem i wyczesywala len, gorace poznawiosenne slonce padlo na moje oczy zmuszajac do zamkniecia powiek. Czulam sie spiaca, jednak nie zasnalam jeszcze i nadal czulam cieply powiew wiatru, slyszalam krzyki dzieci. Przez chwile odprezylam sie. Sloneczne promienie zabarwily zamkniety pod powiekami obraz na czerwono... potem czerwien zmienila sie... sciemniala, stala sie ciemna zielenia glebokiego lasu. Slyszalam szemranie strumienia... strumienia uderzajacego o moje nogi, gdy szlam po jego dnie...

Wzdrygnelam sie i obraz zniknal. Wstrzymalam na moment oddech rozumiejac, ze przez chwile bylam w swiecie snu tej Drugiej, a jeszcze nie spalam. Czy moglam wiec to teraz czynic z wlasnej woli? I czy bylo to dobre? Nigdy nie czulam cienia Ciemnosci w tych obrazach... ale, jak powiedzialam Kerovanowi, Ciemnosc ma wiele ksztaltow i twarzy, niektore z nich sa bardzo mile i piekne.

Terlys popatrzyła na mnie uwaznie. - Co sie stalo, Joisan? Przez chwile wygladalas na przestraszona. Bylo w tobie cos dziwnego... tylko przez chwile. Potem zniknelo. Czy dobrze sie czujesz?

-Calkowicie - odpowiedzialam. - Przysnelam na tym cieplym sloncu, nic ponadto.

-Dokoncze czesania. Idz do namiotu i przespj sie. Przysle po ciebie Janosa, kiedy bedzie czas na pieczenie. Pamietaj, ze dzis jest Festiwal Przemiany.

Powstrzymujac ziewanie, stanelam na nogi.

-Nadal czuje sie spiaca. Dziekuje ci, Terlys.

W drodze do namiotu starałam się policzyć, od ilu dni mój pan i cała wyprawa byli na zwiadach. Dzisiejszy księżyc był prawie w pełni, minęło więc ponad dwa razy po dwadzieścia dni. Wyprawa miała ze sobą zapasy na miesiąc.

Ostatniego wieczoru Jonka uspokajała mnie, że wszystko jest w porządku - że z pewnością znaleźli zwierzyne i polowali, tak jak było zaplanowane, i że nadal spodziewa się ich powrotu na Festiwal. Ja także miałam nadzieję spotęgowana jeszcze strachem i samotnością, jaką odczuwałam, odkąd Nidu pokazała mi wizję Kerovana stawiającego czoło Cieniowi. Mój pan i pozostali powroca bezpiecznie - nie wolno było inaczej myśleć!

Kerovan wypełniał moje myśli, gdy kładłam się w namiocie. Myślałam o nocy, która tutaj spędziliśmy, nocy, kiedy zostało poczęte nasze dziecko... Przez chwilę wydawało mi się, że znowu czuję ciepło jego ciała. Powieki stały się ciężkie, zamknęłam oczy, widząc nadal obraz mojego meza. Kerovan...

Znowu miałam daleką wizję, widziałam jego i resztę wyprawy. Mój pan jechał na czele. Miał na sobie zbroję, a hełm był spuszczonej na oczy, ale nadal wiedziałam, że to on.

Patrzyłam na nich z jakiejś nieokreślonej wysokości. Jechali w stronę obozowiska, ale ich nie słyszałam. Równiny falowały dziwnie, momentami wydawały się szare, a potem znowu wiosennozielone. Zbliżali się do obozu. Poruszali się bardzo szybko, przed chwilą byli oddaleni prawie o milę...

Do namiotu zbliżyły się kroki, zaszeleszczała zasłona! Kerovan! Skoczyłam na nogi i wybiegłam na jego spotkanie, czułam taką ulgę, że powrócił bezpiecznie, że poruszałam się niczym puchowe piórko na silnym wietrze. Kerovan! Jego sylwetka rysowała się w wejściu do namiotu...

Nagle spojrzałam bacznie, gdy słoneczne promienie zabłysnęły na trzymanej przez niego w reku stali. Miecz był wydobyty? Ale po co?

Próbowałam się zatrzymać, ale coś pchało mnie do przodu, zobaczyłam, jak podnosi reke, ostrze błysnęło i zatoczyło łuk pełen mistrzostwa doświadczonego wojownika. Blask stał się jednym wielkim bólem.

Spojrzałam w górę znad przebijającego mnie miecza i przerażona zobaczyłam, że na twarzy Kerovana widniał uśmiech... z mego gardła wydarł się krzyk pełen okropnego bólu i udreki. To mnie obudziło. Leżałam bezpiecznie na posłaniu, chociaż odległe echo ciosu czułam jeszcze w moim ciele przy każdym poruszeniu. Tak więc przynajmniej ból był prawdziwy. Ktoś natarł na mnie mieczem, ale nie był to miecz realny. To były czary...

Wstałam niepewnie, czując przebiegający po karku dreszcz, przesunęłam reka po szyi, drugą położyłam pośrodku ciała. Nic więcej się nie pojawiło, wciągnęłam mocno powietrze, wstrzasnęło mnie lkanie bólu i ulgi. Ktoś chciał zrobić mi krzywdę, chciał zabić moje dziecko, ale najwyraźniej nie udało mu się - niech beda za to dzięki Blogosławionej Gunnorze.

Wzielałam w dłoń amulet i wyszeptalam krótkie i prawdopodobnie niezrozumiałe podziękowanie do Bursztynowej Pani.

-Joisan! - usłyszałam głos Jonki. - Czy jesteś bezpieczna? Usłyszałam twój krzyk...

-Wszystko w porządku - starałam się uspokoić brzmieniem mojego głosu, jak tylko mogłam najlepiej. - Przesuwałam posłanie i mysz przebiegła mi przez stopę. - Rozesmiałam się słabo. Tego przynajmniej nie musiałam udawać. - Jest mi głupio.

-Nonsens. Każdy by się wystraszył - w głosie Jonki slychac było zapewnienie. - Milego dnia ci życzę, zobaczymy się później na Festiwalu.

-Dziękuję, Jonko.

Zdegustowana faktem, że musiałam udawać głupia niewiastę przed Przywódczynią, postanowiłam znaleźć próby wyjaśnienia koszmarnego snu. Zaczęłam od wyciągnięcia posłania. Przesunęłam je o parę stop i nagle zobaczyłam coś jasnego wepchniętego pod matę. Wzielałam to szybko do ręki i stwierdziłam, że była to jedna z moich lnianych koszul. Zniosłam jado światła wpadającego przez wejście do namiotu. Obejrzałam dokładnie. Gdy obracałam ubiór, coś wysunęło się z niego i upadło na podłogę - w tym samym momencie zobaczyłam, że ktoś wyciął w nim duży kawałek materiału na wysokości serca.

Rozchyliłam szerzej wejście do namiotu i sprawdziłam, co upadło na ubita ziemia posadzki, starałam się tego czegoś nie dotykać. Było małe, owalne i czarne - kamień, na którego powierzchni widniały jaśniejsze zadrapania mogące być runami...

To rzeczywiście były czary, a kamień był centralnym miejscem. Zawinięto go w moją koszulę i położono tam, gdzie miałam się położyć. Stałam przez chwilę drżąc cała, pełna wściekłości i nienawiści. Tak bardzo chciałam pokazać te przedmioty Jonce, opowiedzieć jej o mojej ciąży i zażądać śmierci Nidu. Każdy, kto potrafił przywołać takie czary, był naznaczony śladem Cienia. W takim przypadku Szamanka nie miała prawa służyć Kiogom. Najwyraźniej zazdrość zmusiła ją do pojęcia ścieżki odchodzącej od Światła.

Jakie miałam jednak dowody? Podarta koszulę i coś, co mogło być wygładzonym przez strumień kamieniem o naturalnie jasnych pasmach - wiedziałam tylko, że tak nie jest. Nie, musiałam najpierw znaleźć brakujący kawałek materiału i sprawdzić, co zawierał. Wtedy oskarżę Nidu, jeżeli taka będzie konieczność. Być może po dzisiejszej nieudanej próbie spróbuje raz jeszcze. Rzucenie czarą na kogoś nieprzygotowanego było czymś zupełnie innym od pojedynku z przeciwnikiem. Nie miałam takiej mocy jak Nidu, ale w moim worku z ziołami znajdowały się rzeczy, które w pełni mogły ochronić przed złem. Zaraz po powrocie Kerovana moglibyśmy opuścić oboz Kiogów. Nigdy nie należałam do tych, którzy uciekają przed walką, ale teraz musiałam myśleć nie tylko o swoim bezpieczeństwie.

Po podjęciu decyzji wyciągnęłam rękę z amuletem Gunnory nad materiałem, starając się go nie dotykać. Szata nosiła przecież znak Cienia.

-Błogosławiona Pani Plonow, wspomóż mnie. Gdzie znajduje się pozostała część ubrania, chce ją odnaleźć i ochronić się przed złem. - Trzykrotnie przesunęłam amulet nad Iniana koszulę. Wybrałam kierunek przeciwny do wskazówek zegara, ponieważ siła, która ją dotknęła, była przeciwna naturze.

W talizmanie zabłysło niewielkie światełko. Poczulałam, jak coś pociągnęło mnie mocno w prawą stronę. Szybko wzięłam worek z ziołami, związałam włosy, poprawiłam ubranie, a potem trzymając w ręku amulet wyszłam do obozu. Niosłam także czarny kamyczek ponownie ukryty w Inianej koszuli.

Idąc za wezwaniem amuletu, wyszłam poza oboz i skierowałam się do niewielkiego lasu otaczającego strumień od północy. Staralam się zachować spokój, nie pozwoliłam, aby opanowała mnie nienawiść. Nadal nie potrafiłam podjąć decyzji, czy powinnam powiedzieć Jonce o zamiarach Nidu - zastanawiało mnie także, dlaczego czary Szamanki spełzyły na niczym.

W końcu, spocona i zmęczona, po przedostaniu się przez krzaki i kolczaste rośliny (amulet prowadził prosto, a nie miałam odwagi na poszukiwanie ścieżki), znalazłam to, czego poszukiwałam.

Oczywiście - krzak czarnego bzu. Czarny bez z samej swojej natury służy ciemnym czarom - egzorcyzmom, plagom i tym podobnym sprawom. W lekkim podmuchu hustała się mała figurka wyciosana z jakiegoś drewna. Przyjrzałam się jej dokładnie (nadal zachowując odległość), to chyba był kiedyś korzeń. Jest kilka takich, które mogą być wykorzystane - jesion, przestęp, ale coś mówiło mi, że Nidu nie powzięła półśrodków w swoich czarach i że patrzyłam na najprawdziwszy korzeń mandragory, korzeń bardzo rzadko spotykany, o bardzo dużej mocy... szczególnie w czarach związanych z płodnością. Mała figurka została zapakowana w wycięty kawałek z mojej koszuli, a następnie przyspilona do pnia czarnego bzu za pomocą koscianej igły, wbitej w okolicy pasa postaci.

Na myśl o potędze nienawiści, jaka spowodowała takie zło, poczułam na nowo przypływ mdłości. Za pomocą noża potraszałam krzakami i figurka spadła na ziemię. Następnie poszukałam drzewa jarzebiny, gdyż jarzebina jest jednym z najbardziej odpornych na czary drzew. Takie drzewo rosło w pobliżu.

Wsunęłam laleczkę na pozostałość z mojej koszuli, nadal starając się jej nie dotknąć. Zniosłam cały pakunek do gietkiego drzewka i przemówiłam do niego:

-Dobre drzewo jarzebiny, daj mi swoją moc i pozbadz się zamowionych czarów. Proszę cię o to w imieniu Błogosławionej Gunnory i w imieniu Mocy Światłości.

Szybko wykopałam nożem otwór w ziemi pod koroną jarzebiny, ale nadal w sporej odległości od jej korzeni. Nie chciałam w żaden sposób zagrazić drzewu. Następnie czubkiem noża wsunęłam zawiniątko do otworu, dokładnie go zasypując i ubijając ziemię.

Z woreczka z ziołami wyjęłam główkę czosnku, obralam z zewnętrznej, przezroczystej osłony, a potem podzieliłam na poszczególne ząbki, które wcisnęłam w ubita ziemię. Czubkiem noża nakreśliłam ochraniające runy i trzykrotnie wyszeptalam: Związ zło, niech leży tutaj zawsze. Chron wszystko.

Na koniec rozsypałam na miejscu garść soli, a potem podniosłam się, strasząc ziemię ze spodnicy. Wstając, poczułam na sobie czyjeś spojrzenie. Próbowałam sobie wytłumaczyć, że to tylko nerwy napięte do granic ostateczności i prawie mi się to udało, gdy usłyszałam kroki. Odwróciłam się w kierunku patrzącego, trzymając w ręku noż.

Rozdział 6 - Kerovan

Z każdym krokiem zrobionym w kierunku studni coraz bardziej zwalniałem. Coraz bardziej pragnąłem siedzieć właśnie na grzbiecie Nekii i odjeżdżać w dalszą drogę. Guret miał rację - nie byłem czarodziejem. Nie przyznawałem się do Mocy, jakie mogły uzbroić mężczyznę w takiej walce. Rozpoczynanie walki z Cieniem bez takiej ochrony było czystym szalenstwem. Bałem się, a strach rosnął we mnie w miarę, jak na sztywnych nogach zbliżałem się do źródła zła. A jednak nie mogłem zawrócić... częściowo powstrzymywała mnie duma oraz zwyczajny upor, z jakim zawsze stawiałem czoło nieprzyjacielowi, nawet w przypadku pewnej przegranej. Takiego uporu nie można nazwać prawdziwą odwagą, jakkolwiek mocno podtrzymuje on mężczyznę. W końcu nie musiałem już iść dalej. Stałem przy studni i znowu czułem jej uwodzający zew, czułem suchość w ustach i w gardle, i słyszałem szmer bulgoczącej wody. Dłoń sama powędrowała do miejsca zamocowanego u pasa, w którym trzymałem odłamek metalu kamienia podobnego do tego, z którego została wykonana moja bransoleta. W słońcu quan-stal zabłysła błękitnie tak samo, jak mój talizman. Patrząc na niego zwyciężyłem oczarowanie, jakie spowodował dźwięk wody.

Gdybym tylko wiedział coś więcej! Czy mogłem wezwać Moc z tego odłamka błogosławionego metalu?... Odchrząknąłem, moja dłoń samoczynnie uniosła się w górę wraz z odłamkiem quan-stali ustawionym niczym tarczą. Słowa były przerywane, a głos drzący, lecz prośba była najszczerza ze wszystkich, jakie kiedykolwiek wypowiedziałem:

-Jeżeli istnieją Ci z Światłości, którzy mogą mnie usłyszeć, niech przyjdą mi z pomocą. Pomóżcie w tym, co mam uczynić. Pomóżcie zniszczyć Istoty z Cienia. Proszę o to uniesienie, gdyż bez błogosławieństwa Światła jestem niczym.

Stałem, trzymając w prawym ręku okruch quan-stali, czekałem, czując ból w miejscu, gdzie żeby Obręda przecięła mi skórę. Ze zranionego kciuka nieprzerwanie skapywała krew i wolno wsiąkała w ziemię. Nagle uświadomiłem sobie! Krew! Można ją wykorzystać do wzmocnienia zaklecia, to był najczęściej spotykany element zarówno w dobrych, jak i w złych czarach. Wolno zacisnąłem lewą rękę nad prawą. Trzy czerwone krople spadły na błękitną powierzchnię. Zabłysnął kolor podobny do płomienia, zupełnie jak gdybym dołal oliwy lub wina do ognia.

Potem, jak gdyby to było pióro, narysowałem w powietrzu znak... uskrzydłona kule, taka sama, jaka ponad miesiąc wcześniej narysowała rozdzka Joisan.

Raz, dwa... trzykrotnie narysowałem przed studnią ów symbol - za ostatnim razem moje wysiłki zostały wynagrodzone, w powietrzu zabłysnął czerwony znak otoczony błękitną poświatą. Byłem tak zaskoczony, że prawie upuściłem odłamek (nie wierzyłem nawet w połowie i naprawdę nie liczyłem na odpowiedź). Symbol nie zniknął, trwał przede mną niczym tarcza. Moje kopyta dotknęły brzegu zarosłego okrytymi kwiatami. Wziąłem głęboki oddech i rzuciłem talizman przez jasniejący symbol do otwartej cembrowiny studni.

Pod kopytami, które mocno zaryłem w ziemi, zadrżało. Ze środka studni wyleciała mroczna chmura, fioletowo-czarna ciemność. Podświadomie usłyszałem głębokie jeczenie, a następnie ostre zawodzenie. Oczy zamglily mi się łzami, gdy nad głową przeplynał obłoczek o odrazającym zapachu.

Zmienił się nawet sam kształt studni, było to podobne do przemiany szybkiego nurtu rzeki w stojący staw. Ta rzecz... lub istota... jakkolwiek można by ją nazwać... tak była studnia, jak ja Głównym Dowódcą Armii Dale. Przyjmowała iluzyjną postać, taką, która mogła się okazać jak najbardziej przyciągająca. Chciało się nam pic, więc zobaczyliśmy studnię. Inni podróżnicy mogliby zobaczyć dojrzałe owoce na drzewie lub pociągający kształt przywołujący ich kobiety - szczególnie, jeżeli podróżny był mężczyzną, który samotnie podróżował już od długiego czasu.

Zniknęła cembrowina, a na jej miejscu pojawiło się coś tak obcego, wrogiego, że trudno było określić jego prawdziwy kształt. Przez chwilę wydawało mi się, że widzę pysk, ryj, błyszczące krwawo zęby wśród drgającej wilgotnej substancji, a potem musiałem zakryć oczy. Z miejsca, gdzie była studnia, wytrysnęło jaskrawe błękitne światło (takie samo jak kolor uskrzydłonego symbolu), a na wpol słyszalna skarga stała się wysokim zawodzeniem. Zakryłem uszy rekoma i mocno zamknąłem oczy, skuliłem się w obliczu ostatecznego zniszczenia - starając się przetrwać to, co zdawało się nie mieć końca.

Ramię dotknęła czyjaś dłoń, spojrzałem w górę i zobaczyłem obok siebie Gureta i Obreda. Kilka kroków dalej Nita trzymała konie, jej brązowe oczy zrobiły się ogromne z przerażenia. Wstałem drżący i popatrzyłem.

Teren był nienaruszony, leżała jedynie góra z kamieni, jak gdyby coś zostało tutaj wyciągnięte z korzeniami. Na moich oczach pomiędzy skalami pojawił się strumyczek czystej wody i błyszczącym pasemkiem popłynął przez szczeliny. Wyciągnąłem bransoletę, ale tym razem nie było ostrzegającego błysku.

Guret klepnął mnie po plecach tak mocno, że prawie upadłem, widząc przy tym, jak drżały mi nogi.

-Zrobiłeś to! Moim lordzie, to silne czary! A mówiłeś, że nigdy się tego nie nauczyłeś!

-To prawda - patrzyłem ze zdumieniem na narodziny strumyka.

-Ale... - obejrzał się na wodę. - Skąd wiedziałeś, co masz zrobić?

-Nie wiedziałem, po prostu zgadłem.

-Zgadłeś? - Gurek zamrugnął powiekami.

-Zgadłeś? - W głębokim głosie Obreda słychać było przerażenie. Uśmiechnąłem się z zakłopotaniem, czułem dziwną lekkosć. Wzruszyłem ramionami.

-Tak jak powiedzieliście, zadziałało.

Odwrociliśmy się na dźwięk śmiechu Nity. Patrzyła na moich towarzyszy z mieszaniną rozbawienia i złości.

-Nie do wiary! Czy nie wystarczy, że lord Kerovan zniszczył to zło? Czy naprawdę musi wam jeszcze wyjaśnić, jak to zrobił? Zaczęła się śmiać i po chwili i my do niej dołączyliśmy, chociaż czułem się nadal słabo, jak gdyby uleciała ze mnie cała energia i ożywiający duch.

Po ostrożnym spróbowaniu wody Obred stwierdził, że jest czysta. Przeplukaliśmy i napełniliśmy prawie puste bukłaki na wodę. Konie napojono pojedynczo, a potem napił się i my. Dla Kiogów konie miały pierwszeństwo przed ludźmi.

Tej nocy obozowaliśmy przy nowo powstałym strumyczku. Zebraliśmy się wszyscy, tak by każdy mógł się wypowiedzieć, czy mamy wracać, czy też jechać dalej. Gurek wykazał nam, że część z młodych jeźdźców może nie zdążyć na Festiwal Przemiany, a w ten sposób opóźni się ich prawowite przyjęcie do grona dorosłych. Te słowa przeważały szale na rzecz powrotu. Poczulem żal, że nie znaleźliśmy utęsknionych przez lud Kioga gór, ale bardzo szybko uczucie to zostało zagłuszone przez myśl, że wkrótce - wkrótce! - zobacze moją panią. Postać Joisan zawsze mi towarzyszyła, była przy mnie podczas każdego spoczynku. Teraz, gdy jechaliśmy w stronę obozowiska, a nie oddalaliśmy się od niego, nie mogłem zapanować nad moją niecierpliwością. Droga powrotna była o wiele szybsza i prostsza od początkowej wędrowki. Nasze konie wyczuły, że przed nimi znajduje się dom, w rezultacie musieliśmy je powstrzymać. Każdego ranka Obred wysyłał wywiadowców w celu znalezienia dzikiej zwierzyny. Łowy były obfite.

Późnym popołudniem zobaczyłem na horyzoncie kilka pasm dymu i pokazałem je Obredowi. Przysłonił oczy i szybko kiwnął głową.

-Tak, jesteśmy prawie w domu.

Nekia klusowała do tej pory równomiernie. Teraz, być może pod wpływem nieswiadomego nacisku moich nóg, wydłużyła krok do galopu. Machnęła uszami do tyłu, a potem do przodu, jak gdyby chciała powiedzieć: "Pobiegnijmy, dobrze?" Pochylając się nad

jej grzywa puszcilem wolno wodze i pozwolilem jej biec. Nie bylo innego dzwieku procz szybkich uderzen kopyt o sucha ziemie i szelestu traw rozchylajacych sie pod jej plynacymi kopytami - az w koncu rozlegl sie za mna chor dzikich gwizdow i okrzykow. Cale powietrze wypelnilo sie bebnieniem kopyt konskich, gdy niczym zdobywca armia wpadlismy na teren oczekujacego obozu.

Zatrzymalismy konie w cieniu pierwszych namiotow, a ja wzrokiem szukalem postaci mojej pani wsrod nadbiegajacych Kiogow. Zsiadlem z konia i zaczalem go oprowadzac po wewnetrznym placu obozowiska. Musialem powoli ochlodzic buchajaca para klacz, inaczej moglaby dostac kolki lub ochwacic sie. Ale Joisan nadal sie nie pojawiala! Oddech Nekii zwolnil sie i unormowal, ochlodzily sie blyszczace od potu plamy na jej bokach, wkrótce zaczely wysychac. Widzac Jonke w gronie witajacych, skinalam na nia.

-Gdzie jest Joisan?

-Kilka osob widzialo, jak szla w kierunku strumienia, tam. - Jonka pokazala rekaw kierunku malego lasku na pomocy. Kiedy wywiadowcy zobaczyli zwiastujacy wasze przybycie kurz, wyslalam Valone, zeby ja przyprowadzila i powiedziala jej o twoim powrocie.

Oboje spojrzalismy na ciemna zielen drzew, patrzylismy...

Przeblysk czegos bialego! Nawet dwa! Z lasu wynurzyla sie Joisan trzymajac za reke Valone. Obie szly szybko w naszym kierunku. Czekalem, nie mogac prawie opanowac zniecierpliwienia, nadal powstrzymywaly mnie trzymane w reku wodze Nekii. Wedlug zwyczajow Kiogow po ciezkiej jezdzie nie wolno bylo oddawac nikomu swojego konia. Poczulem na ramieniu czyjes dotkniecie.

-Pozwol, ze ja potrzynam, moj panie. - Guret siegnal do wodzy Nekii. - Z wdziecznosc, jaka jestem ci winien, bede sie nia opiekowal jak wlasnym koniem.

-Dziekuje, Guret. - podalem mu wodze, poklepalam lekko klacz i pobieglem.

Spod moich kopyt wytrysnely tumany kurzu, a jednak czas wydawal sie nie miec konca, zanim ponownie nie zamknałem mej pani w swoich ramionach. Nic nie mowila, smiala sie tylko, a potem zaplakala. Zacisniete na moich ramionach dlonie wyjasnily mi bardziej niz jakiegokolwiek slowa, jak bardzo sie o mnie martwila. Jesli chodzi o mnie, moglem ja tylko tulic - szepczac jej imie, czujac ciepla miekkosc jej ciala, wachajac zapach jej wlosow - trzymac ja i dziekowac Mocom Swiatlosci, ze bylismy bezpieczni i znowu razem.

W koncu wypuscilismy sie z kurczowego uscisku i popatrzylismy na siebie.

-Dlaczego bylas - zaczalem...

-Widzialam cie - powiedziala w tym samym momencie. Rozesmielismy sie, a potem kazalem jej pierwszej zaczac. Przestala sie usmiechac, w jej oczach zobaczylem cien

strachu. - Widziałam cie, Kerovanie. Stałeś przed czymś, co wydawało się studnią, a jednak nia nie było. To należało do Cienia.

-Tak. - Pamięć o tamtej chwili nadal przyprawiała mnie o dreszcze. - To rzeczywiście było coś z Ciemności. Nie wiem dokładnie, co to było. Ale zostało całkowicie zniszczone przez odłamek quan-stali, który przy sobie nosiłem - pamiętasz?

-Tak, ale skąd wiedziałeś, jak to zniszczyć?

Zawahałem się. - Poprosiłem o pomoc Moce Światłości, a słowa i gesty same się nasunęły. Może to podpowiedzieli ludzie Starej Rasy... może było to coś, co zapamiętałem... z innych czasów.

Myslałem o tym drugim moim dziedzictwie, dzięki któremu parokrotnie zjednoczyłem się z duchem samego Landisla. Zobaczyłem, że skinęła głową. Wiedziałem, że odczytała moja myśl i zgadzała się z nią.

-Teraz moje pytanie. - Wskazałem na las, a potem objąłem Joisan za ramiona i zaczęliśmy iść w kierunku obozowiska. Za nami szła mała Valona. - Dlaczego byłaś tutaj... w lesie? Jonka powiedziała, że musiała wysłać córkę, żeby cie odszukała.

Spojrzała na mnie, a potem spuściła oczy i zaczęła się wpatrywać w zarosniętą ścieżkę.

-Szukałam... czarnego bzu.

-Czy znalazłaś? - Zobaczyłem wiszący u jej pasa woreczek na zióło i doszedłem do wniosku, że czarny bez musiał być jednym z lekarstw, jakie Joisan stosowała do swoich leczniczych naparów.

-Tak.

Nic więcej nie powiedziała, uśmiechnęła się tylko. Odebrałem ciepło jej dotknięcia swoim umysłem, co było równoznaczne z pocałunkiem. Gdy ponownie doszliśmy do namiotów, Valona pobiegła do swoich zajęć i pozostawiła nas patrzących na zapracowanych ludzi. Kobiety i mężczyźni szykowali najlepsze stroje, rozwieszali je właśnie, aby wyschły w popołudniowym wietrze. Zapach pieczonego mięsa i chleba spowodował, że po dwóch miesiącach skąpych racji wciągnąłem głęboko powietrze i poczułem, jak mi ślina cieknie.

-Co się dzieje, Joisan?

-Nie...Och! - Przyłożyła dłoń do zaróżowionego policzka. To Festiwal Przemiany! Byłam tak bardzo zajęta... czym innym... że całkiem o tym zapomniałam! Muszę pomóc Terlys przy pieczeniu - obiecałam, Kerovanie. - Spojrzała na mnie proszaco. - To nie potrwa długo, a potem będziemy znowu razem.

Staralem sie ukryc rozczarowanie. - Oczywiscie. Kto to jest Terlys?

Wyjasnila, ze zaprzyjaznila sie z Terlys, podczas gdy Rigon (maz Terlys) byl razem ze mna na wyprawie. Po chwili zaskrobalismy w plachte brazowego namiotu, bogato ozdobionego szkarlatnymi pasmami plecionego konskiego wlosia.

Terlys byla duza, pulchna kobieta, o wlosach siegajacych prawie do kolan. Znalem troche jej meza Rigona, razem trzymalismy kiedys warte. Byl szczuplym, niskim i malomownym mezczyzna. W jego ciemnych oczach dostrzeglem blysk, ktoremu zaufalem od pierwszego spotkania.

Janos, ich synek, obszedl mnie ostroznie niczym mlody zrebak, popatrzył taksujace, a potem nagle schylil glowe i usmiechnal sie. Po przedstawieniu calej rodziny Joisan pochyliła sie nad kolyska i podniosła niemowle.

-Kerowanie, to jest Ennia.

Mala mruknela sennie, wlozyla kciuk do buzi, a potem ufnie polozyla glowe na ramieniu mojej pani. Widzac to, a takze miekkie swiatelko w oczach Joisan, poczulem w sobie bol niczym cios noza. Nie pomylilem sie - Joisan chciala miec swoje dzieci, a tych nie moglem jej dac.

Odwrocilem glowe, zagryzajac dolna warge, musialem sie uspokoic. Wtedy poczulem jej miekkie dotkniecie na moim ramieniu.

-Czy chcialbys ja potrzymac?

Potrzasnalem glowa i odsunalem sie, starajac sie mowic normalnym glosem - zabrzmial on jednak chropowato w ciszy, jaka zapanowala w namiocie.

-Nie, zacznie plakac, jesli sie jej dotkne. - Odchrzaknalem i skierowalem sie w kierunku wyjscia. - Jestem zmeczony, moja pani, i zakurzony pojezdzie. Zobaczmy sie wkrótce.

Pochylilem glowe i wyszedlem z namiotu, za soba slyszalem glos Joisan wolajacy mnie, a potem cisze. Stalem w lagodnych promieniach zachodzacego slonca, podczas gdy we mnie kipiala stara gorycz - dlaczego nie moglem zaakceptowac faktu, ze nigdy nie bede taki jak inni mezczyzni? A teraz musialem zranic Joisan. Stalem tak i wyrzucalem sobie moje zachowanie.

-Milordzie Kerovan!

Odwrocilem sie gwałtownie na dzwiek glosu Gureta. Chlopiec spieszyl w moim kierunku, w ostatniej chwili zdolal wyminac starsza kobieta niosaca ogromna tace z chlebem. Poczekalem, az do mnie doszedl, a potem zadalem pytanie, jakiego na poczatku uczy sie kazdy zolnierz - zarowno Kioga, jak i Dales.

-Konie? Nekia?

-Wytarłem ją, napoilem, a potem wypuscilem na pastwisko, milordzie. Nic jej nie dolega, sprawdziłem jej kopyta i nogi.

-Dziekuje.

Rozejrzałem się po obozie, stwierdzając ożywiony ruch.

-Czy już się przygotowałeś do swojego udziału w wieczornym Festiwalu?

Guret uśmiechnął się krzywo.

-Jak do tej pory mój udział polega na schodzeniu z drogi. Matka piecze i gotuje, a przy okazji gdera, że prawie nie zdążyliśmy z powrotem, ojciec zaś zbiera Rade na rozkaz Jonki. To spowodowało, że matka gdera jeszcze bardziej, ponieważ musi odłożyć gotowanie i wziąć udział w spotkaniu.

-Dlaczego Jonka zebrała Rade? Czy zawsze to robi przed Festiwalem Przemiany?

-Nie.

Przez chwilę wyglądał na zaniepokojonego, a potem wstrząsnął się niczym opędzający się przed muchami młody zrebak. Najwyraźniej to wszystko niepokoiło go. Spróbowałem zmienić temat rozmowy i spojrzałem w kierunku obozu.

-Wojownik nie powinien się do czegoś takiego przyznawać, ale nie wiem, gdzie jestem zakwaterowany. Kiedy tutaj przybyliśmy, był ciemny wieczór i tylko jedną noc spędziłem w waszym gościnnym namiocie. Czy możesz wskazać, gdzie się on znajduje?

-Oczywiście.

Poszedłem za nim, przeciskając się wąskimi przejściami pomiędzy rzędami namiotów, aż doszliśmy do tego, który zapamiętałem. Od razu zauważyłem reke Joisan, nadawało to temu tymczasowemu miejscu element stałości. Wokół namiotu kwitły przesadzone z lasu wiosenne kwiaty, których zapach mieszał się z ostrym aromatem suszonych ziół. Zdjąłem pancerz, a potem przepocona koszulę i spodnią kurtkę. Po chwili pojawił się Guret z wiadrzem wody, mydłem i grubo tkanym ręcznikiem. Zanim zdążyłem umyć się, ogolić i ułożyć najbardziej nieposłuszne kosmyki włosów, Guret wypakował z mojego worka czyste ubranie.

Świeżo ubrany, postawiłem worek ponownie w części sypialnej. Spojrzałem na posłanie i poczułem, jak wrze we mnie gorąca krew... Dzisiaj nie będę spał samotnie...

W drodze do namiotu Terlys i Rigona zauważyłem, jak przed nami rozchodzi się duża

gromada mężczyzn i kobiet. Wyglądali, jak gdyby właśnie wychodzili z zebrania.

Guret spojrzal ze zdziwieniem. - Skonczylo sie posiedzenie Rady. Ciekawy jestem, co sie stalo?

Popatrzyłem na twarze stojących najbliżej mnie osób. Nie wyglądali na zadowolonych z wyniku obrad, jakiegokolwiek by one były. Rozsadek mówił mi, że narada miała niewiele wspólnego z Joisan i moja osoba. W momencie, gdy to sobie wmawiałem, w wejściu do namiotu pojawiła się Jonka, a za nią Joisan. W oczach mojej pani czaił się strach, podczas gdy zazwyczaj okrągła i łagodna twarz Przywódczyni wydawała się ściągnięta i pozbawiona ciała. Gdy podeszliśmy, przesunęła się obok szepcząc jakieś słowo.

Przyspieszyłem kroku i podszedłem do Joisan.

-Co się dzieje? Co tak zmartwiło Jonkę?

-Czy to było posiedzenie Rady? Co się stało? - powtórzył za mną Guret zduszonym głosem.

Joisan zmięła w dłoniach posypany makią fartuch i odwróciła się od nas. W tym samym momencie Terlys odsunęła zasłone wejściową do swego namiotu, na rękę trzymała wyrywające się niemowlę.

-To Nidu, Szamanka. Zazadala - a ma do tego prawo - wyboru Dobosza Cieni, dzisiaj podczas Festiwalu.

Usłyszałem, jak Guret cicho wciągnął oddech i zapytałem: - Co to oznacza? - Przenosiłem wzrok z jednej poważnej twarzy na drugą, czując, jak budzi się we mnie zimny, bezlitosny strach. - Kim jest Dobosz Cieni?

Głos Terlys był bez wyrazu - zbyt apatyczny.

-Szamanka ma prawo do młodzieńca lub dziewczyny, którzy mają jej służyć jako pomocnicy. Jeżeli Dobosz wykaze się uzdolnieniami w pracy, Szamanka może go zaakceptować jako czeladnika swojej Sztuki. Jeżeli nie, Dobosz staje się wolny po roku, a na jego miejsce wybierany jest następny.

-Co robi Dobosz w służbie u Szamanki?

-Wszystko, czego zazyczy sobie Nidu. - Głos Gureta brzmiał glucho: - Bebni, by przywołać Duchy Marzeń, te Cienie, które dają jej Siłę... zbiera i przygotowuje zioła, sprząta jej namiot, chodzi z nią, przynosi jej pożywienie... daje krew, dusze i życie, a wszystko dla jej czarów...

-Nie mamy na to dowodów - ostro powiedziała Terlys. W jej słowach slychac było jednak

niepokoj zaprzeczajacy slowom. - Tremon nigdy nie byl zbyt silny.

-I wlasnie dlatego nigdy nie powinien byl zostac zmuszony do sluzenia, w chwili gdy wyciagnieto kartke z jego imieniem. Usta Gureta zmienily sie cienka kreske. - Byl moim najlepszym przyjacielem. Chociaz bylem tyle od niego mlodszy, tak wiele nas laczylo. Potem, po wyborze, patrzyłem, jak staje sie coraz szczuplejszy i coraz bledszy. Wielokrotnie pytałem sie go, co mu dolega. W jego oczach widac bylo wstyd - ale byl zbyt przerazony, aby odpowiedziec. A potem... przestal istniec. Nie wiem, co sie stalo, co spowodowalo jego smierc, ale wiem, ze bylo to zle. Nie nalezy jej pozwolic na nastepny wybor.

-Dlaczego teraz o to poprosila? Od jak dawna Tremon nie zyje? zapytałem, kladac dlon na ramieniu Gureta. Poczulem, jak nagle zesztynialo jego cialo.

-Juz niedlugo bedzie osiem lat - Terlys odpowiedziala na moje drugie pytanie. - A dlaczego - przerwala i wzruszyla ramionami nie wiem.

Zauwazylem, jak wzdrygnela sie Joisan i odczytałem w myslach szybko stlumione uczucie winy.

-Co wiesz o jej powodach, moja pani?

-Twoja pani nie jest niczemu winna, lordzie Kerovan! W glosie Terlys slychac bylo opanowany gniew, ale w slowach dzwieczalo takze ciche ostrzezenie. - Nie mogla zrobic nic innego, tylko uratowac Janosa, gdy zachorowal.

Wolno skinalem glowa. - Zaczynam rozumiec. Ratujac twego synka, Joisan bezwiednie uzurpowala sobie prawo do jednego z obowiazkow Nidu i w ten sposob rozgniewala Szamanke, a teraz ona chce pokazac swoja wladze i nakazala wybor Dobosza. - Spojrzalem na Joisan. - To smutny dla nas przypadek, ale jak mowi Terlys, nie mozna bylo nic innego zrobic. Czy probowalas wyjasnic Nidu, ze nie chcialas zrobic nic zlego?

W oczach mojej pani zapalila sie iskra, ktora do tej pory widzialem zaledwie pare razy.

-Kierujac sie zasadami mojej Sztuki, nie musze nikogo przeproszac ani nic wyjasniac. Nawet tobie, Kerovanie, a juz z pewnoscia nie Nidu.

Podniosla plachte wejsciowa do namiotu i zniknela w srodku. Westchnalem.

-Wiem, ze zle sie wyrazilam. Nie chcialem sugerowac, ze Joisan zrobila cos zlego...

Terlys skinela szybko glowa.

-Ona wie o tym i ja tez. - Spojrzala w kierunku namiotu. Nic jej nie bedzie.

-Czy ona dobrze sie czuje, Terlys? - zapytalem. Spojrzala na mnie pytajaco. - Jej oczy wydaja sie okolone ciemnymi cieniami... jak gdyby byla zmeczona. I wydaje sie... inna... przerwalem niepewny tego, co chcialem powiedziec.

-Z Joisan jest wszystko w porzadku, Kerovanie - powiedziala Terlys, a potem usmiechnela sie do siebie. - Musze wracac do mojego pieczenia...

Jak gdyby na sygnal slow Terlys w powietrzu zabrzmial dzwiek gongu. Obejrzałem się i zobaczyłem, że z kazdego namiotu wychodza mlodzi kandydaci ubrani w najlepsze jezdzieckie stroje, przyozdobieni bronia. Odwrocilem się w kierunku Gureta.

-Gotowy?

-Nie... ja - rozejrzal sie po innych, kilka osob zawolalo do niego i pomachalo mu rekoma. Na twarzy Gureta malowala sie panika. - Co ja teraz...

Wzialem go pod reke i zaprowadzilem w kierunku namiotu jego rodzicow.

-Nie mamy czasu do stracenia!

Pomoglem mu ubrac sie i przypasac bron, a nastepnie odprowadzilem go na lake na poludniowym krancu obozowiska.

Ludzie Kioga utworzyli areny, na ktorych mlodzi ludzie bedacy kandydatami na Festiwal mogli popisac sie swoimi umiejtnosciami we wladaniu lukiem, wlocznia, krotka dzida i miotaniem nozem. Wszystkie te umiejtnosci musieli przedstawic zarowno stojac na rownym gruncie, jak i siedzac w siodle.

-Zostan tutaj na swoim miejscu - wyszeptalem do Gureta, popychajac go do oczekujacej grupy. - Przyprawdze twojego konia.

Ogier chlopaka, Vengi, pasl sie spokojnie na wschodnim pastwisku. Na szczescie jezdzielam wystarczajaco dlugo obok jego pana, by poznal mnie i sam przyszedl na moje wolanie. Szybko zalozylem mu uzde i wskoczylem na grzbiet. Guret da sobie rade bez siodla - wielu z jego ludzi ich nie uzywalo, chyba ze akurat przewozili jakies paczki.

Pomimo ostrego biegu, jaki odbyl wczesniej, Vengi byl wypoczety i parskal, czujac inne konie i slyszac krzyki zachety dobiegajace z tlumu.

Wsadzilem Gureta na konia i przygotowalem do odbycia oceny. Nastepnie spojrzalem na niego i pozdrowilem jak wojownika. Usmiechnal sie do mnie i odgarnal wlosy z czola, a potem odpowiedzial podobnym gestem.

-Dziekuje, milordzie. Kiedy przyjdzie czas, aby ofiarowac krew i zostac zaakceptowanym, czy staniesz obok mnie? Zrobilby to Tremon, ale...

Skinałem głowa. - Rozumiem. Czuje się zaszczycony. Odjechał, a ja cofnąłem się w tłum młodych mężczyzn i kobiet. Po kilku minutach poczułem czyjąś rękę na ramieniu. Odwróciłem się, obok stała Joisan.

Z wahaniem dotknąłem jej dłoni, potem wzięłem ją moją dłoń. Patrzyliśmy na popisy kandydatów, a nasze myśli połączyły się ze sobą: "Przepraszam, że moje słowa cię zraniły". Jej dłoń leżała w mojej, miała i stwardniała od pracy, kontakt myślowy był niczym ciepła przenikająca mnie iskra. "Nie przemyślałem ich..." - Odpowiedź nadeszła szybko. "Nie myśl o tym, mój panie. Byłeś zmęczony i nie byłeś świadkiem..." - Jej wewnętrzny głos umilkł, jak gdyby myślami znalazła się gdzieś indziej, na ścieżkach, którymi nie mogłem za nią podążać moimi ograniczonymi zmysłami.

Świadkiem czego? Czy coś się stało podczas mojego wyjazdu? Wyteżylem wzrok, aby zobaczyć sylwetkę Gureta na tle zachodzącego słońca. Chłopiec rzucił właśnie krotką dzida do wypchanego sianem celu, a potem krzyknął radośnie, gdy zakrzywiony grot wbił się głęboko w kónską skórę, przesuwał ją prawie na wylot.

"...Później będę o tym mówić, mój mezu". Wzdrygnąłem się z poczuciem winy stwierdzając, że odwróciłem uwagę od myśli mojej pani. Jednak wież telepatyczna była ciepła i bogata w zrozumienie. "Chłopiec... Guret... zostaliście przyjaciółmi... Ciesze się..." "Jest wspaniałym młodym mężczyzną... powinnas poznać jego młodszą siostrę Nite. Rozśmieszylaby cię...". Przesunąłem przed nią wszystkie obrazy tego, co się stało, jak wyratowałem dziewczynkę z rzeki.

W odpowiedzi poczułem taki podziw i pochwałę, że poczułem się niczym osławiony Heros Bitew. Uniosłem jej dłoń do moich ust, wzrok nadal miałem utkwiony w Gurecie, który właśnie przechodził przez próbe celu. Joisan także się nie odwróciła, tylko przez jedną sekundę poczułem delikatne niczym skrzydło motyla dotknięcie jej palców na moim policzku.

Słońce oświetliło zachodnie równiny, a potem zniknęło za horyzontem. Zebraliśmy się na Ceremonie Przyjęcia. Stałem obok Gureta i jego ojca, Cleona, oraz jego matki Angi. Zgromadzeniu przewodziły Jonka i Nidu. Stały po obu stronach starej skóry kónskiej o nieokreślonym kolorze. W prawym ręku Szamanka trzymała zakrzywione na kształt polskiej ostrze. Młodzież podchodziła grupami. Na koniec podszedł także Guret. Pozostawił nas z tyłu i zbliżył się sam.

W głosie Jonki brzmiała powaga. - Gurecie, synu Cleona, synu Angi, czy oddajesz swoją krew dla ludu Kioga? Czy od tej chwili twoje życie będzie stanowiło barierę pomiędzy złem a twoim ludem?

-Tak będzie.

Chłopiec wyciągnął rękę. Nawet przez chwilę nie zadrzał, gdy Nidu przesunęła błyszczące srebrem ostrze noża po jego prawym nadgarstku. Popłynęła krew, znacząc kroplami starą

konska skore i mieszajac sie z czerwonymi sladami pozostawionymi przez innych kandydatow.

Nidu zaczela spiewac monotonnie, palcami bebnila w maly, wieszacy u jej pasa bebenek. Czarne rekawy jej sukni powiewaly na wieczornym wietrze niczym ogromne skrzydla. Przypomnialem sobie harpie z opisu Obreda i zadrzałem, gdy napotkalem wzrok Szamanki. Poczulem cos w rodzaju telepatii miedzy nami.

W tej samej chwili Jonka przycisnela do rany chlopca czysta Iniana sciereczke i objela mlodego mezczyzne.

-Witam cie z radoscia! Niech Matka wszystkich Klaczy da ci madrosc podczas brania udzialu w naszej Radzie!

Z otaczajacego tlumu dobiegły okrzyki radosci, szybko oderwalem wzrok od Nidu i przylaczyłem sie do skladajacych zyczenia osob. Chwile pozniej siedzielismy na ziemi na sposob Kiogow i zajadalismy potrawy, ktore calkowicie zatarly wspomnienie nudnej jednostajnosci podroznicznych racji.

Obok mnie siedziala Joisan ubrana w Iniana suknie sznurowana w pasie i ozdobiona wielokolorowym haftem. Wlosy miala rozpuszczone, jak gdyby byla mloda dziewczyna. Patrzylem na nia znad brzegu czary i myslalem, ze nigdy nie wygladala bardziej pociagajaco. Spojrzala na mnie, a co jeszcze bardziej mnie speszylo, zrozumialem, ze nadal czyta moje mysli... wiedziala, ze mysle o niej, znala rodzaj moich mysli...

Nie potrafilem zdecydowac, co bardziej mnie rozgrzalo, jej usmiech czy tez wino. W momencie, gdy chcialem przeprosic i odejsc tłumaczac sie dluga meczaca podroza, wstala Jonka. Zamiast normalnego usmiechu i spokoju, na twarzy Przywodczyni widniala zimna bezosobowa maska, patrzac na nia przypomnialem sobie zadanie Nidu. Jonka uniosla dlon uciszajac wszystkich, natychmiast skonczyly sie wszystkie szepty i nastala cisza.

-Dzisiejszy dzien jest dniem swiatecznym, ale nawet podczas obchodow nie wolno nam zapomnac o naszych obowiazkach. Nidu zazadala dzisiaj wyboru Dobosza Cieni, ktory ma jej sluzyc i pomagac w sluzbie w naszym narodzie. Niech wstana wszyscy Wybrani bedacy pomiedzy pietnastym i dziewietnastym rokiem zycia, jeszcze nie zaslubieni.

Luczywa rzucaly pelgajace zoltoczerwone ogniki na powazne twarze mlodych mezczyzn i kobiet. Wspomagana przez Obreda Jonka przeszla przez tlum rozdajac kawalki wyprawionej skory. Po napisaniu swojego imienia kazdy z kandydatow mial zlozyc skore i wrzucic do kosza na srodku polany.

Gdy wszyscy to uczynili, wystapila Nidu. Na tle ciemnej sukni wyraznie odcinaly sie jej kosciste nadgarstki i cienkie palce. Zamykajac oczy Szamanka wsunela dlon do koszyka, jej palce szukaly, szukaly...

Serce bilo mi mocno, gdy sluchalem cichego szelestu, jaki w plecionym koszu wywoływaly te poszukujace palce. W glowie poczulem ucisk, jak gdyby obudzil sie w niej odglos grzmotu wyrazny, a jednak nieobecny. Czulem, ze powinienem zatrzymac to, co sie dzialo, ze musze krzyknac, musze...

Nidu wyciagnela reke i usmiechnela sie triumfalnie. Powoli rozwinela skore, jednocześnie patrzac na zebranych Kiogow.

-Doboszem Cieni wedlug prawa Rady zostal Guret. Guret, syn Angi i Cleona.

-Nie! - moje usta poruszyly sie bezglosnie. Poczulem na policzku podmuch Cienia. Wokol uslyszalem glosy, niektore byly pelne ulgi, inne podniecone, jeszcze inne smutne. Caly odretwialy, poczulem na ramieniu drzaca dlon Joisan.

-Chodz, Kerovanie. Dzisiaj juz nic nie mozemy poradzic. Jutro porozmawiamy z Jonka, zobaczymy, co bedzie mozna zrobic.

Pozwolilem sie odprowadzic od ogniska. Bylem wstrzasniety.

-Musze sie zobaczyc z Guretem, porozmawiac z nim. Musi istniec sposob, aby zmienic to, co sie stalo... musi istniec!

-Istnieje - skinęła głową, gdy na nią spojrzałem. Prawie nie widziałem jej twarzy rysującej się jasniejsza plama na tle otaczających nas ciemnych namiotów. W głosie brzmiało jednak przekonanie. - Dzisiaj po południu Terlys powiedziała, że jeżeli kandydat nie przyjmie wyboru, dokonuje się następnego w analogiczny sposób.

-Ale? - zapytałem, gdyż w jej tonie wyczytałem także kare za taką decyzję.

-Taka decyzja jest uważana za wielki wstyd. Jeżeli tak zrobi, na długi czas odsuna się od niego wszyscy ludzie.

-Jest to lepsze niż służba u Nidu, nie podoba mi się ta kobieta. Zaczarowała losowanie! - Byłem pewny, że się nie myle.

-Masz rację. Jutro porozmawiamy z Jonką i chłopcem.

-Dobrze.

W głowie zaczął powstawać pomysł, był tuż na wyciągnięcie ręki... ziewnałem nagle, czując, jak ogarnia mnie zmęczenie, ciężkie niczym pancerz po bitwie. Jutro...jutro znowu będę umiał jasno myśleć.

Po wejściu do namiotu natychmiast położyłem się na posłaniu. Musiałem przysnąć, ale obudziłem się, gdy obok położyła się Joisan. Musiałem jej policzek oświetlony blaskiem księżyca, tak jak wcześniej ona dotknęła mojego.

-Cieszę się, że jestem w domu, Joisan, brakowało mi Ciebie... tak bardzo.

Jak zawsze moje słowa brzmiały niezdarnie. Dlaczego nie mogłem przy mojej pani mówić słodkich słówek, jakich używali inni mężowie? Tylko kilka razy udało mi się pomyśleć - a jeszcze mniej powiedzieć: "Kocham cie!" Zawsze wydawało mi się, że gdy przyznaje się do jakiegoś uczucia do kogoś innego - do Riwały, Jaga, mego ojca - ta osoba znika z mojego życia tak nieodwołalnie, jak gdyby moje słowa od razu ją skazywały...

-Myślałam o tobie każdego dnia, w każdej godzinie - usłyszałam jej miękki szept. - Prosiłam Gunnore, aby pozwoliła ci wrócić do mnie i Bursztynowa Pani wysłuchiwała mojej prośby. Dziękuję jej za to ze wszystkich moich sił.

Nad nami, przez rozchylone płotno, zaglądał błyszczący księżyc w trzeciej kwadrze. W jego blasku widziałem jej twarz, ciemne rozsypane włosy, sznurowanie nocnej koszuli. Była pełna cieni, które pozwalały ją jeszcze lepiej ujrzeć. Nadawały życiu lekkie zagłębienie jej policzków, uwidaczniały pełne piersi rysujące się pod koszulą... ich pełność wydawała mi się nowa, podniecająca...

Drżąc dłoń dotknąłem znowu jej policzka i zacząłem szukać właściwych słów.

-Może to właśnie Pani Plonow pomogła mi w rzece i przy studni. Joisan, powiedziałaś, że i tobie przytrafiły się różne rzeczy podczas mojej nieobecności. Co się działo?

Przez długą chwilę się wahała, a potem łagodnie przesunęła moją dłoń na swoim ramieniu i powiedziała trochę bez tchu.

-Zgodziliśmy się przecież, mojej panie, dzisiaj żadnych kłopotów z

zewnetrznego swiata. Dzisiaj nalezy tylko do nas.

-Ale...

-Tylko my dwoje dzisiaj w nocy. Nie Guret ani Nidu, ani... nikt inny... Na ustach poczułem jej miękkie wargi, łagodne w swojej obietnicy, która nie pozwalała na żadne argumenty czy myśli... pozostawiała tylko miejsce na pieszczoty, na uczucia...

Po pewnym czasie zasnalem snem tak głębokim, jak gdybym leżał zakopany pod góra, jaka stało się moje ciężkie, spiace ciało.

Nie snilem, ale czułem, jak coś się podkrada podstępnie, a jednak znajome, bierze mnie w posiadanie... To było niczym ból głowy po zbyt dużej ilości wina lub rana, tępy ból, jaki się odczuwa nawet podczas snu, chociaż spiaczy jest zbyt zmęczony, aby obudzić się i w pełni poczuć owa niewygodę...

Poczułem na twarzy ciepłe promienie słońca, które całkowicie mnie rozbudziły. Leżałem obok mojego posłania, w dłoni trzymałem na wpol wyciągnięty z pochwy miecz, pod palcami czułem jego wygładzona przez czas i używanie rekojesc. Jeknałem, nie mogąc się powstrzymać. Rozpoznałem bowiem wielkość istniejącego we mnie bólu.

Dlaczego teraz? Dlaczego? W ustach poczułem suchy smak goryczy. Ciało było ospale, ale owa siła pedziła mnie, tak jak za pomocą siły woli można gnac potykającego się konia. Wstałem cały sztywny i udreczony, zacząłem szukać spodni i pancerza. Joisan spała nadal. Musiałem się zmusić, aby dotknąć jej ramienia i obudzić ją. Musiałem walczyć z tą siłą, choćby wezwanie było nie wiadomo jak wielkie, nie mogłem zostawić

Joisan. Nie chciałem!

Powiedziała coś sennie, a potem widząc mnie ubranego usiadła, ze zdumienia otwierając szeroko oczy. Zanim cokolwiek powiedziałem, zobaczyłem, jak w miejscu zdumienia pojawia się zrozumienie. Zrozumienie... i przerażenie.

-Kerowanie, nie! - Wyciągnęła do mnie rękę i szybko zaczęła syciągać koszulę. - Nie, mój panie, nie, to nie może być...

-Pospiesz się, Joisan. - Trudno mi było pozostać, a jeszcze trudniej cokolwiek powiedzieć sztywnymi wargami. - Nie wiem, jak długo uda mi się przetrzymać wezwanie.

-Wielka Matko, wspomóż nas! - Głos jej się załamał, ale szybko opanowała się i zaczęła szukać swoich podróżnych rzeczy.

Usłyszałem jej ciche pytanie.

-Kiedy poczujesz wezwanie? Czy jest takie samo, jak poprzednim razem?

-Mocniejsze - zacisnąłem zęby, całe ciało drżało, oddychałem szybko czując, jak ostro przyciąga mnie wezwanie - tym razem wołanie z góry było fizycznym bólem, cierpieniem tak wielkim, że na moim czole pojawił się pot i powoli zaczął spływać do oczu.

-Może jeszcze raz wezwać duchy opiekuncze, znowu spróbować się uchylić... Nie.

Nie mogłem powiedzieć nic ponad to jedno słowo, ale starałem się w nim przekazać całe swoje postanowienie. Dotknęła mojego ramienia, nawiązując ze mną kontakt telepatyczny. Z trudnością

zaczalem kształtować myśli. "Nie bede już uciekał, Joisan. Skonczyłem z uciekaniem. Nie można wiecznie uciekać! Jestem mężczyzną, a nie czymś, co się wabi i tropi, tak jak myśliwy poluje na zwierzynę. ... muszę przed tym stanąć. Nie bede więcej uciekał".

Rozdział 7 - Joisan

Najbliższym moim towarzyszem stał się strach. Daleko przede mną widziałam Kerovana. Jego twarz, podobnie jak dzisiejszego ranka, była skierowana na północny wschód. Nie patrzył za siebie. Westchnęłam, czując głód. Wkrótce będę musiała go zawołać i poprosić o odpoczynek i posiłek. Gdyby chodziło tylko o mnie, mogłabym wędrować do momentu całkowitego wyczerpania, a nawet dalej, ale nie teraz. Moje dziecko - nasze dziecko, poprawiłam sobie srogę - powodowało, że powinnam bardziej o siebie dbać. Zadrzałam, myśląc o minionym poranku, mimo że słońce dawno już przewędrowało na południową stronę nieba. Poglaskalam szyję mojej klaczy i przygryzłam usta. Nie bede - nie bede płakała.

Kiedy szliśmy przez obozowisko, wokół nas zaczęli się gromadzić Kiogowie. Byliśmy gotowi do wyruszenia, na plecach zawiesiliśmy podróżne worki. Pierwsza zaczęła nas Jonka.

-Cera Joisan, co się dzieje? Dlaczego odchodzicie? - Zacięty wyraz twarzy mojego pana ostrzegł przed dalszym wypytywaniem.

-Musimy, Jonko. - Ze zdziwieniem zobaczyłam, że Kerovan skinął głową. Zazwyczaj mówienie, a nawet rozumienie znajdowało się poza jego kontrolą - tak wielkie siły miały go w

swojej Mocy. Dziękujemy za całą waszą gościnność. Nigdy was nie zapomnimy. Przerwałam, kontrolując mój głos. -
Błogosławieństwo Gunnory niech spłynie na was wszystkich. -
Narysowałam w powietrzu znak, który przyjął delikatnie jasniejszy kształt - jakaś wewnętrzna cząstka zanotowała zaskoczenie Nidu, poczułam gorzką satysfakcję, że Szamanka tak bardzo nie doceniła mojej Mocy.

-Nasze podziękowania należą się tobie, Cera Joisan. I twojemu panu. Kerovan odwrócił się, wydawał się kukielką na sznurkach poruszana przez bawiące się dzieci. Patrzył na północno-wschodni horyzont. Jonka zmrużyła oczy.

-Widzę, że się dość spieszyacie, lady. Jeżeli zaczekacie chwilę, dam coś, co przyda się w dalszej podróży. Czy zatrzymacie się?

Wzielałam za ramię mojego pana i zatrzymałam tam, gdzie stał, chociaż starałam się, aby na zewnątrz wyglądało to na czule dotknięcie.

-Oczywiście, Jonko.

Jonka rzeczywiście szybko wróciła. Chwilę później zostaliśmy obdzieleni porcjami chleba podróżnego i wędzonego mięsa, które pozostało z wczorajszej uczyty - jak to było dawno temu! Nakłoniłam Kerovana, żeby coś przelknął, napił się trochę soku z owoców, zmusiłam też do tego sama siebie. Nagle poczułam, że ktoś ciągnie mnie za worek podróżny, odwróciłam się i zobaczyłam, jak Valona wrzuca do niego duże zawiniatko.

-Jedzenie na drogę. Cera Joisan. Będzie mi cię brakowało.

Dotknelam delikatnych ciemnych wlosow dziewczynki, prawie nie moglam pohamowac lkania, ktore mnie dlawilo.

-Dziekuje ci, kochane serduszko. Mnie takze bedzie ciebie brakowalo.

Przez chwile ukryla twarz w mojej kurtce, a potem zniknela. Wyprostowalam sie i zobaczylam przed soba Terlys, obok stal jej maz Rigon. Terlys trzymala za uzde piekna kasztanowa klacz. Spojrzalam na nia zastanawiajac sie, czy znajde slowa, ktorymi mam ja pozegnac. Terlys podeszla i wcisnela mi wodze w reke.

-Nazywa sie Arren. Najodwazniejsza z calego stada. Ma takze najpewniejszy krok.

Spojrzalam na konia, dotknelam delikatnie zarysowanej glowy. Szukalam slow.

-Terlys... dziekuje, ale nie moze przyjac...

-Mozesz. - Skrzyzowala opalone rece na duzych piersiach i stanowczo skinela glowa. - Ludzie Kioga nigdy nie sprzedaja swoich koni, jak dobrze o tym wiesz, ale dajemy je tym, ktorzy sa tego warci. Wiem, ze nie bylo czasu na formalny Wybor, ale Wielka Matka zrozumie. Uratowalas zycie mojemu synowi... czy moze zrobic cos mniej waznego, gdy jestes w potrzebie?

Przez dluga chwile patrzylam na nia, a potem objelam, szepczac niewyrazne slowa podziekowania. Jej ramiona zacisnely sie opiekunczo, a szept byl przeznaczony tylko dla mnie:

-Bogoslawienstwo Wielkiej Matki niech bedzie z toba, Joisan, i z

dzieckiem, które w sobie nosisz. Wroc, jeżeli będziesz mogła...

-Wroce... - mocno złapałam się wzdów Arren, jak gdyby tylko one były realne w moim otoczeniu.

-Cera Joisan! - Odwróciłam się i zobaczyłam Gureta prowadzącego drugiego konia, Nekie, wierzchowca, który niosł mego pana podczas wyprawy. Za nim stali Obred i Jonka.

Pociągnęłam za rekaw Kerovana, który wolno i niechętnie odwrócił się od przyciągających go gór. Długa chwila nie mógł zobaczyć stojącego przed nim młodego mężczyzny. Guret czekał cierpliwie, w jego ciemnych oczach widac było niepokój.

Głos mego pana brzmiał nisko i glucho z wysiłku. Słowa były skierowane tylko do chłopca.

-Guret... muszę odejść i odpowiedzieć na... wezwanie. Przepraszam, nie mogę... - wziął głęboki oddech. - Nidu chce cię zniszczyć, jestem tego pewien...

-Milordzie, nie. Wiem o tym. - Chłopiec mówił równie cicho jak Kerovan.

-Odmów jej, Guret. - Głos Kerovana był tak cichy, że prawie go nie słyszałam. - Jesteś wystarczająco silny... powiedz jej "nie". Nie pozwól, aby ktos zmienił twoje zdanie.

Do przodu wysunęła się Jonka.

-Lordzie Kerovan, przyjmij Nekie w prezencie ode mnie. Obred powiedział mi, że dobrze wam było razem, a jeżeli napotkasz niebezpieczeństwo, będzie ci potrzebny dobry rumak. Przyjmij ja

wraz z przyrzeczeniem ludu Kioga, że zawsze będzie w naszych namiotach miejsce dla ciebie i twojej pani.

-Dziękuję, Jonko. - Palce Kerovana zacisnęły się konwulsyjnie na wodzach Nekii. Nic już nie mówiąc dosiadł klaczy. Gurek przytrzymał Arren, na którą także pośpiesznie wsiadłam.

-Dziękuję, Jonko... dziękuję... - Moje słowa pofrunęły w wiosennym wietrze, odpowiedziały na nie gorące niczym pełnia lata pożegnania przyjaciół. Odjechalismy.

Wrociliam do rzeczywistości i poruszyłam się w siodle, chcąc pobudzić Arren do szybszego kroku. Kasztanka nie była przyzwyczajona do dalekich wypraw, jakie odbyła Nekiia podczas wielomilowej wędrowki. Zaczęła zwalniać. Zastrzygła uszami i wydłużyła krok, starając się zrównać z gniadą klaczą.

-Kerovan! - Nie odwrócił się na moje wołanie. To mnie przeraziło. Czy był tak daleko, że nie mogłam go dosięgnąć? Skoncentrowałam się i zawołałam nie tylko głośno, ale i siłą umysłu. - Kerovan!

Tym razem zatrzymał się i obejrzał na mnie. - Moja pani, musimy odpocząć, Arren jest zmęczona! - I ja też, pomyślałam, patrząc, jak ponownie odwraca się w kierunku północnego wschodu. Ku memu zdziwieniu zatrzymał się jednak, zsiadł z Nekii i zaczął czekać na mnie.

W milczeniu podzieliliśmy się jedzeniem i paroma łykami wody z bukłaka, tymczasem konie pasły się na gęstej trawie. Poczulałam, że jestem spiąca... oprzytomniałam i spojrzałam z przestraszeniem na mego pana. Gdybym pozwoliła sobie na zasniecie, czy po

przebudzeniu nie okazałoby się, że Kerovan odjechał?

Podjęłam szybka decyzję. Przeszukałam torbę przy siodle i wyjęłam z niej mocny surowy rzemien.

-Kerowanie, daj mi swoją rękę.

Wolno, tak bardzo wolno jego wzrok oderwał się od horyzontu, za którym leżały wzywające go dalekie góry. Spojrzał na mnie pytająco. Złapałam go za rękę i pociągnęłam tak, że całkowicie odwrócił się do mnie. Nie wypuszczając go z uścisku, przelożyłam rzemien przez bransoletę, którą miał na nadgarstku, a potem owinęłam dwukrotnie wokół jego ręki.

-Oddaj mi swój nóż, Kerowanie.

-Dlaczego?

Mówienie sprawiało mu trudność, tak silne było bowiem teraz wezwanie. Patrzyłam, jak zawahał się, potem zmarszczył czoło, a na koniec pokręcił głową, jak gdyby już zapomniał, o co go poprosiłam. Z największą cierpliwością, na jaką mogłam się tylko zdobyć, przysunęłam się bliżej, tak że staliśmy przed sobą. Palcami wyczułam nóż myśliwski za pasem. Wzięłam za ostrze i wyciągnęłam z pochwy, wkładając do kieszeni mojego płaszcza.

-A teraz miecz, Kerowanie. Wyrzuc go tam - przez przypadek pokazałam na kolczaste zarośla.

-Joisan... - Jego palce drżały, przyszedłam mu więc z pomocą. Potem przywiązałam drugi koniec rzemienia do mojego nadgarstka, pozostawiając między nami odległość nie większą

niz na jedna dlon.

-Juz dobrze, moj panie. Gdybys chcial sie ode mnie uwolnic, musialbys to przegryzc... a to, jak mi sie wydaje, nie uda ci sie bez obudzenia mnie. Musze sie przespac, Kerovanie.

Zmeczona kleknelam i pociagnelam go za soba, a potem polozylam sie na ziemi i oparlam glowe na siodle.

Jego mocna i ciepla dlon wsunela sie w moja. Glos brzmial bardziej pewnie i gleboko, zupełnie, jak gdyby udalo mu sie stworzyc szczeline w otaczajacym go oczarowaniu.

-Nie zostawilbym cie, Joisan.

-Wiem - odpowiedzialam, ale moje slowa byly klamstwem, rosl bowiem we mnie strach, ze moze byc inaczej. - Ale wydaje mi sie, ze w ten sposob bede spokojniej odpoczywala.

Spalam jeszcze wtedy, gdy na zachodzie powoli kladlo sie slonce. Ale w moim snie nie bylo zachodu... Nie, to byla noc.

Ponownie bylam ta Inna, ta, ktora od tak dawna przebywala w moich snach...

Ponownie chodzilam w cienistych granicach moich ukochanych lasow porastajacych doline, czulam nocny wiatr na policzku, jego powiew w gestej czuprynie na glowie, ktora nie calkiem byla wlosami...

Wszystkie moje zmysly byly dokladnie zharmonizowane z otoczeniem - i bylam zaklopotana. Ktos cos zmienil w delikatnym mechanizmie przyrody, w cialach zwierzat i roslin

zamieszkujących ten las było coś skrzywionego. Powinna zacząć się jesień, brzemieniami owocami i nowym życiem, które miało się narodzić na wiosnę.

Ale tutaj tak się nie działo. Coś dotknęło wszystkiego, co tutaj żyło, a była to Siła spoza naturalnych praw. Siła, która przeszkodziła rytmom Tego, Co Musi Być...

Wyciągnęłam rękę (w blasku księżyca delikatne pióra na moich ramionach były prawie niewidoczne) i pogłaskałam kore, dotknęłam liścia.

-Co się stało? - wyszeptałam, starając się wytropić powód zła ze wszystkich moich sił.

Czas! To czas był nie w porządku. Czas został zatrzymany nie raz, ale wiele razy, tylko na sekundy, nie więcej. Jednak takie przerwy wystarczyły, żeby rozregulować wewnętrzny zegar roślin i zwierząt. Sekundy były wstrzymywane, a potem ponownie biegły naprzód... Kto mógł to sprawić? Zadałam sobie pytanie. Kto spowodował zło, które było tylko wynikiem demonstrowania własnej Siły?

Skoncentrowałam się, wzywając Neave ze Świątyni, te, która rządzi kolejnością cykli życia, związkami roślin z ziemią, matki z synem lub córką. Zadałam odpowiedź i zaraz ją otrzymałam. W umyśle pojawił się ostry obraz, zadrzałam, jak gdyby było to uderzenie - rozpoznałam bowiem Malerona! Jego wąska twarz, ostra broda, szerokie czoło, czarne włosy, twarz, w której jarzyły się ciemne i twarde niczym onyksy oczy...Maleron, na którego posiadłościach znajdował się ten las, ta dolina i otaczające ją góry...Maleron, który przez ostatni rok coraz bardziej odsuwał się

od obowiazkow rzadzenia, zamykajac sie w czelusciach wiezy i tylko z rzadka pojawiajac na zewnatrz. Byl w takich chwilach calkowicie pozbawiony Sily, otaczala go aura czarow, o wiele bardziej silna niz nadana mu dziedzicznie aura wladzy...Maleron, ktorego kochalam kiedys jako najblizsza osobe...Maleron - moj brat.

Wstrzasnelo mna lkanie i poczulam bol zdrady... Bylismy urodzeni z innych matek (przez chwile ujrzalam piekna nieudzka twarz), ale prawie nie pamietalam ani jej, ani mojego ludzkiego ojca. Moje wczesne dzieciinstwo bylo jednak pelne milosci, ciepla i laskawosci przyrodniego brata, ktory tak wczesnie odziedziczyl tron. W porownaniu ze mna byl jednak doroslym mezczyzna.

-Maleron... - poruszylam ustami i uslyszalam cichy zduszony glos. Wokol mnie delikatnie szumial las. Staralam sie utrzymac lacznosc - musze wiedziec. Ale wszystko zniknelo.

Obudzilam sie, w oczach mialam lzy. Usiadlam, budzac tym samym Kerovana. Patrzyl na mnie uwaznie i cieplo.

Szybko sie odwrocilam, rozwiazalam mieszek przy pasku i wyciagnelam noz, a potem przecielam laczace nas wiezy. Kerovan mial wystarczajaco duzo zmartwien, aby jeszcze go obciazac moim "snem". Przygryzlam warge, starajac sie uspokoic, ten sen... pelen udreczenia wywolanego odkryciem... zdrady... nadal wydawal sie realny.

Imiona... znajomosc Prawdziwych imion byla kluczem do czarow. W moim snie bylo teraz imie Malerona. Kim - lub czym byl? Czy nadal istnial? Czyjego niefrasobliwe wtracanie sie w prawa natury spowodowalo nieodwracalne zlo w tamtej dolinie, ktora nadal

mogłam zobaczyć pod zamkniętymi powiekami?

Pytania... tylko pytania, żadnych możliwych odpowiedzi - o ile nie pojawia się w przyszłych snach. Znowu się zastanowiłam, skąd przychodziły te przesłania. Musiał istnieć powód, dla którego to wszystko mi się przytrafiło...

-Czy odpoczełaś, Joisan? - Kerovan wyciągnął do mnie rękę i bez żadnego wysiłku podciągnął mnie na nogi. Zniknęła już obawa o mnie -jego wzrok ponownie był zwrócony w stronę gór.

-Wystarczająco. - Odpowiedziałam tak, jak tego oczekiwał. Strach tkwił we mnie nadal niczym duszący ciężar. - Jedźmy już.

Rzeczywiście pojechalismy dalej, nie zatrzymalismy się nawet wtedy, gdy słońce zaszło. Zmienił się krajobraz, płaski teren był teraz pofalowany, a w miarę jak zbliżalismy się do górskiej krainy, pojawiły się liczne pagorki. Zbocza wzniesień były porośnięte drzewami o liściach w nieprawdopodobnym kolorze późnowiosennej zieleni. Wokół nas leżały skały i rumowiska. Puscilam wodzę i pozwoliłam Arren zanurzyć chrapy w wartko płynącym strumieniu. Jego chłód czułam nawet nie zsiadając z grzbietu konia. Góry zbliżały się coraz bardziej.

W czerwonym blasku zachodzącego słońca popatrzyłam na zachód. W tym kierunku znajdowało się Anakue. Z tęsknotą pomyślałam o gorącym posiłku, ciepłym łóżku na poddaszu u Zwyie... o rzeczach, które do dzisiejszego ranka ponownie nauczyłam się przyjmować jako coś oczywistego. Westchnęłam i pognalam klacz naprzód, wołając na Kerovana, żeby zaczekał.

Zatrzymalismy się na nocleg dopiero wtedy, gdy powiedziałam,

ze Arren jest znowu zmeczona. Nekia wydawała się nigdy nie męczyc, podobnie jak Kerovan. Szła pomiędzy skalami i krzakami w ciemnościach, które jej nie przeszkadzały. Przypomniałam sobie słowa Obreda: "Nekia" to "nocne oczy" w języku Kiogów.

Zatrzymaliśmy się, zjedliśmy w milczeniu. Słychać było tylko plusk strumienia, który spływał z pobliskiego zbocza, i chrupanie karmy przez nasze konie. Czulałam przenikliwy chłód. Wyciągnęłam z worka szal i otuliłam się nim dokładnie. Kerovan rozłożył posłania. Nie paliliśmy ogniska, bezpieczniejsze wydawało się nam światło księżyca. Pomyślałam o ostatniej nocy, jaką spędziliśmy na wędrowce, przypomniałam sobie owo jarzace się okropienstwo, które spływało po zboczu w kierunku naszego obozowiska.

Z jakiegoś powodu, myśląc o owej rzeczy, ponownie poczułam dotknięcie tej Drugiej. Zamknęłam oczy i "zobaczyłam" postrzępione skały gorskiego zbocza, szary kamień wieży. Wieży, która stała niczym strażnica pomiędzy Ziemią Spustoszoną i Krainą Arvonu... Wieża Malerona, to musi być to. Jaka nosiła nazwę? Nazwy... Skoncentrowałam się na nich i wyłączyłam z otoczenia. W ten sposób byłam otwarta na wszelkie informacje od tej Drugiej.

Po długiej chwili moje usta wyszeptały nazwę Car Re Dogan... Silna warownia. To z pewnością siedziba władcy. Ale zaraz potem przyszła refleksja. Nigdy nie słyszałam o takiej wieży ani o żadnym władcy imieniem Maleron. Przez te trzy lata mój pan i ja wędrowaliśmy przez te krainy i nigdy o nich nie slyszelismy. Moja wizja musi więc pochodzić z przeszłości...

Westchnalam i przeciagnalam zmeczone ciało, bylam zbyt wyczerpana, aby dalej sie zastanawiac. Dalsze wyjasnienia musza sie pojawic w przeslaniach od mojej Drugiej osobowosci - wierzyłam, ze jeszcze nie zakonczyla swojej opowiesci.

Zdjelam buty, ponownie wyciagnalam kawalek rzemienia i bez slowa zawiiazalam go na przegubie mego pana. Zgodzil sie w milczeniu i razem sie polozylismy.

Pomimo pelni ksiezycyca nadal widac bylo gwiazdy. Patrzyłam na nie mimo zmeczenia. Wolno podnioslam reke i polozylam ja na brzuchu. Nie czulam jeszcze zadnego ruchu - ale wktrotce, wktrotce. W umysle echem odbily sie natarczywe slowa:

Moj panie, nosze w sobie twoje dziecko. To brzmialo zbyt formalnie. Kerowanie, bedziemy mieli dziecko. Prosze, okaz swa radosc... Za duzo bylo w tym prosby. On bedzie sie cieszył, powiedzialam sobie, ale pojawilo sie zwatpienie. Jego twarz skrzywiona w grymasie i zamknieta przed uczuciami, gdy patrzyl na Ennie, ktora trzymalam w ramionach... dlaczego?

Czy kiedykolwiek myslales, ze bedziemy mieli dzieci, moj panie? Jakie to glupie. Takie pytanie juz nie istnialo, glupio byloby w ten sposob sformulowac slowa...

Z zamyslenia wyrwalo mnie ciche chrapanie. Odwrocilam sie i spojrzalam na jego twarz, mial zamkniete oczy i widac bylo, ze jest bardzo zmeczony. Wyczerpanie okazalo sie ostatecznie silniejsze od wolania z gor.

Uśmiechnalam sie krzywo. Mala mialam teraz nadzieje na obudzenie go i powiadomienie o nowinie -jak gdyby w

odpowiedzi usłyszałam głośniejsze chrapnięcie.

Zasnelam także. Księżyc już prawie zachodził, gdy obudziło mnie stuknięcie konskiego kopyta o kamień. Konie? Ostrożnie odwróciłam głowę i zobaczyłam ciemny kształt Arren i biało nakrapiany cień Nekii. Zwierzęta stały z opuszczonymi głowami, najwyraźniej drzemaly.

Dźwięk dobiegi mnie ponownie. Ktoś zjeżdżał z góry. Mocno szarpnęłam Kerovana za ramię.

-Moj panie! Obudź się! - powiedziałam cicho, ale tak nagłaco, że obudził się natychmiast.

-Joisan?

-Ktoś nadjeżdża.

Poczułam, jak czegoś za mną szuka, a potem nastąpiło zimne dotknięcie znalezionej noży, gdy przecinał rzemień. Jednym ruchem stanął na równych nogach z nożem w dłoni. Pospiesznie wyciągnęłam własną broń z pochwy, a potem zmieniłam zdanie i za miast tego położyłam dłoń na rekojesci miecza. Na wpol wyciągnięte ostrze zabłysło błękitnie w świetle księżyca.

Kon zatrzymał się. Usłyszałam, jak ktoś zsiada - brzęk pustego strzemienia - a potem kroki. Czy to Nidu? - zastanowiłam się ze strachem. Czy aż tak bardzo mnie nienawidzi?

Ktoś zwolnił, zawahał się, a potem zatrzymał. Stojący obok mnie Kerovan napiął wszystkie mięśnie, był przygotowany do skoku...

-Milordzie!

Juz przedtem slyszalam ten glos! Wciagnelam ostro powietrze, a potem uslyszalam zdumiony glos Kerovana:

-Guret? Co...

Wstalam szybko i siegnelam do worka. Wydobyłam z niego krzesiwo. Uderzylam raz, a potem drugi, w koncu zapalilam knot od swiecy. Malenki plomien kolysal sie w nocnym podmuchu wiatru.

Przed nami rzeczywiscie stal Guret. Mruzyl oczy przed niespodziewanie zapalonym zolтым plomieniem.

-Cera Joisan, przepraszam, ze was przestraszylem. Jade za wami od samego rana. Musialem z wami pojechać.

Spojrzalam na mego pana, usilujac odczytac, jaka reakcje wywolaly slowa mlodego mezczyzny. Nagle zrozumialam, ze ponownie nie byl w stanie kontrolowac swoich slow. Odwrocil sie niczym poszukujaca polnocy igla magnesu. Wyciagnelam reke, aby go zatrzymac obok siebie. Westchnelam i spojrzalam na Gureta.

-A co z Nidu?

Spojrzal szybko na Kerovana, a potem odpowiedzial tylko do mnie:

-Nie wiem. Cera. Odjechalem z obozu nie widzac jej, kazalem mojej matce i ojcu powiedziec Nidu i Radzie, ze odmawiam wyboru.

-Czy byli na ciebie zli?

Jego oświetlona światłem świecy twarz znajdowała się w polcieniu. Mimo to dostrzegłam, jak zdecydowanie pokręcił ciemną głową.

-Nie, powiedziałem im, że Kerovan uratował całą wyprawę zwiadowczą i mnie tam przy studni, a potem Nita opowiedziała, jak nie zważając na własne bezpieczeństwo uratował ją z rzeki. Wyjaśniłem, że złożyłem mu przysięgę wasala i jak odmówił mi, przyjmując jedynie przysięgę przyjaźni. Zgodzili się ze mną, że nawet jeżeli nie jestem formalnie związany przysięgą wasala, to tak mam dług wdzięczności, a Kiogowie zawsze splacają swoje długi. Twój pan podaza... gdzie?

Potrzasknęłam smutno głową.

-Nie wiem. Nie czuję tutaj znaku Cienia, ale to o niczym nie świadczy.

-Nieważne, co się zdarzy, będę mu służył jako ochrona. Nie mogłem nic innego zrobić, musiałem za nim pojechać.

Westchnęłam zmęczona. Świt był już bliski.

-Dziękuję ci, Gurecie. Dobrze jest mieć takiego przyjaciela, gdy stoi się przed niewiadomym przeznaczeniem. Muszę jeszcze zasnąć, jeżeli będę mogła. Czy możesz stanąć na warcie i pilnować, żeby nagle nie odjechał?

-Dobrze.

Wdzięczna, że mogę się odprezyc chociaż na parę chwil, położyłam się na posłaniu. Ledwie zamknęłam oczy, już

znalazłam się w świetle tej Drugiej.

Przedemną wznosił się Car Re Dogan, jego wysokie wieże zwiększały jeszcze głębokość przyprawiającej o zawrót głowy przepaści, jaka się otwierała przed moimi stopami. Szłam jednak szybko, gardząc otwartą drogą po drugiej stronie góry, pewnymi ruchami wspinałam się wąską ścieżką. Skala pod moimi wąskimi, prawie szponiastymi stopami była twarda i budziła zaufanie. Kontrastowało to z moimi własnymi odczuciami. Jak Maleron mógł tak postąpić? Czy nie wiedział, że przez zatrzymanie stałego postępu czasu otworzył wrota dla choroby i Cienia? Ani Neave, ani Gunnora Bursztynowa Pani nie patrzyły przyjaźnie na tych, którzy zakłócili Porządek Rzeczy Takich, Jakże Musza Być.

Lkalam częściowo z wysiłku wywołanego wspinaczką, ale głównie z trwogi. Wciągnęłam ciało na ostrą skalną polkę na szczycie góry. Nie pozwoliłam sobie na odpoczynek, tylko pobiegłam w kierunku masywnych wrot będących posterunkiem wartowniczym Car Re Dogan.

Prawie nie zauważyłam stojących tam wojowników, ich cienie kładły się na ścianach rysunkiem wyolbrzymionym przez pelgające światło lucywu, gdy odsunęli się, aby mnie przepuścić. Wzrok miałam utkwiony w zasłoniętym draperią portalu, za którym znajdowała się Sala Audiencyjna. Usłyszałam głos Malerona:

-Natychmiast wyślij posłanca. Wypuść jednego z jastrzębi z wiadomością, aby dano mu świeżego wierzchowca, gdy przybędzie do Sali Rady. Ma powrócić z odpowiedzią od Siedmiu Lordów tak szybko, jak tylko potrafi.

-Bedzie tak, jak powiedziales, margrabio.

W momencie, kiedy doszlam do ciezkiej aksamitnej portiery zakrywajacej wejscie, przemowil znowu.

-Gdzie jest moja siostra?

-Nie widzialem dzisiaj lady Sylvyi. Musi byc...

Ciezki ciemnoczerwony aksamit wygladal na mojej dloni jak struga wina, wsunelam najpierw ramie, a potem cale cialo.

-Jestem tutaj, Maleronie.

Zmarszczyl sie na taki brak ceremonii, ale powstrzymal uwagi w obecności sluzacego.

-Usiadz, siostro. - Jego oczy patrzyly uwaznie na moje rozwiane ubranie. - Mozesz odejsc, Bem - roztargnionym gestem odeslal sluge. Gdy zostalismy sami, wskazal mi krzeslo po swojej prawej rece.

-Zezwolilem ci na siedzenie, Sylvyo.

Aura Mocy byla prawie namacalna, widzialam, jak blyszczy wokol jego ciala przy kazdym ruchu. Od dawna wiedzialam, ze jest Adeptem, ale teraz, gdy poznalam prawde, otaczajaca go delikatna poswiata wydawala sie matowa, bez polysku... ciemniejsza - i chyba o wiele silniejsza. Stwierdzilam, ze cala drze.

-Maleronie, dlaczego? Sprawiles bol, prawdopodobnie zniszczyles doline. Dlaczego? - Wstrzymalam oddech i

patrzyłam na jego zmieniającą się twarz.

-Joisan! - Ktos szarpnął mnie mocno, tak że zsunęłam się z posłania zaplatana w otulające mnie koce. Nade mną klęczał Guret, wyraźnie przestraszony. - Obudź się, Cera! Obudź!

Dotknęłam dłoń czola. Ta inna rzeczywistość, rzeczywistość Sylvy, nadal trzymała mnie w swojej niewoli. - Co - mój głos zabrzmiał ochryple, a jednak Guret wiedział, o co chodzi.

-Cos ci się sniło, Cera. Jęczałaś i rzucałaś się, głośno wykrzykiwałaś dziwne imiona. Próbowałem cię obudzić, ale nie mogłem!

-Kerovan? - Usiadłam rozglądając się wokół, nadal byłam pod wpływem przesłania. Tak dziwnie było patrzeć teraz na wiosenne, jasnozielone wzgorza, falujący teren, gdy przed kilkoma minutami znajdowałam się wewnątrz starej, kamiennej i cienistej wieży.

-Poi konie. Pospiesz się i zjedz. Cera. Nie wydaje mi się, żeby długo czekał po ich osiedlaniu.

Pospiesznie włożyłam długie buty, a potem szybko zaplotłam i upielam włosy. Strzepnęłam haftowaną lnianą koszulę i przypielam do pasa noż oraz miecz. Zanim zdolałam spryskać twarz wodą, Guret z własnej woli spakował moje posłanie. Wszystkie jego czyny wskazywały, że znajdował się pod wrażeniem pośpiechu, w jakim mój pan chciał opuścić oboz. Zachowywali się, jak gdyby na widnokręgu właśnie pojawił się nieprzyjaciel.

Stukot kopyt o skale oznajmił powrót koni. Kerovan pospiesznie osiodlał nasze wierzchowce, podczas gdy Guret, po wmuszeniu we mnie jednego kawałka chleba podróżnego, zajął się własnym ogierem.

Jedząc nadal chleb, wsiałam na Arren, przygotowałam się na jeszcze jeden meczący dzień podróży. Gdzie nas zastanie noc? Zdecydowanie odrzuciłam takie myśli, nie chciałam tracić niepotrzebnej energii - z powodu mego pana, a także z powodu Sylvy - mojej Drugiej ze snu.

W miarę jak jechaliśmy, lancuchy pagórków wydłużały się i stawały coraz bardziej strome, ich zbocza wznosiły się pod coraz bardziej ostrymi kątami. Ze szczytu każdego ze wzgórz leżące przed nami góry stawały się coraz bardziej wyraźne - z zasnutych błękitem szczytów stały się porośniętymi drzewami pagórkami i wysokimi skalistymi wzniesieniami.

Kerovan tego ranka jechał w milczeniu, nic nie mówił, nawet podczas krótkich odpoczynków, na jakie nam zezwalał - zbyt krótkich odpoczynków. Nawet kroki Nekii wydawały się krótsze niż zazwyczaj. Cokolwiek go przyciągało - bez względu na to, czy należało do Cienia, czy do Światła - ta siła była tak nieustępliwa, jak plecione przez rybaków z Anakue sieci na ryby. Wydawało się, że prawie nie zauważał mnie ani Gureta, mimo że w jego złotych oczach błyszczał ogień podobny do błysku wody na dnie najgłębszej ze studzien. W końcu - gdy po południowym odpoczynku ponownie dosiedliśmy koni - Guret odezwał się.

-Czy twój pan miał już kiedyś podobne kłopoty?

-Zostaliśmy poślubieni przez topór, gdy byliśmy jeszcze dziećmi -

odpowiedziałam. - Naprawdę jesteśmy małżeństwem dopiero od trzech lat. Powiedział mi, że od momentu naszego prawdziwego małżeństwa zawsze musiał walczyć z tym przyciąganiem - chociaż na początku było ono o wiele słabsze.

-Opowiedział mi o waszym małżeństwie... o Gryfie, jaki nosilas na piersi, który okazał się prawdziwa istota uwieczona w kryształach.

Zdziwiłam się. Wydawało mi się, że Kerovan nikomu nie mówił o wypadkach, jakie przywiodły nas do Krainy Arvonu.

Rzeczywiście, pomyślałam, musi ufać Guretowi, zazwyczaj nie mówi o tym, co jest najbliższe jego sercu - o Gryfie i o niechcianym dziedzictwie.

Popołudnie zastało nas u stop gór. Staraliśmy się omijać wielkie krawędzie skalne, sterczące z miękkiego ciała ziemi niczym nagie kości. Jechaliśmy za Kerovanem w kierunku północno-wschodnim. Nie było już żadnych popasów - musieliśmy popędzać konie, aby Kerovan nie zostawił nas za sobą.

W końcu objechaliśmy ogromną granitową skarpe wznoszącą się wyżej, niż można było dojrzec, tylko po to, aby zobaczyć, że rozszczepiła się ona w wąskie przejście. Po obu stronach wejścia stał błękitny kamienny pylon, będący błogosławionym tworem przyrody chroniącym przed wpływami Cienia. Na szczycie każdego z pylonów znajdował się emblemat, który już wcześniej widziałam uskrzydłona kula.

Wejście chronione przez kule - gdyż takie sprawiały wrażenie było przesłonięte szarobłękitną mgłą, nienaturalnie gęstą, odcinającą światło. Zamrugalam oczyma ze zdumienia. Tutaj, gdzie siedziałam na Arren, było jasne słoneczne popołudnie, z

zachodu padaly sloneczne promienie i zatrzymywaly sie na zaslonie, nie mogac jej przeniknac. Widzialam tylko ociezale zwoje snujacej sie za wejsciem mgly, toczyła sie i pelzala jak waz albo inna zywa istota.

Nagle przed nami zauwazylismy przez mgnienie oka jakis ruch, a potem na tle lekko przeswiecajacej, wirujacej mgly zobaczyliśmy ciemny cien sylwetki Kerovana! Uderzylam pietami Arren i krzyknelam jego imie. Klacz zerwala sie do przodu - za pozno! Zatrzymalam ja przy lewej z kul i zaczekalam na mlodego Kioge.

-Gdzie on poszedl? - Guret rozgladal sie wokol. - Objechal skale tuz przed nami, ale teraz nie widze go!

Wskazalam na blekitnoszara zaslone.

-Poszedl tam, a my musimy isc za nim.

Spojrzal z przerazeniem przed siebie, jak gdyby nie widzial znajdujacego sie tuz przed nim wejscia. Ze zdziwieniem spojrzalam na chlopca, a potem na bronione przez mgle wejscie. Moglam zrozumiec, ze bylo ono otoczone czarem, ale w takim razie, dlaczego je widzialam, podczas gdy Guret nie mogl? Szybko wskazalam.

-Patrz, nie widzisz? Przed toba jest klebiaca sie sciana z mgly.

Na szczerej twarzy mlodego mezczyzny pojawil sie przestach.

-Co mam zobaczyc. Cera? Co ty widzisz?

-Sciane z mgly. Moj pan w nia wjechal i zniknal. A co ty widzisz?

-Tylko skalna sciane. Cero. Przysiegam na Swieta Konska Skore moich przodkow.

To bylo mocne zaklecie. Rzeczywiscie. W jaki sposob mogli Guret wjechac w cos, co dla niego bylo lita skalna sciana? Moc iluzji moze sie okazac niebezpieczna dla tych, ktorzy w nia wierza. Dlaczego jednak ja moglam widziec mgle?

Skinelam na chlopca, zeby pozostal na miejscu, zmusilam Arren, by podeszla blizej. Staralam sie zobaczyc cos przez mgle, usilowalam przeniknac ja wzrokiem i mysla. Nie zobaczylam jednak nic, a mysl napotkala tylko pustke, taka sama jak wtedy, gdy usilowalam porozumiec sie z Kerovanem.

Stuknelam pieta klacz i wjechalam pomiedzy pylony. Nie bylo zadnej fizycznej bariery, a jednak pochyilam sie, drzac cala, w glowie krecilo mi sie do tego stopnia, ze omal nie spadlam z siodla. Wokol mnie poruszaly sie jakies zjawy - skaly zdawaly sie usmiechac z okrucienstwem i wyciagac do mnie kamienne dlonie, drzewa giely sie i falowaly jak pod wplywem sztormowego wichru - wszystko to widzialam w przesuwajacych sie szybko obrazach, ktore laczyly sie ze soba i chaotycznie splataly w jedna calosc. Zlapalam obiema rekoma za grzywe Arren i gleboko wciagnelam powietrze.

Klacz parsknela i odwrocila glowe, patrzac na mnie z prawie ludzka troskliwoscia. Najwyrazniej w swiecie na nia to nie dzialalo. Zamknelam oczy i zaczelam zwalczac czar chroniacy to miejsce. Kerovan byl gdzieś przede mna i musialam go dogonic! Po dlugiej chwili ciemnosci poczulam lagodny spokoj usuwajacy przestrasz. Polozylam dlon na brzuchu, poczulam, jak cos we mnie tworzy obrone i odwazylam sie otworzyc oczy. Drganie

trwalo nadal, ale teraz bylo znacznie mniejsze. Dlaczego?

Najwyrazniej mgla nie byla dla mego pana bariera - wjechal z uniesiona glowa, jak gdyby sciezka byla prosta i wolna od przeszkod, a na koncu tej drogi znajdowalo sie to, na co czekal przez cale swoje zycie. Dotykajac mego ciala poczulam, jak zmniejszaja sie zawroty glowy. Czy bylo mozliwe, ze czar broniacy dostepu rozpoznal Kerovana, powital go i pozwolil przejechac? Poniewaz nosilam jego dziecko, moglam to wszystko widziec, chociaz czesc czaru pozostawala nadal nie zmieniona.

Spekulacje do niczego nie prowadzily, gdy tak siedzialam, moj pan oddalal sie coraz bardziej. Chcialam przylozyc ostroge do boku Arren i pogalopowac za nim, ale pozostal przeciez Guret. Nie moglam opuscic chlopca stojacego przed czarem, ktorego nie mogl zrozumiec.

Zawrocilam i z powrotem pojechalam do wyjscia. Guret siedzial na swoim kasztanowym ogierze. W oczach widac bylo niepokoj. Na moj widok jego twarz zajasniala wyrazem ulgi.

-Czy znalazlas go. Cero?

-Nie - odpowiedzialam. - Ale przejście jest dobrze strzeżone czarami. Musimy jednak przejść. Moge troche przeciwstawic sie zawrotom glowy, ale ty musisz zalozyc opaske na oczy. Poprowadze cie.

-A co z Vengi? - zapytal, gladzac szyje ogiera.

-Arren nic nie czula, mam nadzieje, ze z nim bedzie podobnie.

Mozemy tylko spróbować.

Złapałam wodze ogiera i przeciągnęłam je nad jego głowę. Skubnął moją klacz w szyję, a Arren stuiła uszy i kwiknęła, odstrasżając go.

-To nie będzie takie łatwe - powiedziałam, odpychając zainteresowany pyśk ogiera. Potem podałam Guretowi szalik, który wyjęłam z worka przy siodle. - Zawiaz tym oczy. Nie rozwiązuj go pod groźbą utraty życia. Zdejmiesz dopiero, kiedy ci na to pozwolę.

Guret skinął głową i zasłonił oczy. Złapałam wodze Arren w jedną dłoń, wodze ogiera w drugą i skierowałam się ponownie do wejścia. Gdy wjeżdżaliśmy w mglistą zasnę, zamknęłam oczy i pozwoliłam Arren samej wybierać drogę przez jakies dwadzieścia kroków, które odliczałam z bijącym sercem. W koncu otworzyłam oczy i przygotowałam się na tę trudną do opanowania dezorientację.

Nic się nie zmieniło, więc ponownie musiałam zamknąć oczy. Tak przejechałam większość drogi. Tylko w ten sposób udawało mi się przetrwać zawroty. Obejrząwszy się na Gureta stwierdziłam, że chłopiec chwieje się w siodle. Twarz miał blada, a usta zacisnięte z wysiłku.

-Trzymaj się siodła, Guret! - zawołałam do niego. Moją głos odbił się sztyrczym echem, płosząc przy okazji konie. - Jak się czujesz?

-Czuje się dziwnie. Jak gdybym wjeżdżał w sen... chociaż jeszcze nie zasnęłam... - Ponownie się zachwiał.

-Trzymaj sie! - poprosilam, a niesamowite echo spowodowalo, ze slowa zabrzmialy niczym smiech oblakanego czlowieka. Gdyby spadl, w jaki sposob ponownie wsadzilabym go na konia?

-Kiogowie... nie potrzebuja sie trzymac... Dam... sobie rade. Ponownie sie zachwial.

-Guret, nie badz glupcem! - rozkazalam, wkkladajac w to zdanie cala moja sile nakazu. - Nikt cie przeciez nie zobaczy poza mna i przysiegam na Gunnore, ze nigdy nikomu nie powiem!

Z ulga zobaczylam, jak lapie za lek siodla.

Nasza podroz przez waski skalisty przesmyk byla koszmarem.

Ciagle bylam atakowana przez fale zawrotow glowy, ale nauczylam sieje kontrolowac. Oddychalam gleboko, zamykalam oczy i nie patrzylam zbyt dlugo pod nogi, gdyz wzbudzajace strach przemiany mialy wtedy na mnie wieksze dzialanie. Nadal staralam sie poruszac jak najszybciej, wiedzialam, ze Kerovan wyprzedzil nas przeciez o pare minut drogi. W koncu przez chwile zamajaczyła ciemniejsza plama... daleko z przodu. Kerovan? Wyslalam za nim mysl, ale tak jak poprzednio nie bylo odpowiedzi. Bylam jednak podniesiona na duchu faktem, ze nadal jedzie przed nami i ze w tym czasie nie przeszedl przez jakas Brame. Zmusilam konie do klusa, chcac sie z nim zrownac. Lewa reka zaczela dretwiec od ciaglego prowadzenia Vengiego, ale nadal trzymalam wodze, wznoszac do Gunnory prosby o nowe sily.

-Moj panie! Kerovan! Zaczekaj! - Moj glos odbil sie gluchym echem, zwiekszajac jeszcze zawroty glowy, nie tylko od skalnych

scian, ale w glebiach mojej swiadomosci.

On - zwalnial! Odwrocil sie w siodle! Mocniej pociagnelam Vengiego i wbilam piety w boki Arren. Poklusowalam w jego kierunku.

-Kerovanie, zaczekaj!

W miare zbliżania skaliste sciany zaczely sie rozszerzac coraz bardziej, bardziej...

Zniknal czar! Znowu widzialam normalnie!

-Spojrz, Guret! - Zatrzymalam Arren i u boku mego pana patrzylam na to, co sie przed nami rozposcieralo.

Dolina. Cudowne falujace laki, otoczone z mojej lewej strony wysoka sciana lasu. Dolina miala jakies piec mil dlugosci i pewnie z polowe tego szerokosci. Byla otoczona gorami, wysokimi skalistymi szczytami o porosnietych lasem zboczach. Z prawej strony, oswietlone promieniami zachodzacego slonca, gorowaly dwa siodlaste szczyty. A na blizszym z nich, w poblizu szczytu...

Usilowalam znalezc wlasciwe slowo. Wieza obronna? Zamek?

Z pewnoscia miejsce do zamieszkania, ale nie zostalo ono zbudowane przez ludzi. Wykonane z blekitnego kamienia sciany wydawaly sie gorowac nad calym szczytem. Krecone iglice, ciemne lukowe okna, waskie rampy zamiast schodow - to wszystko wygladalo bardzo dziwnie, ale nie zagrazalo. Zdawalo sie, ze budynek w ogole nie jest zamocowany w gorskim zboczu.

Wygladal niczym niewiarygodny (ale piekny w swoim rodzaju) sen.

Moje zdumione marzenia przerwal glos Gureta.

-Co to jest, milordzie?

-To Kar Garudwyn - powiedzial Kerovan.

-Skad to wiesz, moj panie? - zapytalam.

Uśmiechnal sie do mnie lagodnie, nie odpowiadajac. Patrzac na niego prawie go nie poznawalam. Jego twarz pozbawiona leku i napiecia byla niczym twarz dziecka. Odkad go znalazam, moj pan zawsze wygladal na wiecej lat, niz ich naprawde przezyl. Jego wychowanie, walka ze strachem i nienawiscia, ktore we wlasnych ludziach wywoływaly jego "deformacje", nadaly mu dojrzalosc spotykana zazwyczaj wsrod znacznie starszych od niego. Wydawalo sie, ze znacznie roznimy sie wiekiem, gdy tymczasem byl ode mnie tylko o dwa lata starszy.

Patrzac teraz na Kerovana, przypomniałam sobie, ze mial dopiero dwadziescia jeden lat. Wyciagnelam do niego reke i ujelam jego dlon.

-Kar Garudwyn? Co to jest, Kerowanie?

Uśmiechnal sie do mnie tym otwartym, szczerym uśmiechem, ktory powodowal, ze wygladal tak mlodo.

-To dom.

Spojrzalam na doline, na zawieszona na turni warownie i

zastanowilam sie, co bylo w srodku. Bez dodatkowych wyjasnien
moj pan skierowal Neki naprzod i cala nasza trojka zjechala w
te piekna doline.

Byla bogato zaludniona ptakami i zwierzetami - przez dluga
chwile przygladala nam sie antylopa widloroga tylko po to, aby po
chwili spokojnie poklusowac dalej. Od dawna nie bylo juz tutaj
ludzi.

Gdy dojechalismy do podnoza gory, zatrzymalismy sie i
spojrzelismy poprzez drzewa na stroma i ostra powierzchnie
skal, ktore prowadzily do niewidocznej teraz wiezy. Nie bylo
zadnej sciezki, zadnej wskazowki, jak dostac sie do warowni.
Zaczelam sie zastanawiac, czy dawni mieszkancy nie mieli
skrzydel.

Czujac nagle zmeczenie zsiadlam z Arren, zdjelam jej postronek
i pozwolilam sie wolno pasc.

-Czy mamy rozkulbaczyc konie, Kerovanie? Czy chcesz tutaj
zostac na nocleg? - Wydawalo mi sie, ze ten osloniety zakatek
byl najlepszym miejscem na popas.

Zmarszczyl sie lekko zdziwiony.

-Dlaczego mamy sie tutaj zatrzymywac? Czeka na nas Kar
Garudwyn.

Popatrzyłam na pionowa skale zagradzajaca nam droge.

-Byc moze czeka, moj panie, ale nie jestem orlica, nie widzialam
tez, aby tobie przed chwila wyrosly skrzydla. Nie widze sposobu,

by dotrzeć na gore.

Rozesmiał się, jak gdyby w ogóle nie miał żadnych problemów.

-Chodźcie ze mną, pokaze wam.

Rozsiedlaliśmy konie i zostawiliśmy na pastwisku. Na plecy założyliśmy tylko worki podróżne. Kerovan poprowadził nas na wschód, gdzie najpierw przeszliśmy przez niewielki pas drzew, a potem poszliśmy wąską ścieżką, wijącą się u podnoża nagiej skalnej ściany. Spojrzałam pytająco na Gureta, ale poszliśmy za Kerovanem.

Skala szczytu była nadal niedostępna: twardy szary granit, gdzieś przerywany ciemniejszymi pasmami. Nigdzie żadnej możliwości wdrapania się wyżej, chyba że za pomocą lin i raków - zaczynałam się obawiać, że czar otaczający dolinę spowodował jakieś zmiany w umyśle mego pana. Ponownie obudził się we mnie strach, uspijony widokiem spokojnej piękności doliny.

Obeszliśmy ostrą skalistą skarpe tylko po to, by przed nami znowu wyrosła nie kończąca się skala. A jednak Kerovan spokojnie stał przed pustą, blokującą dalszą drogę ścianą. Wskazał nam gładką skałę przed sobą i gdy podeszliśmy, powiedział: - Nasze wejście.

Od placzu powstrzymywałam się całą siłą woli. Poczulałam, jak w ramiona wrzynają mi się pasy podróżnego worka. Stałam i patrzyłam na pustą ścianę przed sobą. Mój pan musiał zwariować, tylko płaz mógłby wejść na tę ścianę i utrzymać się na niej. Zwilżyłam usta i zerknęłam na Gureta, zobaczyłam, jak

chłopiec skinął zgodnie głową i narysował kolko na swoim czole. Kerovan odwrócił się i zobaczył gest młodego mężczyzny. Najwyraźniej był zirytowany.

-Dlaczego ze mnie zartujecie? Czy nie widzicie?

Przypomniałam sobie chwile, gdy łagodziłam gorączkujących pacjentów i zapytałam łagodnym tonem:

-Co mamy widzieć, Kerowanie?

-Symbol! - z zawodem wskazał na pustą ścianę. - Widzicie, musicie widzieć!

Potrzaskałam głową.

-Widzimy tylko skalną ścianę, mój panie.

Kerovan odwrócił się do Gureta w celu potwierdzenia moich słów. A potem znowu popatrzył na skalę z widocznym zdziwieniem.

-Ale to takie wyraźne.

Wyciągnął rękę i dotknął chropowatej powierzchni swoimi palcami - wzdrygnęłam się i zdusiłam w sobie okrzyk. Pod jego dotknięciem pojawiło się światło, fioletowy błysk i mogłam odczytać symbol, który obrysował na skale.

-Uskrzydłona kula - krzyknął za mną Guret. Kerovan odwrócił się gwałtownie. - Zniknęło! - Guret popatrzył na skalę, a potem ze strachem na mnie.

Symbol, który zabłysnął tylko na parę chwil, był wyrzeźbiony

gleboko w granicie skaly. Teraz ponownie byl niewidoczny. Przylozylam dlon do tego miejsca. Bylo cieple...

Pod wplywem mojego dotkniecia pojawil sie blekitnozielony plomien i zniknal prawie natychmiast, ale przez kilka sekund wyczulam gleboko wyryty symbol.

-Czy to znaczy, ze dla was sciana jest pusta? - zapytal Kerovan ze wzrastajacym zrozumieniem. - Ale to takie jasne...

-Podobnie jak bylo dla ciebie wejscie do doliny - wyjasnilam.

-Dla mnie i Gureta bylo zakryte mgla i wypelnione czarem. Czy widzisz tutaj drzwi?

W odpowiedzi ponownie obrysowal symbol, ktory zablysnal delikatnie fioletowym blaskiem. Podswiadomie uslyszalam glosne skrzypniecie, mozna bylo to nazwac raczej wyczuciem, jakie zazwyczaj wiazalam ze stosowaniem Mocy. Sciana skalna zakolysala sie, sciemniala...

Stalismy przed szerokim tunelem, podloga i sciany byly wylozone kamieniem. Strzelisty luk znikal w ciemnoscach.

Ciezko bylo sie wspinac nawet po lagodnych kretych rampach. Kerovan pedzil do przodu nie zmeczony niczym Nekia, podczas gdy Guret i ja pozostalismy z tym. Nogi zaczely mnie boleć z wysilku, kilkakrotnie bylam zmuszona zatrzymac sie i odetchnac gleboko.

Przy kolejnym zatrzymaniu Guret wzial ode mnie worek i zarzucil go na swoje ramiona.

-Moge ponieśc - zaprotestowalam.

-Wiem, Cera, ale jest ciezki, a ty nie powinnas sie meczyc.

Spojrzalam w jego ciemne oczy i zobaczylam w nich lagodne zrozumienie i troske.

-Skad wiedziales? Czy Terlys...?

Mlody mezczyzna usmiechnal sie.

-Mam czterech mlodszych braci i siostry, pani. Widzialem, jak oczy mojej matki powlekaly sie cieniem w taki sposob, jak teraz twoje, dzialo sie to wtedy, gdy byla w ciazy. Czy twoj pan o tym wie?

-Nie - przyzalam sie - i nie powinien sie dowiedziec, dopoki nie dowiemy sie, co nas czeka w tym miejscu. Prosze, abys zachowal milczenie.

Zawahal sie.

-Czy czujesz sie dobrze i tylko czasem jestes zmeczona?

-Calkowicie - odpowiedzialam pewnie. - Jestem polozna, pamietaj o tym. Nie bede podejmowala niepotrzebnego ryzyka. Czy przysiegiesz?

Skinal ciezko glowa.

-Tak, przysiegam na Swieta Konska Skore milczec, o ile nie zachorujesz, pani. Wtedy bede musial przemowic.

-To sprawiedliwie - zgodzilam sie.

Gdy osiagnelismy szczyt kamiennej rampy, ujrzelismy niespokojnie przechadzajacego sie tam i z powrotem Kerovana.

Oczekiwal nas Kar Garudwyn. W ostatnich promieniach zachodzacego slonca blekitny kamien wydawal sie ocieniony cieplym, witajacym nas blaskiem. Nie mial drewnianych wrot, do jakich bylam przyzwyczajona w High Hallack. Zamiast tego wchodzilo sie przez lukowy portal, troche wiekszy od waskich portali okiennych wpuszczajacych do wnetrza swiatlo i powietrze. Dalej znajdowal sie krotki korytarz i hali. Bylo to duze pomieszczenie w ksztalcie kola przykryte kopula. Gdy weszlismy, wieszaca u szczytu kopuly krysztalowa kula ozyla i zablysla miekkim, rozanym swiatlem.

Centralna czesc pomieszczenia zajmowaly stoly i lawy ustawione wokol podium. Na nim znajdowalo sie ogromne siedzisko -jak gdyby tron, ale najwyrazniej w swiecie nie przeznaczony dla istoty ludzkiej. Prowadzila do niego rampa, a nie schody, jakie wystepowaly w budowanych ludzka reka wiezach.

Zmarszczylam brwi zainteresowana czymś, co powinno tutaj byc, powinno pokrywac wszystko, ale go brakowalo. Dotknelam powierzchni stolu i z niewiara spojrzalam na czyste opuszki palcow. Po tylu wiekach powinien byc tutaj kurz!

Powierzchnia stolu wydawala sie chlodna i gladka - to nie bylo drewno, jak myslalam na poczatku. Koloryt i sloje materialu przypominaly drewno, ale w dotyku byl to gladki, szklisty kamien.

-Cera! - spojrzalam w gore na dzwiek szeptu Gureta. - Spojrz na

ściany!

Podeszłam razem z nim i zaczęliśmy przyglądać się zaokrąglonym ścianom hallu bankietowego, gdyż za takie zaczęłam uważać pomieszczenie, do którego weszliśmy. To, co w pierwszej chwili wzięłam za smugi na fakturze kamienia, w rzeczywistości było wzorami i obrazami wykonanymi z małych drogich kamieni zatopionych w powierzchni. Dotknęłam delikatnie mozaiki, podziwiając kunsztowną pracę.

Ciemnozielony kamień to z pewnością był jadeit. A tutaj drugi, z małymi ognikami połyskującymi w jego mlecznej powierzchni - opal?

Moje oczy odnalazły królewski okup w postaci agatów, jadeitów, opali, bursztynów i topazów, a także innych drogich kamieni zamocowanych w ścianie w celu stworzenia odpowiednich wzorów. Same sceny były ogromne, wirujące obrazy słońca, gór, a także czegoś, co po uważnym przeanalizowaniu przyjąłabym jako starodawne runy - ale tak stare, że prawie nie do rozróżnienia. Nie potrafiłam odczytać żadnego z nich i to mnie zasmuciło. Miałam bowiem uczucie, że opowiadają historie tego miejsca. Gdybym tylko mogła je zrozumieć!

-Cera - Guret pociągnął mnie za rękę. - Milord Kerovan gdzieś zniknął!

-Gdzie on poszedł? - Nie chciałam się od niego oddalać w tym pięknym, ale jednocześnie dziwnym miejscu.

-Nie widziałem, jak odchodził. Odwróciłem się na chwilę i już go nie było.

W pośpiechu opuściliśmy hali i zaczęliśmy przeszukiwać przejścia. Nad nami usłyszeliśmy na rampie stukot stop - stop zakończonych kopytami. Rzuciliśmy się biegiem.

Kerovan szedł szybko, ale bez niepotrzebnego pośpiechu. Kierował się w stronę lukowego portalu na końcu korytarza. Otwarte luki, obok których przechodziliśmy, kryły puste pokoje, milczące i bez śladu kurzu.

Portal był brama dla nowej rampy, na którą szybko się wspieliśmy. W tle rysowały się przyprawiające[^] zawrót głowy widoki z południowych i zachodnich okien. Widoczny był tylko zaczerwieniony nieboskłon, pokryty fioletowymi chmurami. Na szczęście, w miarę naszego przemieszczania budziły się do życia świetliste kule wiszące w pewnych odstępach wzdłuż korytarza. Inaczej już dawno wedrowalibyśmy w ciemnościach. Patrzac na niczym nie zabezpieczoną przestrzeń wąskich lukowych okien stwierdziłam, że niezbyt mi to odpowiada. Dłonie miałam spocone ze strachu wywołanego możliwością upadku z takiej wysokości. Nie potrafiłam go opanować.

Gdy weszliśmy za moim panem na kolejną rampę, pomyślałam, że znajdujemy się w jednej z wież, które wcześniej zauważyłam. Na końcu rampy powitała nas ostatnia arkada wypełniona skrzącym fioletowym blaskiem. Odsunęłam się instynktownie. Dotknięcie tego drgającego, błyszczącego światła powodowało śmierć. Dobrze o tym wiedziałam.

Kerovan wyciągnął rękę i miękko wypowiedział słowa, których nie rozumiałam. Światło stało się łagodniejsze, bardziej delikatne, aż w końcu całkowicie zniknęło. Wszedł do środka. Wzięłam głęboki oddech i weszłam za nim.

Była to okragła komnata, oświetlona lukowymi oknami, przez które wpadało chłodne gorskie powietrze. Przez chwile poczułam nawrot zawrotów głowy, jakich doświadczyłam w przesmyku. Patrzyłam na mego pana, stojąc w jak najdalszej odległości od otworów okiennych.

Komnata była duża. Stało tam tylko kilka stolów, na ścianach, w promieniach zachodzącego słońca, lśniły znaki runiczne. Na podłodze był wyryty znak pentagramu, a zaraz obok symbol kuli.

Nagle powiał chłodny wieczorny wiatr. Zadrzałam.

Kerovan podszedł do najbliższego stołu i wziął leżącą na samym środku książkę. Wstrzymałam oddech obawiając się, że książka za chwile rozsypie się w pył, tak jak - widziałam kiedyś - stało się z zawartością zaczarowanej komnaty w Wieży Obronnej. Ale nic takiego nie nastąpiło. Mój pan chodził po komnacie, najwyraźniej widoki ze znacznych wysokości nie wpływały na niego w żaden sposób. Od czasu do czasu dotykał jakiejś książki, zwoju... wyrytych na ścianach runów - gdziekolwiek dotknął, pojawiał się fiołkowy blask. Dosłownie czułam tutaj Moc, była niczym ogromne, budzące się z długiego snu zwierze.

Gurek zacisnął na moim ręku zimną dłoń.

-Kerovan - z trudem udało mi się przerwać tę odwieczną ciszę. Kto zbudował to miejsce? Do kogo należały te wszystkie rzeczy?

Odwrocił się, z jego twarzy powoli znikło zamroczenie. Pomyślałam, że po raz pierwszy od wielu godzin zobaczył mnie naprawdę. - Nie wiesz?

Byłam zmęczona podobnymi pytaniami i z zalem stwierdzam, że w moim głosie brzmiała więcej niż tylko nuta ostrości. - Nie, nie wiem. Byłabym szczęśliwa, gdybys mnie oświecił, mój panie!

Podszedł do mnie i położył mi dłonie na ramionach. W jego błyszczących oczach widniała determinacja.

-Przez te wszystkie lata bałem się właśnie tego i nie wiedziałem o tym. Wzywało mnie, bo jest moim dziedzictwem. Nie byłem przygotowany na przyjęcie i zaakceptowanie tej mojej części, dopóki nie nauczyłem się akceptować części ludzkiej. Joisan, Kar Garudwyn był i w pewnym sensie - chociaż nie potrafię ci tego wyjaśnić, lecz wiem to - jest cytadela Landisla.

Rozdział 8 - Kerovan

Kiedy stałem z Joisan w owianej wiatrami komnacie na szczycie wieży Kar Garudwyn, wydawało mi się, że zobaczyłem w jej oczach strach.-Cytadela Landisla... - wyszeptała, patrząc w moje oczy. - Czy jakkolwiek wieża mogłaby tak długo przetrwać w stanie w ogóle nie zniszczonym?

-Była zaklęta, Joisan. - Mnie także zdumiewała ta komnata w wieży, te stare książki, nie tknięte przez czas zwoje, głęboko wryte runy, których nie pokryła nawet warstewka kurzu. Gdyby tak nie było, wszystko dawno zamieniłoby się w ruiny. Wydaje mi się... spojrzałem na otaczające wieże góry - że cytadela jest zamknięta dla przypadkowych podróżnych, otwiera się tylko dla tych, którzy mają dziedzictwo Gryfa.

-Innymi słowy, czekała na ciebie. - Jej głos zalamal się trochę, wyciągnęła rękę i delikatnie dotknęła moich ramion, zupełnie jak

gdyby pomimo tych wszystkich nocy, które spędziliśmy razem, bała się, że zostanie odtrącona. - Moc... mój panie, jest prawdziwie twoja. Wyczuwam ją.

Także czułem wzrastając we mnie fale, jak gdyby burzyło się we mnie, smagane powiewami sztormowego wiatru, morze. Kiedyś, jako młody chłopiec, nieostrożnie napilem się czegoś zbyt mocnego. Wtedy także miałem przycmiony wzrok, widziałem niewyraźne obrazy. Teraz odczuwałem to samo. Dawna wiedza pojawiała się i znikła, przygotowując mnie o zawrót głowy. Momentami byłem prawie kims innym, a potem znowu sobą.

-Tak, wiem. - Ponownie pojawiła się przeszłość, której prawie mogłem dosięgnąć. A zaraz potem Moc zniknęła! Westchnąłem i zamknąłem oczy. Obudził mnie mocny uścisk Joisan, która mnie potrasała...

-Kerovan! Nie! - Na twarzy Joisan były widoczne ślady łez, oczy miała szeroko otwarte i przerażone. - Nie odchodź ode mnie, mój panie! Moc - co mi zależy na Mocy, jeżeli przy jej zdobywaniu mam utracić meżę? Odejdźmy z tego miejsca teraz!

-Joisan... - Przytulilem ją do siebie i zmusilem się do spokojnego tonu, chociaż jakaś część mnie nadal drżała pod wpływem tego, co odczuwałem. - Nie, kochanie. Wszystkie Moc na świecie byłaby zbyt wielką ceną, gdybym z jej powodu musiał cię utracić. Nie, nigdy...

Podświadomie zorientowałem się, że mający wrodzoną delikatność Guret wyszedł z komnaty, pozostawiając nas samych.

Przytulilem moja pania i trzymałem tak długo, aż zelzał nieco spazmatyczny ucisk jej ramion. Odsunalem ja wtedy na pewna odleglosc i spojrzalem. Dotknalem jej ostrej brody i podnioslem glowe do gory, spojrzalem prosto w blekitnozielone oczy.

-Miej dla mnie troche cierpliwosci, moja pani, prosze cie o to. Pamietam te wszystkie proby, do jakich mimowolnie cie zmusilem i prawdopodobnie istnieja tez inne, o ktorych na razie nic nie wiem. Jednak to miejsce otacza mnie teraz dobrem... sila..., ktora upewnia mnie, ze jest to nasz prawdziwy dom. Joisan usmiechnela sie troszke smutno.

-Cierpliwosc - ze wszystkich zalet, jakich starala sie mnie wyuczyc Dama Math, cierpliwosc przychodzila mi najtrudniej! Ale wojna, trzy lata spedzone z toba spowodowaly, ze prawie osiagnelam jej ideal. A takze - powiedziala miekkim glosem, odsuwajac z mojego czola niesforny kosmyk wlosow - kiedy kocha sie prawdziwie, prawie wszystko staje sie mozliwe, Kerovanie.

Pocalowalem ja szybko, pamietajac o oczekujacym nas na zewnatrz mlodziencu. Razem przeszlismy po pokrytej znakami runicznymi posadzce, ostroznie omijajac wzory, ktore nadal blyszczaly przymglonym fiolkowym blaskiem.

Cala nasza trojka zeszla nastepnie do Wielkiego Hallu, gdzie znajdowal sie tron. Ostroznie posadzilem Joisan na stopniu - moja pani wygladala na wyczerpana- odchrzaknalem i powiedzialem:

-Jeden z nas powinien zejsc na dol po konie, zanim nastana zupelne ciemnosci.

Guret skinal glowa.

-Chetnie bym to zrobil... jest tylko jeden klopot. Jak przejde przez skalna bariere?

-Nie wiem - westchnalem. - Jest z pewnoscia jakis sposob, ale moja wiedza o tym miejscu przyplywa i odpływa bez udzialu swiadomosci. Lepiej, zebym sam zajal sie konmi. Potem poszukamy tutaj wody.

Guret podniosl buklak szacujac jego zawartosc.

-Czy tutaj aby jest woda? Jezeli nie, musimy napelnic worki, gdy bedziemy na dole.

Odpowiedzialem powoli.

-Tak... gdzies, wiem, ze jest tutaj woda. Musimy jednak jej poszukac. Moja niezbyt sprawna pamiec nie oswiecila mnie jeszcze, gdzie moze znalezc zrodlo. - Usmiechnalem sie krzywo do niego. Jeszcze nie jestem czarownikiem, wiec nie rzucaj na mnie spod oka tych na wpol wystraszonych spojrzez. Jestem tylko Kerovanem, takim, jakim zawsze dotad bylem.

Usmiechnal sie do mnie z wyrazem ulgi i zawstydzienia, zarzucilismy na plecy worki z pasza i pospiesznie poszlismy rampa w dol. Szlismy w ciemnosc, ale w trakcie naszej drogi blekitne kamienie rozblyskiwały lagodnym swiatlem.

Gwizdnalem, gdy zeszlismy w doline. Chwile potem pojawila sie Nekia, z pyska zwisala jej trawa. Zaraz za nia zjawily sie Arren i Vengi. Z uwaznych spojrzez, jakie ogier rzucal na klacze, wywnioskowalem, ze obie odrzucily jego awanse. Podrapalem go

w szyje i z dala od klaczy dalem mu porcje ziarna.

-Biedaku... wiec nie chca cie znac? - Parsknał glosno, potraszając zanurzona w worku glowa. Uśmiechnalem sie. Zmieni sie to, gdy tylko rozpocznie sie prawdziwa wiosna. Te grzywiaste damy nie beda mogly dlugo opierac sie twoim wdziekom.

Znowu potraszal glowa, jak gdyby zgadzal sie z moimi slowami, a potem zabral sie do jedzenia. Spojrzalem na Kar Garudwyn, chociaz z uwagi na stromizne skaly z tego miejsca nawet w dzien zaledwie moglbym zobaczyc jego sciany.

Delikatny, blekitny blask upewnial mnie, ze cala budowla, podobnie jak rampa, blyszczy swiatlem blekitnego kamiennego metalu. Czy podobnie blyszczal przez te wszystkie niezliczone, opuszczone lata, czy tez tylko wowczas, gdy istnieli jego mieszkancy?

W powrotnej drodze ogarnelo mnie nagle zmeczenie. Odplynelo podniecenie spowodowane odnalezieniem tej dawno zapomnianej cytadeli. Rowne kroki zmienily sie w zmeczone potykanie.

Chwilami musialem opierac sie o sciany. W miejscu, ktorego dotknałem, blekitny kamien zaczynal blyszczec, pod palcami czulem raczej promieniowanie ciepla niz spodziewany chlod. Te dotkniecia zdawaly sie przekazywac pewne dawki energii, dobrego samopoczucia, przez chwile zwalczaly moje wyczerpanie.

Odnalazlem Joisan i Gureta stojacych przed fragmentem

mozaiki ozdabiającej koliste ściany Wielkiego Hallu. Nałożyłem na plecy nasze worki podróżne i instynktownie poprowadziłem przez luk na wprost wejścia. Na kamiennej posadzce nasze kroki odbijały się głośnym echem. Tak jak poprzednio, w miarę naszego przemieszczania się budziły się do życia świetlane kule, rozjasniając naszą drogę miękkim rozanobursztynowym światłem. Za Wielkim Hallem ciągnął się wąski korytarz, którego obie ściany tworzyły biegnące od sufitu do podłogi wąskie lukowe sklepienia. Z oddali dobiegł mnie głos Joisan, powietrze mimo swojej świeżości w jakiś sposób wygluszało wszelkie dźwięki.

-Jeżeli mamy tutaj pozostać, mój panie, musimy jakos zabezpieczyć otwory. Nie mam ochoty stracić równowagi pewnego poranka i stać się częścią tych kamieni na samym dole.

-Tak - odezwał się Guret. - Obecnie nie jest to miejsce dla niezdarnych osób... ani dla bardzo młodych.

-Na szczęście żadne z nas do nich nie należy - powiedziałem. Zauważyłem, że na dźwięk moich słów wymienili pomiędzy sobą szybkie spojrzenia. We wzroku Gureta było rozbawienie, u Joisan zauważyłem ostrzeżenie. Zmarszczyłem brwi, zastanawiając się, jaki mogli mieć wspólny sekret. Odezwała się Joisan:

-To dziwne, że nie czujemy powiewu wiatru, pomimo tych wszystkich otworów. Wydawało mi się także, że w budowlu wykonanej z kamienia wraz z nadejściem wieczoru powinno się czuć chłód - tak jak wśród ścian mojej wieży w High Hallack. A jednak tak nie jest.

Guret rozejrzal sie troche przestraszony.

-To czary...

Poszlismy dalej korytarzem (ktory okazal sie krotszy dla naszych nog, niz wydawalo sie to naszym oczom) i przeszlismy przez portal na jego drugim koncu. Znalezlismy sie na obudowanym z trzech stron dziedzincu, otwartym od strony zachodniej na widoczne z oddali szczyty. Urwiste szczyty byly slabo widoczne poprzez wszechobecne waskie luki, przez ktore zagladala do wnetrza ciemna gorska noc. Noc, ktora zostala wyparta w momencie naszego wejscia przez swiatlo wydobywajace sie z owych dziwnych kul. Od strony poludniowej i polnocnej znajdowaly sie lukowe portale bram prowadzacych do innych czesci wiezy. Na srodku dziedzinca byla fontanna, z ktorej woda splywala kaskadami tworzac dziwny, ulotny, na wpol znajomy ksztalt. Gdy podszedlem blizej, stwierdzilem, ze wyplywajaca woda okrywala kryształowy posag, tak sprytnie wyrzezbiony, iz nie sposob bylo odroznic, co bylo rzezba, a co woda.

-To postac Gryfa...

Obok mnie uslyszalem westchnienie Joisan. Polozyła dlon na piersi, gdzie kiedyś lezał uwieziony w kryształ Telpher, gryfon Landisla. Od tamtej pory kula juz dawno przestala istniec i jej palce napotkaly tylko amulet Gunnory.

-To jest bardziej niz piekne, Kerovanie... tyle mi to przypomina. Czy tak bylo tutaj zawsze, czy tez zrodlo obudzilo sie do zycia na chwile przed naszym przybyciem?

Nie potrafilem jej na to odpowiedziec -jak zwykle moja wiedza lub

pamięć były bardzo kapryśne. Staliśmy patrzeć na plynące kaskady wody, w końcu cisze przerwał Guret.

-Czy tutaj będziemy spali, milordzie? Z uwagi na bliskość wody wydaje się to najlepsze do tego celu miejsce.

-Wygląda dobrze - odpowiedziałem podchodząc, by spojrzeć na ogromną misę wyrzeźbioną w kamieniu i ustawioną w pobliżu wysuniętych najdalej na wschód arkad. Wewnątrz nadal było widac ślady ognia. Popatrzcie. Będziemy mogli tutaj gotować.

-Jest wspaniale - przyznała Joisan, a chwile potem obmyła twarz wodą z fontanny. Za jej przykładem zanurzyłem dłonie w misie. Woda była orzeźwiająco chłodna. Nadmiar przelewał się do drugiego basenu, a potem znikał. Zastanowiłem się, czyje źródłem nie był jakiś potok, ale płyn nie był tak przeraźliwie zimny jak w gorskim strumieniu.

Napiliśmy się, a potem jedliśmy przyniesione przez nas porcje. Jutro, jeżeli tutaj pozostaniemy - prawdę mówiąc, odczuwałem taki spokój w Kar Garudwyn, że nie miałem ochoty go opuścić, będziemy musieli poszukać czegoś do jedzenia na polach i w lasach. Także zapolować; chociaż nie bardzo chciałem zakłócać panującego w dolinie spokoju.

Joisan musiała śledzić tok moich myśli, gdyż jej następne słowa były echem tego, co myślałem.

-Jedzenia wystarczy nam tylko na jeden dzień...

Wzięła jeszcze jeden kawałek podróżnego chleba, przelała go, a potem oszczędnie schowała pozostający ułamek w worku

pod roznym. Musiala zobaczyc moje zdziwienie, gdy pozywiala sie tym twardym, odzywczym pokarmem, gdyz dodala:

-Nie pamietam, zebym kiedys przedtem byla taka glodna. To musi byc wplyw gorskiego powietrza. I przeciez nie jedlismy w poludnie.

-Masz racje, wczesniej o tym nie pomyslam - przyznalem ze skrucha. - Dzisiejszy dzien, dopoki tutaj nie przybylismy, byl dla mnie niczym mgliste wspomnienie. Chociaz tak bardzo cie poganialem, moja pani, nie wiedzialem, co znajduje sie na koncu mojego szlaku, do momentu, w ktorym ujrzałem Kar Garudwyn. Wtedy wydawalo mi sie, ze od zawsze istnial w mojej swiadomosci, czekajac na mnie, jego obraz ukryty pod powiekami...

Porozmawialismy jeszcze troche, wktrotce jednak zawinelismy sie w koce, zmeczeni dluga jazda, a ja - napieciem odnajdywania samego siebie. Kule na scianach wciaz swiecily. Lezalem patrzac na ich odbicia w powierzchni wody, chcialem wymyslic jakis sposob, aby zmniejszyc jasnosc, ktora przeszkadzala w spoczynku mojej pani. Zaczalem myslec o roznym rzeczach... slyszalem miękki oddech Joisan lezacej na poslaniu obok mnie, troche dalej lezal Guret.

Gwałtownie otworzyłem oczy. Światła przygasaly, zupełnie jak gdyby moje mysli dosiegaly kamienia i metalu, kule swiecily teraz miękkim czerwonym swiatem. Nad glowa moglem juz rozpoznac slabo widoczne przed wzejsciem ksiezycy gwiazdy. Ten niewielki czar bardziej niz cokolwiek innego spowodowal, ze zrozumialem, jak bardzo to miejsce bylo ze mna zwiazane, z moim umyslem... z moja dusza.

Pojawila sie dawna obawa przed Moca. Ciało zeszywnialo, lecz zmusilem sie do odprezenia i pozwolilem, aby niczym chroniacy przed zimowym wiatrem plaszcz otoczyl mnie spokoj. Tak jak dawno temu pokazala mi Joisan, Moc mogla byc wykorzystywana nie tylko przez Cien do czynienia zla, ale takze dla spokoju i bezpieczenstwa. Moze kiedys przyzwyczaje sie do tej czesci mnie samego. Czas... jak dlugo czekal Kar Garudwyn? Moze czas byl tutaj mierzony inaczej... Mysli staly sie niewyrazne, potem zniknely i zasnalem glebokim snem.

Obudzilem sie wypoczety po raz pierwszy od trzech dni, przecinajac sie w promieniach wschodzacego slonca. Guret wstal juz i pracowicie czyscil naczolek uprzezy Vengiego. Joisan lezala nadal pograzona w glebokim snie, twarz miala ukryta w cieniu. Usiadlem i zaslonilem te wczesne promienie, aby mogla jeszcze troche pospac. Martwily mnie te ciemne smugi, jakie wczoraj zauwazyłem pod jej oczyma. Moze w koncu bedziemy mogli odpoczac, spedzic czas po prostu bedac. Dzisiaj moglibysmy obejrzec reszte cytadeli, znalezc pokoje, zaczac przejmowac to dziwne miejsce i zaadaptowac je dla naszych celow.

Popatrzyłem na widoczne w swietle poranka szczyty. Szczyt bliźniaczej gory byl prawie na wysokosci mojego wzroku, chociaz dosyc oddalony od arkadowych okien po wschodniej stronie dziedzinca. Sciety szczyt spowijala szkarlatna mgla, wijaca sie wezwowymi splotami pomiedzy odleglymi, zwalonymi glazami. Z trudem prowadzilem wzrok sladem tych starych kamieni, starajac sie odgadnac, czy byly tworem naturalnym, czy tez zostaly ulozone przez ludzi Starej Rasy. Nie bylem pewien... Gdy patrzyłem na pewne miejsce gorskiego szczytu, pojawialo sie

tam dziwne zniekształcenie, podobne do zaczarowania, jakie napotkali Joisan i Guret, gdy próbowali za mną wejść pomiędzy uskrzydłonymi kulami chroniącymi wejście do doliny. Słońce weszło wyżej, było jasniejsze. Wstałem i podszedłem do okien naprzeciw wejścia. Chciałem się bliżej przyjrzeć temu zjawisku.

W pełnym słonecznym blasku widac było wyraźnie, że Kar Garudwyn znajdował się na mniejszym z bliźniaczych wierzchołków. Pomiedzy nimi wila się tylko ścieżka, która schodziła pionowo w dół na tyłach cytadeli, a następnie piała się ostro w górę. Była to drożka tak kamienista, że wyglądała, jak gdyby przebyć ją mogła jedynie kozica gorska, lania żywiaca się mchami i porostami rosnącymi na znacznych wysokościach; zwierze odznaczające się ogromną zrecznością w przemierzaniu gorskich szczytów.

Usłyszałem jakiś szelest. Obok mnie stała Joisan, włosy miała w nieładzie, oczy szeroko otwarte i wpatrzone w ten bliźniaczy, trochę wyższy szczyt. Mocno uchwyciła moją dłoń.

-Jest taki sam... dokładnie taki sam... - wyszeptała - ale nie ma już Car Re Dogan...

-Car Re Dogan? - Z jakiego powodu ta nazwa, której, jak byłem pewien, nigdy przedtem nie słyszałem, niosła w sobie nutę czegoś znajomego. - Gdzie - lub co - to jest, Joisan?

Drgnęła, zaciskając palce na mojej dłoni. Zrozumiałem, że nie wiedziała, że mówiła tylko. Spojrzała mi w oczy, a potem gwałtownie opuściła wzrok.

-Ja... także miałam sny, Kerovanie. Tak jak ty zobaczyłeś obiekt ze swoich snów, kiedy spojrzeliśmy na to miejsce wczoraj wieczorem, tak ja widzę mój w świetle poranka.

-Jakie sny? - zapytałem z niepokojem, myślałem o tych dziwnych. przemieszczających się cieniach okrywających drugi górski szczyt. Nie dawały mi spokoju. Nie trzeba było pobierać lekcji teurgii, żeby zorientować się, że góry te były otoczone płaszczem czarów, podobnie jak cała reszta tego nawiedzonego kraju - inaczej nie stanowiłyby tak nieprzeniknionej bariery pomiędzy wschodem i zachodem, pomiędzy High Hallack i Krainą Arvonu.

-Sny o dawnych czasach, mój panie... sen, którego zakończenie nie zostało mi jeszcze ujawnione. W wieży stojącej na tej górze mieszkał kiedyś Adept... Margrabia Szczytów, będący opiekunem i strażnikiem starodawnego kraju i tego, z którego jego ludzie prawie się wycofali - High Hallack. Tylko że wtedy nie mieszkali tam żadni ludzie z rodu Dales, gdyż było to dawno, dawno temu... - Jej głos zabrzmiał w rytmie głosu Kowala Piosenki. Wzrok miała utkwiony w tych pogmatwanych drożkach.

-Czy znał Landisla? - zapytałem zafascynowany i trochę przestraszony nią i jej zachowaniem.

-Nie wiem... - zawahała się, a potem zadrzała. - Jego dom zniknął, a Kar Garudwyn stoi nadal. O, mój panie... coraz bardziej odczuwam, że jest jakiś cel w naszym przyjsciu tutaj. To nie tylko cel znalezienia domu, ale coś, co dopiero niewyraźnie dostrzegamy. Być może powód ten ujawni się po latach... po dekadach... Czuje się niczym pionek popychany wola czegoś silniejszego - nie podoba mi się to!

Skinalem glowa.

-Czulem kiedys to samo... w przeszlosci. Czy pamietasz slowa Neevora skierowane do nas w dniu, gdy zwyciezylismy Galkura? Powiedzial, ze on - Landisi - mial swoj udzial w moim stworzeniu i ze pewnego dnia moze pojsc droga Mocy, ktora byc moze on kiedys szedl przede mna... Czy to pamietasz?

-Tak. - Jej glos byl miekki. - Ale pamietam takze, co mu odpowiedziales... ze nie wybierasz zadnej drogi, ktora prowadzilaby do Mocy, ze chciales byc tylko Kerovanem, panem nad niczym, czlowiekiem nie majacym zadnych wielkich umiejetnosci...

Usmiechnalem sie do niej smutno.

-Zarowno ty, jak i Guret potraficie przypominac mi slowa, ktore pozniej mnie przesladuja. Jest czas na trzymanie sie takich decyzji i czas na ich zmienianie. Czas na wybor umyslu i czas na wybor serca. I dopiero uplyw czasu jest nam w stanie pokazac, czy wybralismy dobrze czy zle. - Przytulilem ja blisko i uroczyscie pocalowalem w czolo. - Joisan... Jesteś naprawdę Madra, moja odwazna pani. Rozesmiala sie drzac lekko, oczy miala nadal spuszczone.

-Za duzo ode mnie wymagasz, moj panie. Moge byc tak glupia - i tak przerazona - jak kazda inna. Masz racje, czasem odrzucamy rzeczy dobre tylko dlatego, ze sie ich obawiamy. Prawda ma zawsze dwa oblicza. Zanim opuscilismy Anakue, Zwyie spojrzala dla mnie w przyszosc. Obudzilam sie dzisiaj rano sniac ojej slowach. "Bedziesz podrozowala i odnajdziesz siedzibe odwiecznej madrosci, siedzibe odwiecznego zla. To, co jest teraz

dwojgiem, stanie sie trojgiem... a potem zamieni sie w szesc, aby stawic czolo temu, co nie pochodzi z ziemi"...

-Rzeczywiscie - mruknalem zastanawiajac sie nad znaczeniem tych tajemniczych slow. - Podrozowalismy i faktycznie znalezlismy siedzibe odwiecznej madrosci. Jesli chodzi o zlo... czy moglaby to byc owa studnia, z ktora walczyłem?

Joisan wzruszyła ramionami.

-Byc moze. Przepowiadanie jest zawsze niepewne.

-Co oznacza "dwoje stanie sie trojgiem... a potem zamieni sie w szesc"? Trzy to cyfra oznaczajaca Moc, ale szostka jej nie oznacza. Czy cos z tego rozumiesz, Joisan?

Na policzkach Joisan pojawil sie nagle rumieniec, spojrzala na bok, nie chcac patrzec mi prosto w oczy.

-Nic nie wiem o cyfrze szesc, ale jesli chodzi o dwoje stajacych sie trojgiem...

-Guret! - wykrzyknalem. - Jest teraz z nami Guret.

-Rzeczywiscie jestem - powiedzial mlody mezczyzna podchodzac do okna, przy którym stalismy. - Podczas gdy wy ogladaliscie poranek, przygotowalem dla nas sniadanie.

Umylem sie, ogolilem i zasiedlismy do posilku. Potem przedyskutowalismy nasze plany na caly dzien. Guret, ktory byl lepszym rybakiem ode mnie, zaproponowal, ze sprobuje szczescia w rzece plynacej wzdluz doliny. Joisan chciala przeszukac lasy i pola w celu znalezienia jadalnych korzeni i

owocow, ja mialem wziac luk Gureta i poszukac zwierzyny.

Po kilku godzinach kazde z nas miało sie czym pochwalic - Guret miał zawieszane na wedce kilka tlustych ryb, ja upolowalem dwa kroliki i nieuważnego gluszca, podczas gdy szal Joisan był wypełniony intrygującymi nieregularnymi kształtami. Zobaczywszy, że nadchodzimy, zaczęła machac reka i wskazywac na coś, co ja bardzo podnieciło.

-Patrzcie! - zawolala, pokazujac nam kilka chropowatych ziarenek. - To dzikie zboze! Bede mogla zrobic cos w rodzaju chleba. Gleba jest bogata. Musimy zaczac handlowac z Kiogami i kupic od nich rozne nasiona - len, pszenice, warzywa - zaczęła sortowac swoje znalezisko - dzika cebula, marchewka i rzepa... kiedys, dawno temu w tej dolinie musiano uprawiac ziemie.

-Zgadzam sie. Cera - powiedzial Guret.

-Bedziemy potrzebowali pluga i uprzezy - stwierdzilem. - Ciekawy jestem, jak Nekia przyjmie prace przy ciagnieniu tnacego ziemie ostrza.

-Czy juz kiedys uprawiales ziemie, milordzie? - Guret byl nieco zdegustowany wizja wojownika za plugiem.

-Robilem juz wiele rzeczy od czasu naszego przybycia do Krainy Arvonu - powiedzialem lekko ubawiony. - Byla w tym takze orka. Jest ze mnie takze calkiem niezly kowal. Wymiana podkow to stale zmartwienie w armii.

-To moze byc jedna z rzeczy, jaka mozesz wykorzystac w handlu, milordzie - powiedzial Guret. - Nasz kowal Jibbon

starzeje sie, Jerwin, chlopiec, ktory zeszlej zimy zginal na przeleczy, uczyl sie tego zawodu, ale...

-Jerwin? - zapytala Joisan. Szybko opowiedzial jej historie o niebezpieczenstwie, przed ktorym uciekli Kiogowie. Joisan rozejrzala sie wokol siebie, po rozswietlonej sloncem dolinie, a potem po wznoszacych sie nad nia gorskich szczytach.

-Gdzie w gorach znajduje sie owa przeleczy?

Guret stal przez chwile w milczeniu patrzac na slonce, a potem na poszczegolne szczyty. W koncu odwrocil sie do nas.

-Nie jestem pewien - powiedzial niechetnie - ale to chyba w tym rejonie.

Joisan wygladala na zaniepokojona, ale wydawalo mi sie, ze nie byla takze zaskoczona. Popatrzyłem na spokojna doline, a potem na piekno Kar Garudwyn. Nie mogłem sobie wyobrazic tego miejsca inaczej niz jako bezpiecznego schronienia.

-Wczoraj w nocy nic nam nie zagrazalo - przypomnialem im. Do doliny nie moze przedostac sie nic, czego ja nie wyczuje wczesniej.

W momencie, gdy to mowilem, moje slowa staly sie niczym skupiajace promienie sloneczne szkielko, ktore sprowadza wszystko do jednego palacego punktu. Odwrocilem sie w kierunku poludniowym, z ktorego przyjechalismy. Poczulem, jak gdyby cos ostro przesunelo sie po moim ciele, bylo to powierzchniowe uszkodzenie, jeszcze nie bol.

-Co sie stalo, Kerowanie? - zapytala Joisan.

-Odczuwam zaklocenie... gdzies na Poludniu. Cos stara sie sforsowac tych Dawnych Straznikow.

-Czy to Istota Przenikajaca Szczyty? - Guret wygladal na przestraszonego.

-Nie. To niebezpieczenstwo nabiera sily po zachodzie slonca. Nie wiem, co to jest... ale musimy sie dowiedziec... i to szybko.

Zagwizdalismy na konie, osiodlalismy je i szybkim klusem pojechalismy wzdluz doliny w kierunku waskiego, skalnego przesmyku tworzacego wejscie do niej. Jadac, czulem owa druga obecnosć, byla niczym przybrudzony plaszcz oblepiajacy moja dusze. Cos usilowalo zwalczyc Straznikow Doliny i bylo coraz bardziej rozgniewane, poniewaz ich ochronna moc nie zmniejszala sie nawet przez chwile. Bransoleta na moim przegubie - chociaz nie pokazalem tego moim towarzyszom, przybrala ostrzegawczy kolor i promieniowala cieplem.

Podjechalismy do kulistych symboli. Rzeczywiscie na zewnatrz byla widoczna ciemna postac. W milczeniu siedziala na grzbiecie czarnego ogiera. Nieznajomy mial naciagniete kaptur i byl okryty czarnym plaszczem. Kiedy sie zblizylismy, slonce zalsnilo na waskiej nasadzie nosa widocznego w zwojach kaptura i uslyszelismy miekki okrzyk Joisan.

-Nidu!

Wyczulem promieniujaca od mojej pani silna niechec, pomieszana ze strachem. Bylo to tak mocne uczucie, ze

wiedzialem o nim, chociaz nie nawiazalismy w tym momencie kontaktu myslowego. Spojrzalem na nia uspokajajaco.

-Ktos taki jak ona nie przejdzie przez zabezpieczenia ochronne, Joisan. Chyba ze sami otworzymy jej droge.

Jej odpowiedz byla chlodna.

-Nie doceniasz jej Mocy, Kerovanie. Juz przed naszym wyruszeniem z obozu Kiogow zaczela kroczyc po sciezkach, ktorymi nie powinny uczeszczac osoby troszczace sie o swoja dusze. Czy nie czujesz, ze teraz zrobila kilka dalszych krokow na Sciezce-Z-Lewej-Strony?

Tak, czulem to. Nekia zadrzala pode mna, zaczela przewracac oczyma i pocic sie, gdy dojezdzalismy do miejsca, gdzie po drugiej stronie ochraniajacych kul stala Szamanka. W nozdrzach czulem ostry zapach potu przerazonej klaczy. Spojrzalem na konie Joisan i Gureta, z nimi bylo podobnie. Nawet ogier Vengi, ktory powinien byl wystapic z wyzwaniem na widok drugiego samca swojej rasy, odsunal sie do tyłu i przewracal oczyma, nie w zlosci, ale ze strachu.

Czarny rumak Nidu stal spokojnie, nie mial ani uzdy, ani siodla, zachodzace slonce oswietlalo jego kontur blyszczacymi liniami. W bezblednym ksztalcie zwierzecia bylo cos niepokojaacego, perfekcja jest bowiem czymś nienaturalnym. W oczach zwierzecia zalśniło slonce, nadajac im gleboki krwawy odcien.

-Mile spotkanie, lordzie Kerovanie - lady Joisan. W glosie Nidu slychac bylo niski, jedwabisty ton podobny do dzwieku wiszacego u jej boku bebenka duchow. - Dziekuje za przyrowadzenie

mojego Dobosza Cieni. Zaoszczędziliście mi trudu przerwania ochrony waszej bramy i odzyskania chłopca.

Staralem się mówić spokojnie.

-Guret odmówił służby u ciebie, Nidu. Jestem zdziwiony, że Jonka cię o tym nie poinformowała.

Jej oczy uderzyły we mnie niczym antyczny sztylet o wąskim ostrzu.

-Jonka dowodzi Kiogami z mojej woli. Guret został prawidłowo wybrany, będzie więc służył.

-Prawidłowo! - Złość, która zazwyczaj hamowałem, wzburzyła się we mnie na dźwięk takiego kłamstwa. - Widziałem, jak fałszowałaś wybór! Dlaczego to zrobiłaś, niech pozostanie twoja tajemnica, ale wywołałaś Moc - i do tego Moc Ciemności - aby pomogła ci podczas ceremonii. Guret jest więc podwójnie wolny - z własnego wyboru, a także dzięki temu nieczystemu oszukanstwu, jakiego dokonałaś podczas wyboru!

Popatrzyła na mnie zmrużonymi oczyma, jak gdyby dopiero teraz zobaczyła mnie jako mężczyznę, a nie obiekt, który mogła dowolnie przesunąć.

-Niech ci się nie wydaje, Kerovanie, że długo pozwolono ci będzie ukrywanie się za starodawnymi barierami i zabezpieczeniami. Daj mi chłopca, wtedy zapewnię bezpieczeństwo tobie i twojej wymoczkowatej żonie. W innym wypadku...

-Nie bedzie innego wypadku! - Joisan odezwala sie po raz pierwszy. - Znikaj stad, Nidu, razem ze swymi oszczerstwami. Guret pojdzie tam, gdzie sam postanowi. Moze pozostac z nami tak dlugo, jak zechce, i nic, co powiesz, ani zadne grozby nie zmienia jego decyzji.

-Czy juz zapomnialas czar mandragory? - Szamanka usmiechnela sie nagle i przez chwile wydawalo mi sie, ze w jej ustach widac wiecej zebow niz u normalnej ludzkiej istoty. Lepiej strzez sie, lady Joisan. Cos uratowalo cie za pierwszym razem, ale po raz drugi mozesz juz nie miec tyle szczescia...

Przerwalem jej grozbe z okrzykiem zniecierpliwienia bardziej pasujacym do towarzystwa stacjonujacego w wojskowych barakach. Nastepnie, w calkowitej ciszy, uciskiem kolan zmusilem niechetna do ruszenia sie z miejsca Nekie, aby stanela bezposrednio przed Szamanka.

-Znikaj stad, Nidu, albo pozalujesz. - Szybko nakreslilem prawa reka symbol uskrzydzonej kuli, ktory zawisl w powietrzu, Isniac fiolkowo. Gdy symbol uformowal sie, wypowiedzialem dwa slowa, ktore przyszly mi do glowy nie wiadomo skad, slowa ukszaltowane i naostrzone przez Moc, podobnie jak kowal ostrzyz brzeg miecza.

Twarz kobiety stala sie szara, slowa uderzyly w nia niczym miecz. Jej rumak wydal glos, jakiego nikt nigdy nie slyszal u zadnego normalnego konia, po czym zawrocil i zaczal uciekac w pospiechu wyrzucajac spod kopyt kamienie i grudki ziemi.

-Na Bursztynowa Pania! - Odwrocilem sie slyszac okrzyk Joisan, zobaczylem, jak jej brwi unosza sie do gory w udanym

zgorzeniu, a potem, jak moja pani usmiecha sie krzywo na widok szybko znikajacej postaci Szamanki. - Mozna by pomyslec, ze nigdy nie slyszala, jak ktos przeklina.

Zaczalem sie smiac.

-Przepraszam, kochanie, zapomnialem sie. Juz od bardzo, bardzo dawna nikt, ani kobieta, ani mezczyzna - tak mnie nie zdenerwowal.

-Skad wiedziales, jak ja przegnac? - zapytal Guret.

-W taki sam sposob, w jaki wiedzialem, jak pokonac studnie odpowiedzialem. - A to znaczy, ze dzialam instynktownie, bez przemyshlenia. Poza tym Nidu moglaby rownie dobrze przeciwstawic sie i zwyciezyc to, co przeciw niej wyslalem, ale jej kon zdecydowal inaczej.

Guret spojrzal prosto na mnie.

-Nie znam sie na magii ani na slowach niosacych Moc, milordzie. Ale znam sie na koniach. Cokolwiek to bylo... ta istota... to z pewnoscia nie byl kon.

-Zgadzam sie, ze byl tak tylko zewnetrznie ukszaltowany skinalem mu glowa. - Co to w takim razie bylo?

-To Keplian. Ten Bez Duszy, ktory podrozuje pod postacia ogiera - powiedziala w zamysleniu Joisan, spogladajac przez wejscie na widoczne z oddali falujace pagorki, wsrod ktorych zniknela Nidu wraz ze swoim nieziemskim rumakiem.

-Gdzie o czym takim slyszalas? - zapytalem.

-Stare legendy, dawne opowiesci mowia, ze jest on zwiastunem smierci dla kogos, kto go ujrzy albo stara sie z nim wejsc w jakis uklad.

Zadrzałem, dreszcz przebiegl mi po plecach niczym zimne jak lod malenkie pazurki.

-Czy myslisz, ze wroci? - zapytałem.

-O, tak - odpowiedziala spokojnie. Brak jakiegokolwiek uczucia w jej glosie mrozil bardziej, niz zrobilby to nie ukrywany strach. - Nidu nie nalezy do tych, ktorzy latwo rezygnuja.

-I wlasnie dlatego odchodze - powiedzial Guret, podjezdzajac blizej na Vengim i wypychajac Neki z waskiego przesmyku. - Pojade do obozu i przekaze wiadomosc Jonce, bede chcial, zeby ona sama powiedziala Szamance, ze odmawiam sluzby jako Dobosz Cieni. Wykonalem szybki ruch, aby schwycic jego ramie, ale Joisan byla jeszcze szybsza. Jej dlon zacisnela sie na wodzach kasztana.

-Nie - powiedzieliśmy razem.

-Nie badz glupcem, Gurecie! - powiedzialem. - Ona nie chce tylko twojej sluzby, ale twojej duszy. Nie wolno ci!

-Nawet jezeli odjedziesz, nie zostawi nas w spokoju - Joisan patrzyla spokojnie, chociaz twarz miala pobladla... - Nie nalezy do tych, ktorzy przebaczaja urazy, a zarowno ja, jak i Kerovan okpilismy ja. Nie zaprzestanie zemsty tylko z uwagi na ciebie.

Usta mlodego mezczyzny ulozily sie w ponury grymas.

Przyslonił oczy dłonią i spojrział na purpurowo zabarwione promienie zachodzącego słońca.

-Jeżeli to, co powiedzieliście, jest prawda, to moje miejsce jest tutaj. Powinienem wam pomóc walczyć z tymi Mocami, które Nidu może próbować uwolnić. Chciałbym jednak móc to wszystko odwrócić i spełnić jej zadanie, bez względu na cenę, jaką musiałbym zapłacić. Za nic nie chciałbym przeżyć tego jeszcze raz. W zamysleniu pogłaskałem grzywe Nekii.

-Lepiej wróćmy, zanim zapadną całkowite ciemności. Musimy być wypoczęci, żeby móc planować sposób obrony, a żadne z nas nic nie jadło od rana.

-Dobrze powiedziane, mój panie - zgodziła się Joisan. Zawróce do Kar Garudwyn i przygotuje jedzenie z naszych zbiorów... Jestem trochę zmęczona. Może ty i Guret przejedziecie się wzdłuż doliny i sprawdźcie, czy nie ma żadnych ścieżek prowadzących ze szczytów w dolinę, z których mogłaby skorzystać Nidu.

Byłem zaniepokojony, i to bynajmniej nie z powodu Szamanki.

-Joisan, ostatnio bardzo się męczysz. Czy dobrze się czujesz?

Zawahała się przez chwilę, a potem uniosła do góry spiczastą brodę i uśmiechnęła się.

-Całkowicie, mój panie.

-Ale...

Przerwała mi szybko.

-To ja jestem uzdrowicielka, Kerowanie, mozesz byc spokojny, nie nadwerezam niczyjego zdrowia, a juz na pewno nie mojego. Kiedy bedziemy pewni, ze Nidu nie moze dostac sie do doliny i ze jestesmy bezpieczni - wtedy porozmawiamy. Wszyscy wygladamy troche zmeczeni po naszej podrozy.

To, co powiedziala, bylo prawda i mialo sens, nie mozna bylo sie z tym nie zgadzac. A jednak popatrzyłem za nia, gdy klusowala na Arren z powrotem po naszych sladach i byłem naprawde zmartwiony po raz pierwszy od momentu odnalezienia starodawnego domu Landisla.

Gdy zniknal ostatni kosmyk rdzawego ogona Arren, odwrocilem sie i zobaczylem, ze Guret patrzy na mnie z natezeniem podobnym do tego, z jakim ja przypatrywalem sie Joisan.

-Guret - powiedzialem powoli, patrzac na proste, mocne rysy mlodego mezczyzny widoczne spod niesfornych kosmykow wlosow - czy cos nie wydaje ci sie... nienormalne... Chodzi mi o zachowanie lady Joisan, odkad powrocilismy z wyprawy.

Wzruszyl ramionami i odwrocil sie, by spedzic muche ze spoconej grzywy Vengiego.

-Nic, o czym warto by wspomnac, milordzie. Dlaczego?

-Nie wiem - powiedzialem, patrzac na niego. - Ale pozniej o tym z nia pomowie.

Zauwazylem jego szybkie spojrzenie i byłem jeszcze bardziej pewny, ze dzieje sie cos, o czym Guret doskonale wie.

-Na razie - dokonczyłem - podzielimy doline pomiedzy siebie. Ja pojedze strona zachodnia, a ty wschodnia. Niech to bedzie krotki zwiad, gdyz za chwile zapadnie ciemnosc. Dokladniej sprawdzimy jutro.

Guret dal mi znak, ze zrozumial, i zawrocil ogiera w kierunku wschodnim. Naprezylem miesnie nog z prawej strony Nekii i pojechalem w kierunku zachodniej granicy doliny. Wpatrzony w skaliste

sciany i pokryte lasami zbocza znajdujace sie po mojej lewej stronie staralem sie jechac klusem, pozwalajac Nekii na samodzielny wybor drogi. Zauwazylem kilka niewielkich sciezek, ale zadna z nich nie wydawala sie grozna, jesli Keplian - rumak Nidu nie mial zrecznosci i umiejetnosc gorskiej kozicy lub antylopy.

Po powrocie wypuscilem Nekię na pastwisko razem z innymi konmi. Przy wejsciu na rampe prowadzaca do cytadeli oczekiwal na mnie Guret.

-Milordzie, prosze spojrzec! Droga nie jest juz dla mnie zamknieta!

Popatrzyłem na wejście.

-Wyglada na to, ze Kar Garudwyn zaakceptowal ciebie i Joisan jako swoich mieszkancow.

-Zaakceptowal? Czy sugerujesz, ze twierdza nadal zyje? Spojrzal ostroznie na otaczajace nas skaliste sciany, jak gdyby oczekiwal, ze za chwile wyrosna z nich dlonie i pojawia sie twarze.

-Nie - odpowiedziałem - ale twierdza i jej otoczenie są pod wpływem najpotężniejszego czaru, jaki do tej pory udało mi się spotkać. Czar chronionego Moca. Właśnie dlatego Nidu nie mogła...

-Co się stało, milordzie? - zapytał Guret, gdy przerwałem i przyspieszyłem kroku.

-Nie mogę wyczuć Joisan. To prawdopodobnie nic takiego, ale...

-Zaczęłem biec, nie dokonczywszy rozpoczętego zdania.

Najpierw rampa, potem Wielki Hali - wszystko było zamazane obrazem, a potem dziedziniec otwarty na bliźniaczy wierzchołek, ten sam, który Joisan rozpoznała ze swego snu. Z trudem łapałem oddech, dłoń przycisnąłem do bolącego boku i dopiero po chwili udało mi się nabrać tyle powietrza, aby zawołać.

-Joisan! Wśród widocznych na zewnątrz szczytów zawodził wiatr, za górami skryło się ostatnie purpurowe pasmo zachodzącego słońca. Moje kopyta zastukały w wąskie, kamiennym, oskrzydłonym smukłymi arkadami przejściu.

-Joisan!

Błada niczym śmierć leżała przed arkadami otwartymi na bliźniaczy szczyt. Obok leżał amulet Gunnory. Wyglądało tak, jak gdyby w odpowiedzi na rozkaz zdjęła go i odrzuciła w pobliżu.

Ukleknąłem przy niej i z ciężkim sercem uniosłem jej głowę. Moje ręce drżały tak gwałtownie, że dopiero po chwili udało mi się uspokoić na tyle, by położyć dłoń do jej szyi i palcami wyczuć rytm tętna.

-Joisan!

Jej oddech był rytmiczny, regularny i powolny, głęboki jak gdyby spała. Prawie przezroczyste w świetle jarzacych się kul powieki nawet nie drgnęły.

-Joisan! - zawolałem ponownie, teraz już wzywałem, starałem się dosięgnąć jej umysłu. - Obudź się!

Potrzasałem ją, czując bezwładny ciężar jej ciała. Potem, przerażony, ponieważ nie mogłem jej obudzić, mocno uderzyłem w jej policzek.

-Obudź się, moja pani!

Na dziedziniec wpadł zdyszany Guret, którego wcześniej wyprzedziłem.

-Co się stało?

-Wygląda, jakby spała, ale nie mogę jej obudzić!

Guret zbladł.

-Czy jest ranna? Czy krwawi?

-Nie - spojrzałem na niego. Głowa Joisan spoczywała bezwładnie na moim ramieniu. - Czuje tutaj jakieś czary.

-Nidu?

-Być może... - spojrzałem na amulet. - Podaj mi go.

Wzialesm podany amulet w reke i zamknalem oczy, chcąc zwiększyć koncentrację. Gunnoro, pomyślałem. Bursztynowa Pani, wysłuchaj mnie, proszę cię o to. Wiem, że jestem mężczyzną, ale proszę cię o pomoc dla Joisan... Trzymając w dłoni wyrzeźbiony snop zboża, przycisnąłem talizman do czoła mojej pani, jednocześnie starając się jej dosięgnąć myślami, zawołać.

"Joisan... obudź się. Przez Bursztynową Panią wzywam cię... Joisan... nie możesz mnie zostawić... Joisan...". Starłem się wyciszyć wszystko inne, starałem się wyobrazić, jak moje wołanie przenika przez amulet do umysłu mojej pani. Wyobrażałem sobie, jak budzi się bezpiecznie. "Joisan... moje drogie serce, wróć".

Nagle jej spokojny oddech zmienił się, stał się ostrym westchnieniem! Otworzyłem oczy i zobaczyłem, że patrzy na mnie.

-Kerowanie? Co się...

Przytulilem ją do siebie, a ona zadrzała. Trzymałem ją tak mocno, jak gdyby za chwilę z kamiennej posadzki mogło powstać coś, co chciałoby mi ją odebrać. Wydawało mi się, że cała moja siła nie będzie w stanie jej ochronić.

-Joisan! Co się stało? Leżałaś na podłodze, a obok widac było amulet, zupełnie jak gdybys odrzuciła go z własnego wyboru...

-Tak rzeczywiście było. - Twarz miała wtulona w moją pierś i jej głos brzmiał niewyraźnie, ale nie miałem zamiaru jej puścić. Gdy spojrzałam na szczyt, gdzie stał Car Re Dogan, wyczulałam nagle,

ze Sylva stara sie ze mna skontaktowac - i ze cos jej w tym przeszkadzalo. Wiec zdjelam amulet.

-Sylva? - zapytalem.

-Ta Druga, ktora dzielila sie ze mna swoja historia przez ostatnie kilka miesiecy... ta, ktora kiedyś mieszkała w Car Re Dogan. Och, Kerovanie, wreszcie dowiedziałam sie konca opowiesci i to bylo straszne! - powiedziala z tlumionym szlochem.

-Opowiedz - nakazalem, wierzac, ze przyniesie jej to ulge.

Rozdzial 9 - Joisan

Glos Kerovana byl lagodny, ale slowa nie byly prosba, raczej rozkazem. Spogladajac w jego bursztynowe, zaciemnione zmartwieniem oczy, wiedzialam, ze nadeszla pora, by wyjawic przynajmniej jeden z moich sekretow. Westchnelam.-Zaczelam snic, gdy pojechales na wyprawe. W tym snie przestawalam byc soba, stajac sie kims o imieniu Sylva...

Kontynuowalam relacje. Opowiedzialam mu o przeslaniach odtwarzajacych historie Sylvi i jej przyrodniego brata Malerona, Adepta. W koncu dotarlam do momentu opowiadania, ktore miało swój początek dzisiaj, gdy zasnalam na tym dziedzincu z widokiem na okryte mgla ruiny dawnego Car Re Dogan.

-Przynioslam tutaj nasze znaleziska, myslac jedynie o rozpaleniu ogniska do gotowania. Wtedy, gdy stanelam tam, w poblizu kamiennej misy, z twarza skierowana w kierunku arkad, poczulam, jak mnie wola. Nigdy przedtem nasz kontakt nie byl takim nakazem, nie byl taki prawdziwy. Odstawilam jedzenie i

podeszlam do arkad...

Odwrocilam glowe i spojrzalam w obramowana blekitnym kamieniem pustke. Stojac tam wiedzialam, ze Sylvya jest gdzies na zewnatrz. Ze pragnie mi cos powiedziec. Ale nie moze mnie dosiegnac - byla miedzy nami jakas przeszkoda. Wtedy poczulam cieplo na mojej piersi i zobaczylam, ze amulet blyszczy, jak gdyby strzegl przed Cieniem.

Kerovan potrzasnal glowa, jak gdyby wiedzac, jakie beda moje nastepne slowa.

-Tak - przyznalam - zdjelam amulet i odrzucilam od siebie.

Jego pelen protestu okrzyk - Joisan! - zabrzmial jednoczesnie z glosem Gureta - Cera!

-Nie rozumiecie - musialam wiedziec! - krzyknelam. Sylvya i jej los sa dla mnie - dla nas wazne. Z jakiegos powodu tak wlasnie jest. Kerovan skinal glowa, chcac zaniechac tego tematu.

-Co zostalo raz zrobione, juz sie nie zmieni. Co sie wtedy stalo?

-Bylam z powrotem w ciele Sylvyi, patrzylam jej oczyma.

Wiedzialam, ze wlasnie przed chwila oskarzylam Malerona o pozostawanie w Cieniu. Probowal zaprzeczyc, ze wzial Sciezke-Z-Lewej-Strony - mysle, ze tak naprawde nie wiedzial nawet, ile krokow juz na niej postawil. Ale Sylvya zbuntowala sie przeciwko niemu, powiedziala, ze to on paral sie czarami i zatrzymal czas, a w ten sposob przyniosl zniszczenie ukochanej przez nia dolinie... - spojrzalam w oczy Kerovanowi. - Tej dolinie, moj

panie. Dokładnie tej samej.

-Co zrobił Maleron?

-Zaprzeczył, oskarżył siostrę, że to ona współdziałała z Cieniem, a kiedy nie chciała zmienić zdania, nie chciała odwołać swoich słów, popadł w jeszcze większy gniew. W końcu Sylwia wyzwała go, aby udowodnił swoją niewinność. Złapała go za rękę i wyprowadziła z komnaty. Wyszli tajemnym przejściem, dawna wyciosana w kamieniu, prowadząca na pomocne niziny droga, w dół po przeciwległym stoku szczytu, bliźniaczego do tego, na którym jesteśmy.

Wzięłam głęboki oddech, czując suchość w gardle. Guret podał mi czare krystalicznego płynu z fontanny. Zarówno on, jak i mój pan czekali w milczeniu, podczas gdy ja zaspokajałam pragnienie.

-Dziękuję ci, Gurecie. To może ironiczne, ale takie właśnie było wyzwanie Sylwii. - Wylałam z czary kilka pozostałych w niej kropeł, tak że rozlały się na posadzkę. - Woda. Bieżąca woda. Większość tych, którzy są w Cieniu, nie może jej przeżyć. Sylwia zaprowadziła Malerona nad mały strumień, przeskoczyła przez niego i wezwała, aby zrobił to samo.

-Spróbował. Ale w chwili, gdy próbował go przeskoczyć, coś go odepchnęło, poczuł się chory. Kiedy zrozumiał, co udało się udowodnić jego siostrze, że wygrała wyzwanie, jego wściekłość stała się niezmierną. Wypowiedział słowa - słowa, których Arvon dawno, dawno nie słyszał - na jego szczęście. Te słowa otworzyły bramę, przez którą wjechali jeźdźcy na koniach i psy, jakich nigdy przedtem nie widziano na tym świecie. Maleron wsiał na

rumaka, który musiał chyba powstać w jakimś innym, piekielnym świecie i wydał rozkaz, aby spuścić psy. Sylwia przerażała się. Strumień nie mógł ich powstrzymać nieskonczenie długo - wcześniej czy później znajdzie się dla nich przeprawa. Zaczęła uciekać, a ta okropna oblawa popędziła za nią.

Moje oczy napelnily sie lzami.

-Och, Kerovanie! To bylo tak bardzo dawno temu... a ona biegnie do tej pory.

W jego oczach zobaczyłam przerazenie takim losem.

-W jaki sposob moglo sie to zdarzyc?

-To dzieło Sylwii. Gdy zaczęła uciekać, wezwła na pomoc Neave, błagała Sily Rzeczy Tak Jak Maja Byc, aby nie pozwoliły Maleronowi kiedykolwiek ją dopędzić. Te sily ją wysłuchały. Sylwia, Maleron - całe polowanie, zdobycz, ogary i myśliwi - wszyscy zostali zmienieni, przeniesieni poza ramy znanego nam czasu. Sylwia nie mogła zostać ujeta, ale nie mogła się także wyzwolic.

Tak więc co noc, o tej samej godzinie, ta okropna pogon pedzi w gore po starej drodze do ruin Car Re Dogan. Nie należa do żadnego świata, są raczej złapani w nieskonczone istnienie gdzieś pomiędzy nimi. Ale nawet w tym wymiarze ich obecność jest śmiertelnym niebezpieczeństwem.

-Racja - odezwał się Guret z westchnieniem. - Każdy, kto stanie na ich drodze, zostanie wciągnięty i zniszczony. Tak jak Jerwin.

Skinela twierdzaco glowa.

-Wiec taka jest prawdziwa natura Tego-Co-Przemierza-Szczyty - powiedzial Kerovan. - Biedna Sylva. Taka pulapka przewyzsza wszystkie okropnosc, jakie do tej pory spotkalem...

Moje dlone splataly i rozplataly skorzany rzemien, na którym byl zawieszony amulet Gunnory.

-Zostalo mi to pokazane celowo - powiedzialam. - Musi byc jakis sposob, aby ja wyzwolic.

-W jaki sposob, jezeli nawet chwilowy kontakt natychmiast zabija? - zapytal moj pan. - Takie zaklecia znajduja sie daleko poza zakresem naszej wiedzy, Joisan. Aby pomoc, nalezaloby miec Moc i umiejetnosc Adepta.

Westchnelam, czujac ogarniajace mnie zmeczenie. Nie mialam dla niego odpowiedzi. Chcialam wstac, ale w tym momencie zarowno Kerovan, jak i Guret powstrzymali mnie.

-Odpocznij, Cera - powiedzial chlopiec. - Nasze kucharskie umiejetnosc nie dorownuj a twoim, ale sa wystarczajace. Tak wiec odpoczywalam, przypatrujac sie ich krzataninie, jak kroili korzonki i warzywa, oprawiali i przygotowywali zwierzeta, budowali prosty, ale sprawnie dzialajacy rozen i wreszcie rozniecali ogien w kamiennej misie, ktora wczesniej odkrylismy. Podane przez nich jedzenie wzmocnilo mnie, uzupelnilo utracona energie. Wszyscy jedlismy w milczeniu, a po napelnieniu zoladkow przez chwile odpoczywalismy, siedzac i patrzac w narastajace ciemnosc. W koncu Guret wstal.

-Ja dzisiaj nakarmie konie, milordzie - powiedział podnosząc zmniejszający się co dzień worek z paszą.

-To jeszcze jedna rzecz, o którą musimy dbać - zauważył Kerovan. - Jeżeli chcemy utrzymać wierzchowce w dobrej formie. Ile razy możemy je jeszcze nakarmić?

-Jeżeli będziemy powoli zmniejszali porcje, może trzy, cztery razy - odpowiedział młody mężczyzna. Gdy odchodził, jego kroki odbiły się cichym stukaniem na kamiennej posadzce.

Kerovan wskazał na wschodnie arkady.

-Czy nadal czujesz tę Drugą?

-Tak - odpowiedziałam prawdopodobnie - ale kiedy mam przy sobie amulet, może mnie dosięgnąć tylko wtedy, gdy śpię albo gdy odsunę wszelkie bariery.

-Będzie dzisiaj siedział i czuwał, żebyś znowu nie zaczęła snuć powiedział z grymasem. - Nawet jeżeli mówisz, że Sylvia nie należy do Cienia, nie wolno dopuścić do kolejnego spotkania.

Zawahałam się, usiłując zrozumieć wszystko, czego dowiedziałam się podczas popołudniowego kontaktu.

-Powiedziała mi wszystko, co powinnam wiedzieć - powiedziałam w końcu. - Zagadka jest tylko dlatego, ale...

-Cera! - z korytarza odbił się echem krzyk, a chwilę później usłyszeliśmy odgłos biegnących stop. - Lordzie Kerovanie!

Wstaliśmy w chwili, gdy na dziedzińcu wypadł Guret, biegł tak

szybko, że prawie znalazł się w fontannie.

-Wielki Hali! - mówił dysząc. - Tam coś jest! Coś... Próbował uspokoić oddech. - Coś, czego nie widac, nie slychac, ani nie czuc - ale mimo wszystko To tam jest. Przysięgam na Święta Kńska Skore!

Mój pan skierował się w stronę wejścia. W chwili, gdy ruszyliśmy za nim, doleciały do nas jego ciche słowa.

-Teraz i ja czuje. To poszukiwanie, otwarcie...

-Gdy przechodziłem obok tronu, było tam - po prostu tam powiedział szybko Guret. - Wydawało mi się, że coś widzę...

Przyspieszyłam kroku i prawie biegnąc zrownałam się z Kerovanem.

-Poszukiwanie? Nidu?

-Nie - jego słowa brzmiały pewnie. - Nie wiem, co to jest, ale nie ma tutaj żadnego takiego wypaczenia, jakie widziałem przy niej. - Zmarszczył brwi, jego kopyta zastukały jeszcze szybciej o kamienną posadzkę. - Ale Guret ma rację, tam coś jest...

-Co?

-Coś znanego. Nie mogę sobie przypomnieć - przerwał, gdyż weszliśmy do Wielkiego Hallu, gdzie na kolistym podium stał dziwnie uformowany tron. Gdy tylko weszłam do komnaty, od razu także poczułam zaburzenie.

Zaczeliśmy ostrożnie iść w kierunku tronu, a z każdym krokiem

zaburzenie stawało się silniejsze. Była tutaj żywa dawna Moc, której siła rosła. Wydawała się ona tworzyć przed naszymi oczyma mgłę, gdy Kerovan wraz ze mną (Guret chyba mądrze wybrał bezpieczną arkadę wejściową) podszedł do środka. Pociągnęłam nosem, czując w powietrzu ostry zapach, którego nie mogłam zidentyfikować.

Kerovan zatrzymał się przy rampie prowadzącej na podium, a potem z kamienną twarzą postawił pierwszy krok.

-Kerovan! - chciałam go uchwycić za ramię.

-Nie - powiedział. Jego głos zabrzmiał glucho i slychac w nim było jeszcze inny obcy ton. - Muszę to zrobić.

Poczułam opór, z jakim spotkało się moje ciało przy próbie pojscia za nim, i odwróciłam się zwyciężona. Żadne z moich zakleć nie złamałoby tych barier. Mój pan musiał więc stawić czoło sam.

Po osiągnięciu masywnego bloku quan-stali, z którego zostało wyrzeźbione siedzisko, zawahał się przez chwilę, a potem jednym miękkim ruchem usiadł. Jego kopyta nie dosięgały ziemi i musiał poruszyć się, aby znaleźć wygodne miejsce.

Najprawdopodobniej pierwotnym właścicielem tronu nie była ludzka istota.

Jak gdyby jego obecność na tronie była sygnałem, mgła przed moimi oczyma zaczęła przyjmować widzialne kształty. Zaczęła wirować pośrodku. W posadzce rozblysnęły dwa oddzielne błękitne kamienie, pomiędzy nimi pojawiło się wznoszące się w górę i drżące w powietrzu lazurowe światło. Moc tkwiła pomiędzy

kamieniami, była niczym rozpięta pomiędzy filarami nic pajecza. Zablysła i stała się widzialna w chwili, gdy zaczęłam się wycofywać, obawiając się nagle o dziecko. Rozwijające się w tej komnacie siły były ogromne - nie chciałam zostać schwytana w ewentualny powrotny podmuch.

W pajecznej sieci Mocy rozwinęły się fiolkowe linie, połączyły się i rozciągnęły ku gorze, tworząc żywe stworzenie - Gryfa!

Telpher! - pomyślałam. W moim umyśle pojawił się obraz istoty, która chroniła mnie podczas bitwy z Galkurem. Telpher? - zawołałam, wyciągając rękę do pojawiającego się kształtu.

Odwrocił w moim kierunku oczy w kolorze łagodnych płomieni i otworzył dziób, jak gdyby miał przemówić.

"Joisan! - przez moją koncentrację przedarła się ostrzegawcza myśl Kerovana. - Nie dotykaj tego. To, co widzisz, jest tylko obrazem Otwierającego Brame".

Odwrociłam się i zobaczyłam, że podnosi dłoń. Palcami nakreślił znak, którego nie rozpoznałam, a potem szybko narysował symbol uskrzydłonej kuli, która wydawała się symbolem Mocy Landisla. Jego usta ułożyły się w całkowicie obcy kształt i wypowiedział jedno słowo - słowo, którego nie usłyszałam, ale odczułam wewnętrznie niczym odległy ból.

Postać Gryfa zafalowała w samym środku, a potem rozdarła się w oslepiającym Fiolkowym blasku. Podniosłam rękę, aby zasłonić oczy, gdy nagle obok mnie znalazł się Kerovan, uniosł dłoń jak do pozdrowienia. - Chodź - powiedział stosując dawne słowo ze Starego Języka. Wyciągnął rękę do światła...

Nagle nastąpiło głośne uderzenie o tak wysokiej częstotliwości, że stało się ostrym bólem, otoczyła nas fala jasności tak gwałtowna, jak porwijące małe fale powodzi.

Zrobiłam krok do tyłu, potknęłam się o brzeg podium i niespodziewanie usiadłam. Oczy mi łzawiły, a nos napelniał się zapachem, jaki czasem powstaje po zapaleniu zapalki. Wstałam tylko po to, żeby na kamieniach przed sobą zobaczyć dwie leżące sylwetki!

-Guret? Kerovan?

Usłyszałam odgłos biegnących stop, a potem poczułam na ramionach czyjeś pomocne dłonie.

-Cera? Co się stało? Kto to jest?

Zachwiałam się, patrząc niepewnie na zmartwioną twarz młodzieńca. Jeżeli przede mną stał Guret, to kto leżał obok mego pana? Serce omal nie wyskoczyło mi z piersi, gdy podchodziłam z Guretem do leżących. - Kerovan?

Mój pan siedział, trzymając się za głowę, był zamroczony. Mężczyzna za nim jeknął i przekrecił się, jego pancerz i miecz zgrzytnęły o kamienną podłogę. Miał na sobie helm, a jego ryszunek mógł

być wykuty w tym samym ogniu, co mój miecz lub pancerz, tak samo jak Kerovana...

Człowiek z rodu Dales? Tutaj, w Krainie Arvonu? Przeniesiony do Kar Garudwyn za pomocą jakiejś czarodziejskiej Bramy,

podobnej do tej, przez która sami przeszliśmy?

Napływało coraz więcej pytań, ale na razie widac było, że mężczyzna nie jest w stanie nic powiedzieć. Podeszłam do niego i dotknęłam jego szyi. Wojenny helm częściowo zasłaniał twarz, ale moje palce odnalazły puls gościa. Był bardzo mocny.

-Kto to jest? - zapytałam, gdy podszedł do nas nadal zamroczony Kerovan.

-Nie wiem - odpowiedział mój pan. - Została przeze mnie obudzona dawna Moc. Wiedziałem, co muszę zrobić, aby pomóc osobie - która była uwięziona wewnątrz Bramy, ale kim może być nasz gość... - Wzruszył ramionami.

-Pomóż mi z jego hełmem - powiedziałam. - Guret, przynies trochę wody i ręcznik.

Ostrożnie zdjęliśmy hełm. Wyjrzała spod niego twarz prawdziwego człowieka Dales, włosy o ton lub dwa jaśniejsze od moich, opalona skóra włoczegi, szlachetne, nawet przystojne rysy. Mężczyzna był o kilka lat starszy od mego pana.

Złapałam raptownie oddech, gdyż nagle rysy ułożyły się w znajoma mi twarz - znalazłam tego człowieka.

-Jervon! - wykrztusiłam, nie mogąc uwierzyć własnym oczom. Jak co...

Trzy lata temu, gdy po raz pierwszy pojechałam za moim panem na Ziemię Spustoszone, zanim jeszcze trafiliśmy do Krainy Arvonu, spotkałam tego mężczyznę. Wówczas towarzyszył on

kobiecie nalezacej do Starej Rasy, Elys. Nasza trojka przez wiele dni podrozowala przez Odlogi poszukiwaniu Kerovana. W swej dobroci bowiem Jervon i jego pani postanowili mi pomoc. Bez nich nigdy nie przezylabym owej niebezpiecznej podrozy, ktora zakonczyla sie tak gwaltownie, w momencie gdy zostalam wciagnieta w wykopana przez Thasow pulapke. Byly to odradzajace istoty Zyjace-W-Ciemnosciach. Ostatnim widokiem, jaki zapamietalam, gdy zapadla sie pode mna ziemia, byla pelna udreczenia twarz tego mezczyzny, ktory bezskutecznie staral sie mnie uratowac. A teraz byl on tutaj, w Arvonie.

-Jervon? - Zobaczylam, jak Kerovan marszczy brwi, chcac usilnie cos sobie przypomniec. Potem otworzyl szeroko oczy. To niemozliwe! Gdzie jest Elys?

Po uwiezieniu mnie przez Thasow Jervon i Elys pomagali memu panu w j ego pozniejszych poszukiwaniach mojej osoby. Kerovan powiedzial mi, ze w pewnym momencie ich wspolnej podrozy jego towarzysze zostali przestrzezeni przez Moc przed dalsza wedrowka - Elys byla bowiem czarownica majaca znaczna sile. Powiedziala wtedy, ze nie jest to dla nich odpowiednia pora na podrozowanie droga prowadzaca do Arvonu. Ze smutkiem musial sie z nimi pozegnac i pojechac dalej sam. Kerovan opowiedzial mi takze o pelnym tesknoty zyczeniu Elys, ze byc moze kiedyś i dla nich otworzy sie droga do tej starej krainy...

Ostroznie polozylam glowe Jervona na moim kolanie, zmoczylam brzeg przyniesionego przez Gureta recznika i wytarlam jego twarz. Zaczal przychodzic do przytomnosci, a kiedy dalem mu sie napic, otworzyl oczy, mruzac je przed swiatlem.

-Jestes bezpieczny, Jervonie - powiedzialam cicho. - Czy

pamiętasz mnie? Jestem Joisan.

-Joisan... - Otworzył oczy i zobaczyłam, jak zaczął sobie przypominać.

-Jervonie, gdzie jest Elys? - Moj pan pochylił się nad mężczyzną, tak aby ten mógł go zobaczyć. - Jestem Kerovan, pamiętasz?

-Kerovan? Tutaj? - Z niedowierzaniem rozejrzał się po kolistej komnacie. - Gdzie...

-Jestes w miejscu należącym do ludzi Starej Rasy - powiedział moj pan. - Przeszedles przez bardzo stara Brame. Nie pamiętasz? Gdzie jest lady Elys?

-Elys... - Po raz pierwszy rozejrzał się na wszystkie strony, a potem gwałtownie usiadł, chociaż starałam się go powstrzymać. - Nie ma jej tutaj? - obudziło się w nim przerażenie. Musi być - Elys! Elys!

Wielki Hali echem odbił jego krzyki. Musielismy go trzymać we trojkę, inaczej wyrwałby się nam i pobiegł przez Kar Garudwyn. W tej sytuacji mógł niebezpiecznie spaść przez jedną z otwartych na zewnątrz arkad.

-Jervonie! - złapałam go za ramiona. - Jervonie, słuchaj. Jeżeli chcesz odnaleźć Elys, musisz mnie wysłuchać!

W jego oczach widac było wściekłość i przez chwilę obawiałam się, że wpadnie w szal, tak wielki ból w nich odczytałam. Nagle osunął się na podłogę.

-Elys nie przeszła z toba przez Brame - powiedziałam tak

wyraznie, jak tylko umialam. - Skad przyszliscie? Moze Elys zostala i musisz po nia wrocic.

-Odlogi - powiedzial ponuro Jervon. - Bylismy na Ziemiach Spustoszonych, w miejscu, ktorego nigdy wczesniej nie widzielismy. Znalezlismy droge. To byla dziwna droga. Moja pani powiedziala, ze byly na niej wizje, obrazy tych, ktorzy dawno temu odeszli z High Hallack. - Uslyszalam, jak Kerovan gwaltownie wciagnal oddech. Po obu stronach drogi byly ogromne, wyrzezbione w kamieniu twarze, a potem cos, co Elys nazwala Wielka Gwiazda...

-Ta droga! - wykrzyknal moj pan. - Ta sama, na ktorej wraz z Riwalem znalazlem kryształowego Gryfa! Co sie wam tam przytrafilo?

-Doszlismy do samego konca, gdzie droga byla zastawiona lita skala. Elys powiedziala, ze nie byl to prawdziwy koniec, a raczej poczatek dla osoby majacej Moc i umiejacej wezwac ja i otworzyc Brame.

-Czy probowala przejsc przez Brame? - zapytalam.

-Tak - odpowiedzial powoli. - Wy<<5aje mi sie, ze otworzyla sie dla nas obojga. Stalismy obok siebie przed ta skala, a potem... Potrzasnal glowa. - Juz nie... Bylismy pomiedzy miejscami, tam gdzie nie ma sie ciala, tylko nasze dusze mialy jakies znaczenie. Widzialem, tylko moje oczy nie potrafily zrozumiec. Ale Elys byla ze mna! Wiem, ze byla! To byla jedyna rzecz, jaka moglem nadal czuc - uscisk jej dloni!

-Co sie stalo?

-Czas był jakiś dziwny. - Jervon szukał słów, które oddałyby to, co czuł. - Rozciągał się w nieskończoność, a jednak nie upływał. Byliśmy ciągnięci w kierunku fioletowego światła i zobaczyłem, że przybiera ono kształt istoty. Takiej z legendy, o skrzydłach i dziobie orla, a nogach oraz uszach lwa. To był Gryf.

-To była Brama - powiedział Kerovan. - Czy Elys nadal była z toba?

-Była, ale nagle coś przesunęło się pomiędzy nami i poczułem, jak jej ręka została wyrwana z mojej.

-Jakie było to "coś"? - zapytałam ze scisniętym gardłem. Jeżeli Elys znajdowała się gdzieś pomiędzy Bramą i jej portalem, w jaki sposób mogliśmy ją odnaleźć?

-To było... - zmarszczył czoło, jak gdyby szok spowodował luki w jego pamięci. - Należało do Cienia - zdecydował z przerażeniem w oczach. - Nie widziałem tego, ale wydawało z siebie brzęczenie, a jego smród... - Potrząsnął głową. Wydzielalo z siebie żółtawe światło. W dotyku było... obrzydliwe.

-O, nie - wyszeptałam czując, jak serce w mojej piersi staje się ciężkie niczym kotwiczny kamień.

Kerovan skinął na mnie ponuro.

-Też się tego obawiam, moja pani. Czy możesz się czegoś dowiedzieć od Sylvyi?

Zawahałam się, przypominając sobie ów sen, z którego prawie się nie obudziłam. A potem skinęłam głową. Byłam winna Elys

dlug wdziecznosc, ktorego nigdy nie splacilam, a ludzie z Dales sa nauczeni, aby zawsze odplacac, podobnie jak Kiogowie.

-Sprobuje - powiedzialam. - Ale tym razem musisz byc ze mna w kontakcie myslowym, Kerovanie, tak abys mogl mi pomoc, jezeli zaglebie sie zbyt daleko.

Skinal glowa. - Zgoda.

Jervon patrzyl niespokojnie, za nim stal rownie niespokojny Guret. Usiadlam na podium, a za mna usiadl Kerovan, tak abym mogla sie o niego oprzec. Objal manie i podtrzymal. Staralam sie nie pokazac po sobie strachu ani niepokoju. Ostroznie zdjelam amulet Bursztynowej Pani. Guret wzial go ode mnie.

W momencie, gdy wypuscilam go z palcow, poczulam, jak Sylvia stara sie ze mna skontaktowac. Wiedzialam, ze znowu pragnie mi cos przekazac. Zamknelam oczy i poddalam sie woli Tej Drugiej. Tym razem odczuwalam obecosc Kerovana, byl niczym podtrzymujaca zmeczone ramiona dlon.

Przez dluga chwile bylo ciemno, przenikala mnie innosc, porwal mnie wir, zabierajac z tego miejsca i czasu do... gdzie? To nie miejsce nie przypominalo niczego, cokolwiek widzialam w swoim i jej zyciu. Ponownie bylam w Sylvi, ale tym razem nie przezywalam przeszlych chwil. Zamiast tego odczulam przerazenie, dowiedzialam sie, co oznacza byc zlapanym poza wiezami samego czasu, gdzie nie istnial fizyczny swiat.

Bieglam - ale nie mialam stop ani nog, a moje otoczenie nie zmienialo sie nawet przez chwile. Moje ciało bieglo w mojej swiadomosci, czulam plynaca szybko krew, oddech, ktorego

kazde wciagniecie palilo w piersiach zywym ogniem - ale nie mialam krwi ani pluc, ktorymi moglabym zlapac oddech!

Starajac sie uspokoic, wejrzałam na te wykluczajace sie nawzajem informacje naplywajace z ciala, ktore nie istniało - a przez ten caly czas uciekalam, kluczac przed tym upiornym polowaniem (tyle ze nie mialam przeciez nog). Za mna byla ogromna fala Mocy, bezgranicznej i nieokielezanej nienawisci, ktora blyskala zoltawo, oswietlajac to dziwne miejsce cuchnacym, chorym blaskiem. Owa fala byla tutaj pomiedzy swiatami i czasami manifestacja ogromnego gniewu Malerona.

Wiedzialam jednak - czy tez powiedziala mi o tym Sylwia, a bylo to w tym momencie tozsame - ze w polowaniu nastapila zmiana. Razem z nami zostala teraz zamknieta tutaj Moc. Jej obecność byla niczym czyste swiatlo blyszczace wšrod wilgotnych bagiennych mgiel. Wiedzialam, ze owym swiatlem byla Elys. Znalazla sie w pulapce.

Czy moglam ja uwolnic? Zabrac ze soba? W chwili, gdy w moim umysle pojawilo sie to pytanie, ze strony Sylwi nadbiegla swieza fala wiedzy - odczytujac ja prawie zagubilam sie z przerazenia.

Czar utrzymujacy to okropne polowanie pomiedzy swiatami i czasami wraz z uplywem wiekow stawal sie slabszy. Moc jego podstawowych zaklec zaczela sie przesiewac - podobnie jak z kawalka lnu mozna wysnuc fragmenty nici - ale nawet najsilniejsza nic moze zostac zerwana. Gdy przyjrzałam sie moimi nie istniejacymi oczyma wiezom owego zaklecia, materia rozdarla sie i odplynela. Zobaczylam mglista blyskawice Mocy wyslana ze swiata, w ktorym nadal znajdowalo sie moje cialo. Przez chwile widoczna byla waska, ostra twarz, o rysach jak

wyrzezbiona czaszka, z długimi, powiewającymi na wietrze ciemnymi włosami.

Nidu! Gdy patrzyłam na Szamanke, do moich uszu dobiegł głos bebnienia. Zobaczyłam krew i posmarowana tłuszczem skale, na której złożyła wzmacniająca jej czar ofiary - czar, który miał zerwać niewolnicze wieże Tego-Co-Przemierzał-Szczyty i wypuścić zniszczenie na nic nie podejrzewającą krainę.

Nigdy nie udało się jej dokonać tej magicznej sztuki, gdyby w jakiś sposób nie wykorzystywała Elys jako elementu nakierowującego. Moc Madrej Kobiety posłużyła Szamance w owym zabończym wyzwoleniu jako punkt koncentracji.

Poczułam Moc, która była wściekłością Malerona, widziałam, jak staje się siła tak śmiertelna i szkodliwa, jakiej nigdy wcześniej nie widziałam. Wystraszyłam się i zapragnęłam jak najszybciej wydostać się z jej bezpośredniej bliskości. "Kerovan! krzyknęłam częścią mego umysłu, stosując jego imię jako własny punkt koncentracji, Kerowanie! Dosiegnij mnie..."

Czułam się, jak gdybym znajdowała się w płonącym ogniu lub szalejącej powodzi. Szamotałam się bezsilnie do chwili, gdy znalazłam się w zasięgu dającej mi poczucie bezpieczeństwa Mocy Kerovana. Wówczas ta wroga Moc zwróciła się w moim kierunku, pojmowała mnie i zaczęła rozdzierać moje ciało...

Kerovan! Obok owych niematerialnych, ale mimo to prawdziwych wieżów przepłynęła do mnie Moc, mogłam się wydostać, uwolnić...

W wirującym pośpiechu, który pozostawił mnie bezsilną,

znalazłam się z powrotem w Wielkim Hallu Kar Garudwyn. Mój pan trzymał mnie mocno w ramionach, za jedną rękę trzymał mnie Guret, a za drugą Jervon. Ulga była tak wielka, że prawie głośno się rozplakalam, mogłam znowu oddychać, czułam zapach czystego powietrza, czułam, jak w moim ciepłym, żywym ciele krąży krew.

-Joisan! - Kerovan przytulił policzek do moich włosów i trzymał tak mocno, jak gdybym naprawdę została właśnie wyratowana z fizycznej śmierci. - Co się stało?

Byłam tak zmęczona, że ledwie zdolalam szeptać. Udało mi się jednak wysłać Gureta po mój woreczek z ziołami. Był w nim schowany kordial, destylowana mieszanina z płatków goździka i smoczej krwi. Dwie krople rozpuszczone w czarce wody mogły mi pozwolić na odzyskanie sił, przynajmniej na jakiś czas - i nie powinny zaszkodzić dziecku. Chłopiec przygotował napój tak, jak mu przykazałam, a potem Kerovan przytrzymał czarę, podczas gdy ja powoli piłam.

Stopniowo uspokajałam się, minęło drzenie rąk i w końcu mogłam samodzielnie usiąść. Mogłam też jasno myśleć. Spojrzałam na mego pana i Jervona i zaczęłam zbierać odwagę, by przekazać im tak złe wiadomości. Byłam zbyt zmęczona, aby szukać jak najbardziej łagodnych słów, w związku z czym zaczęłam wszystko wyjaśniać w najprostszym sposobie.

-Byłam wewnątrz ciała Sylvy, wewnątrz tego polowania. Była tam jeszcze jedna Moc Światła zamknięta w pułapce czaru, rozpoznałam w niej Elys. Nidu wykorzystwała cząstkę Mocy Elys i zastosowała ją jako punkt koncentracji przy złamaniu czaru. Próba się powiodła!

Spojrzałam na Kerovana, starając się kontrolować gwałtowne drzenie mojego ciała.

-Ona jest szalona, mój panie. Nienawisc, jaka do nas dzisiaj poczuła, zniszczyła wszelkie istniejące jeszcze resztki rozsądku. Nie mogąc pokonać chroniących dolinę sił, całkowicie zwróciła się do Mocy Cienia, aby zgotować nam najgorsze przeznaczenie, jakie tylko mogła wyzwolic! Dzisiaj, gdy polowanie skieruje się w górę po zboczach, u celu w ruinach Car Re Dogan bebnieniem zniszczy utrzymujące je poza czasem wieży. Stanie się więc wolne, aby kontynuować swój tok jako niebezpieczeństwo z krwi i kości - a nie nierealny fantom - dzisiaj to wszystko stanie się prawdziwe. Wszystko, co znajdzie się na jego drodze, zostanie zniszczone, tak wielka jest siła, która bezmyślnie wyzwoliła Szamankę.

Kerovan spojrzał pustym wzrokiem na ściany Wielkiego Hallu i mimo że wyraz jego twarzy nie uległ żadnej zmianie, wiedziałam, co czuł do tego miejsca - miejsca, które uznało go za swego pana, gdzie w końcu poczuł się jak u siebie w domu.

-A my i Kar Garudwyn znajdujemy się bezpośrednio na drodze z tamtego szczytu - powiedział. - To wszystko przewali się przez to miejsce, potem przez dolinę w kierunku Anakue, a w końcu dotrze do pastwisk Kiogów.

-Będzie mogło iść tam, gdzie będzie chciało lub tam, gdzie zechce Maleron - zgodziłam się szybko.

-I to wszystko jest dziełem Nidu? - zapytał Guret.

-Tak - powiedział Kerovan. - Ale nie wierze, by miała ona nawet

powierzchnowa świadomość tego, co tak bezmyślnie wyzwoliła. Tak samo nie jest w stanie kontrolować Mocy Ciemności, jak nie potrafilaby zatrzymać powodzi gólymi rekoma.

-Kto to jest Nidu? - zapytał Jervon. - 1 w jaki sposób ty, Kerovanie, i twoja pani znaleźliście się tutaj?

Podczas gdy mój pan szybko opowiedział najważniejsze zdarzenia z naszych wędrowek, wstałam cicho i zaczęłam zbierać zioła, świece i inne materiały, które mogą się okazać potrzebne przy współzawodniczących czarach. Drzącymi rekoma ułożyłam wszystko w moim woreczku z lekami. Nie chciałam nawet myśleć o chwili, gdy mogłabym stanąć do walki z czarnoksięskimi siłami Nidu - nie wspominając już o rozbudzonym gniewie jednego z prawdziwych Adeptów, wyzwolonego teraz po tylu wiekach niewoli.

-Co robisz. Cera? - zapytał Guret, podchodząc do mnie.

-Zbieram rzeczy - powiedziałam, szukając mojej rozdzki i układając ją na samym wierzchu zawartości worka.

-Ależ, Cera - Guret był blady - nie możesz nawet próbować przeciwstawiać się takiemu przeciwnikowi!

Przy moim boku szybko pojawił się Kerovan. Nie było między nami wymiany myśli, ale zwyczajna znajomość niebezpieczeństwa, jaką zdobyliśmy podczas wspólnych podróży.

-Moja pani jest odważna za dwoje, ale nie będzie walczyła sama.

Kar Garudwyn jest moim domem - naszym domem i nie utracę go teraz po odnalezieniu i tych wszystkich latach wędrowania w strachu! Musimy zatrzymać tę rzecz - spojrzal na mnie z przejęciem i zatrzymamy.

Rozdział 10 - Kerovan

Nie, moją pani! - młody Kioga pokręcił gwałtownie głową, a jego wzrok powędrował ode mnie w kierunku Joisan. - Nie mamy najmniejszych szans przeciwko takiemu wrogowi.

Cero! Położyłem dłoń na jego ramieniu i poczułem niewidoczne drzenie, jakie przebiegało przez jego ciało.

-Uspokój się, Gurecie. Joisan i ja pojedziemy sami. Mam dla ciebie dzisiaj inne zadanie. Chce, żebyś pojechał na południe i ostrzegł ludzi w rybackiej wiosce o nazwie Anakue, a potem twoich własnych pobratymców. Powiedz im, co może ich spotkać w przypadku, gdybysmy zostali zwyciężeni.

-Milordzie, jesteś szalony! - Głos Gureta załamał się lekko w swej gwałtowności, ale oczy patrzyły prosto w moje. - Nie widziałes Jerwina po tym, jak stanął na drodze tej... istocie... a ja tak. Milordzie, nie pozostało nic, co moglibysmy pochować!

Kawalki ciała... - głosno przełknął ślinę i mówił dalej. - Ułamki kości nie większe od zębów roczniaka. Nie widziałes także mojego przyjaciela, Tremona, jak wiadł niczym wyrwane z korzeniami drzewko, każdego ranka kurczył się w sobie coraz bardziej. W końcu oczekiwaliśmy na jego śmierć bardziej z nadzieją niż ze strachem!

-Gurecie...- stojąca obok mnie Joisan wyciągnęła rękę, aby

polozyc ja na ramieniu chlopca. - Kerovan i ja...

-Nie - stanal przed nami. - Czy nie rozumiecie, co staram sie wam powiedziec? Przeciwwstawienie sie Szamance oznacza smierc, a tym bardziej proba stanięcia na drodze tej rzeczy. To szalenstwo w taki sposob ryzykowac zycie!

Joisan spojrzala na mnie i odebralem jej kwasne, nie wypowiedziane glosno slowa: "Rownie dobrze moze miec racje, moj mezu...". "Prawdopodobnie", zgodzilem sie z nia w myslach, ale glosno powiedzialem: Guret, nie po raz pierwszy stajemy przed Moca Adepta ze Sciezki-Z-Lewej-Strony. - Nie dodalem, ze trzy lata temu mielismy pomoc w postaci Neevora i Landisla, ktorzy wladza nad Mocami byla ponadludzka.

Mlodzieniec, jak gdyby czytając w moich myslach, odpowiedzial: - Ale tym razem nie ma kryształowego Gryfa... ani talizmanu, ani pomocników z przeszłości, którzy mogliby ci pomoc. Tyle razy powtarzales, ze nie jestes tym, który wladza Mocami. Milordzie, to prawda, ze widzialem, jak tutaj w Kar Garudwyn dokonujesz rzeczy, ktorzy ja nie moglbym zrobic, ale czy dorownasz temu? Nie wydaje mi sie. Dwoje ludzi nie moze przeciwwstawic sie...

-Troje - powiedzial Jervon z przeciwwleglego konca kolistej komnaty. Jego ton byl tak pozbawiony wszelkiego uczucia, jak gdyby opisywal wlasnie stan pogody.

-Nie, Jervonie - zaprotestowala moja pani. - Podczas gdy ja i Kerovan mamy troche Mocy, która moze nas obronic, ty masz...

-Nawet mniej - zgodzil sie z nia. Jego dlon odszukala rekojesc miecza i pozostala tam, jak gdyby uchwycil reke starego

przyjaciela.

-Potrafie jednak władcą zimną stała, a wielu z tych, którzy krocza w Cieniu, nie może jej sprostać. I wcale nie tak łatwo jest mnie zadziwić i zaczarować po tych wieloletnich wędrowkach po Odlogach, jakie odbyłem wraz z moją panią Czarownicą. Bedziecie próbowali uwolnić Elys, nie tylko uratować tę ziemię. Nie mogę zrobić nic innego, jak stanąć razem z wami.

Zaczęłem wciągać przez głowę pancerz. Chciałem w ten sposób zyskać czas na krótkie przemyślenie, potem spojrzałem na jego minę, gdy poprawiałem na sobie zimny metal. Przez długą chwilę wzrok Jervona zmagał się z moim, w jego oczach widziałem starannie ukryty ból. Wyobraziłem sobie, jak ja czułbym się w takiej chwili, gdyby to Joisan znajdowała się w pułapce Powstalej z Cienia, i skinąłem głową.

-Dobrze więc. Dzisiaj idziesz z nami, Jervonie.

-Jeszcze jedno! - wtracił Guret. - Ścieżka! Nie można nawet osiągnąć drugiego szczytu teraz, gdy słońce już zaszło. Musicie wyjechać z doliny i okrążyć górę od północy - będziecie za późno! Ta rzecz podróżuje przed północą, tego jestem pewien.

Wyciągnąłem miecz i sprawdziłem jego ostryść, a także czy łatwo i szybko można go wyciągnąć z pochwy. Upewniwszy się, że wszystko w porządku, odpowiedziałem krótko:

-Na pewno nie, jeżeli pojedziemy starą ścieżką pomiędzy szczytami.

Podniosłem siodła i skinąłem na Joisan, aby wzięła uzdy.

Zauwazyłem, że ona także założyła pancerz i przypasała miecz. Przez chwilę miałem nadzieję, że uda mi się namówić ją na podróż na południe razem z Guretem, ale nie próbowałem nawet rozpocząć tematu. Znałem ten wyraz jej oczu, gdy już zdążyła podjąć nieodwołalną decyzję.

-Szlak pomiędzy szczytami? - Guret grzmiał jeszcze bardziej przerażony, o ile było to możliwe. - Ta ścieżka wygląda niebezpiecznie nawet w dzień, a w nocy zabijecie siebie i konie także!

-Księżyc jest prawie w pełni - powiedziała Joisan. - Damy sobie radę.

-Nekia dobrze widzi w nocy - dodałem. - Znajdzie ścieżkę. A my będziemy uważać.

Młodzieniec podniósł obie ręce do góry i wydal z siebie pełen rozdrażnienia syk.

-Na Matkę Wszystkich Klaczy! Widzę, że nie potrafisz cię odwieść, milordzie. W takim razie ja także jadę dzisiaj z wami, a nie na południe.

-Nie - powiedziałem twardo. Kiedy zaczął protestować, Joisan podeszła do niego i odciągnęła go na bok.

"Guret, musisz zrobić to, co nakazał ci Kerovan...", usłyszałem fragment jej myśli, a potem kontakt się urwał.

Kioga potrząsnął głową i coś do niej wyszeptał. Moja pani zacisnęła usta, następnie zarumieniła się, a jej oczy zablysły

gniewem. Stojący przed nią chłopiec uśmiechnął się lekko.

Gwałtownym ruchem odrzuciła do tyłu kasztanowy warkocz, niczym powiewający ogon u gotującego się do walki rumaka odwróciła się i szybko powiedziała do mnie:

-Kerovanie, Guret powiedział właśnie, że aby dotrzeć na czas do Car Re Dogan, cała nasza trojka powinna jechać. Vengi nie pozwoli dojechać się obcemu, ale może nieść podwojny ciężar. A tylko ty sam możesz jechać na Nekii - ona tobie ufa. Nigdy nie jechałam na ogierze, podobnie jak Jervon. Wydaje mi się, że musimy wziąć ze sobą Gureta.

Spojrzałam na nią podejrzliwie. Czym zagroził jej chłopiec, że tak zmieniła zdanie? Nie było jednak czasu na kłótnie... Skinąłem głową mówiąc szorstko:

-Niech tak będzie. Musimy już iść, i to szybko.

Pospiesznie i w milczeniu zeszliśmy rampą z Kar Garudwyn. Zobaczyłem, że księżyc rzeczywiście był niebywale jasny, wystarczająco, aby odczytać przy nim duże znaki runiczne. W ten sposób nasze szanse na bezpieczną podróż po karkolomnej ścieżce wzrosły z żadnych do niewielkich... ale, jak powiedziałem wcześniej, nie mieliśmy wyboru.

W odpowiedzi na nasze gwizdanie jedynymi dźwiękami, jakie doszły nas z tajemniczych niebieskich, nocnych cieni, było ostrożne parskanie.

-Nekia - wyszeptałem tak uspokajająco, jak tylko potrafiłem chodzić tutaj, dziewczyno, do mnie... no chodź.

Najmniejsze opóźnienie było szalenstwem, starałem się jednak uspokoić ją i mówić pieszczotliwie. Gdyby konie spłoszyły się i uciekły, wszyscy bylibyśmy straceni.

-Chodź - usłyszałem głos Gureta. - Dobry chłopiec, Vengi.

W końcu ogier przestępując z nogi na nogę prychnął, a potem niepewnie podszedł do chłopca. Za nim podeszły klacze. Osiodłaliśmy je tak szybko, jak tylko potrafiliśmy, a potem pieszo poprowadziliśmy je w kierunku rampy.

Zwierzęta zaryły ze strachu na widok otwierającego się przed nimi dziwnego wejścia, ale po paru pieszczotach udało się wprowadzić je na rampę. Szedłem pierwszy z Nekia, moje kopyta także stukaly o kamienną podłogę. Rampa była prawie - prawie zbyt kreta dla koni, ale jakos nam się powiodło. Przez parę chwil serce biło mi młotem, gdy starałem się poprowadzić klacz tak, aby pozostali nie musieli za nami biec, a jednocześnie nie następowali nam na piety.

Po chwili zacząłem wodzić lewą ręką po ścianie rampy, kamień zaczął słabo błyszczyć, a błękitny blask częściowo rozwiewał mroki przejścia. W końcu nastąpiło ostatnie potknięcie i popchnięcie i znaleźliśmy się na płaskowyzu przed Kar Garudwyn. Z trudem wciągnąłem oddech, w ustach poczułem gorzką sline. Dopiero rozpoczęliśmy nasz wyścig.

Jervon, który był ostatnią osobą na rampie, splunął w przepaść i wykrztusił:

-Ale wspinaczka!

-Nie wiedziałem, że wprowadzenie koni na górę może okazać się aż tak trudne - zgodziłem się. Zatrzymaliśmy się tylko na chwilę, złapaliśmy oddech, a potem wsiedliśmy na konie. Poprowadziłem wszystkich na tył cytadeli wąską, wijącą się poniżej szczytu ścieżką. Patrząc z wierzchołka cytadeli trudno było wypatrzeć właściwy początek szlaku pomiędzy szczytami. Teraz musiałem się pochylić nisko w siodle i przyglądać terenowi z mojej lewej strony, gdzie płaskowyz kończył się nagle, ginąc w ciemnościach przepaści. Księżycowe światło srebrzyło znajdujące się poniżej skały, łagodziło ich ostre krawędzie, ale w żadnym wypadku nie zmniejszało mojej ostrożności. Upadek z tej wysokości mógł się skończyć tylko tragicznie.

Zmrużyłem oczy i zamrugalem, ostrość widzenia zaczęła się zacierać od samego wysiłku patrzenia, próbowałem dojrzeć szlak, który, jak wiedziałem, powinien się oddzielać od tego gdzieś tutaj z mojej lewej strony. Światło... gdybym tylko miał światło. Pomyślałem i w tym samym momencie pojawiła się dawna fragmentaryczna Wiedza. Uniosłem przed sobą bransoletę i głośno powiedziałem słowo oznaczające światło, w Starym Języku "Ghithe!"

Bransoleta zaczęła wysyłać migoczące błękitnożółte światło, zupełnie jak gdyby z mojego ciała wydostawały się płomienie.

Nekia parsknęła, skoczyła w bok, gdy za sobą usłyszałem okrzyk Joisan.

-Kerovan! Mój pierścien!

Ostrożnie odwróciłem się w siodle i zobaczyłem, że na jej palcu także świecił pierścien w kształcie kociej głowy. Najwyraźniej te

klejnoty nadal działały na odpowiedni rozkaz.

Odwrocilem się z powrotem i spojrzałem na przerwe w skalistej skarpie otaczającej cały płaskowyż - przyjrzałem się jej dokładnie i stwierdziłem, że wyznacza ona początek naszej ścieżki.

-Stojcie! - krzyknąłem podnosząc dłoń. Zsiadłem z klaczy, pochyliłem się i spojrzałem na oświetlony księżycowym światłem i blaskiem darów ludzi Starej Rasy szlak. Był wąski - niewiele szerszy od naszych wierzchołków, w niektórych punktach schodził stromo, następnie przez jakiś czas biegł poziomo, a w końcu pod trochę łagodniejszym kątem wspinał się na drugi szczyt. Nekia wyciągnęła szyję i spojrzała w dół na ścieżkę, następnie potrząsnęła głową i parsknęła, przewracając białe obrzezone galki oczne.

-Mnie też się za bardzo nie podoba - powiedziałem jej - ale musimy nim przejechać. Czy widzisz, Nekia? Na tyle, żeby pomóc innym w dalszej wędrowce! - Po chwili klacz potrząsnęła głową zupełnie, jak gdyby rozumiała moje słowa i zgadzała się z próbą zejścia.

-Czy powinniśmy jechać, czy prowadzić konie, Kerovanie? zapytała Joisan. W jej głosie słychać było drzenie.

-Jedziemy - powiedziałem, starając się mówić spokojnie. Jeżeli spróbujemy je prowadzić, możemy się poślizgnąć i pociągnąć je za sobą. Poza tym one widzą w nocy lepiej od nas. - Zrobiłem krok na dół i sprawdziłem ścieżkę. - Szlak jest pokryty pyłem, a skały są gładkie, konie jednak znajdą dla siebie oparcie, taka mam przynajmniej nadzieja. Spróbujcie jechać, nie ruszając się prawie w siodle, przesuniecie swój ciężar do przodu na łopatki, tak

by mogly utrzymac rownowage. Nie przechylajcie sie do tyłu. Musza miec swobodne tylne nogi. Spojrzałem na Jervona.

-Vengi nie moze jechac tedy podwojnie obciazony. - Zdjalem line z siodla i rzucilem do niego, podobnie zrobila Joisan. Zwiaz je razem i zamocuj do jednej ze skal, a potem obwiaz wokol siebie. Powinienes miec zabezpieczenie, gdybys sie poslizgnal. Pojade pierwszy, a potem po kolei kazde z was. Gotowi?

Cala trojka skinela glowami. Szybko dosiadlem Nekii i odwrocilem jaw kierunku sciezki, ktora tak bardzo przypominala dziecinna zjezdzalnie.

-Chodz, Nekia - powiedzialem, potraszajac wodzami i sciskajac jej boki nogami. Parsknela, zrobila jeden badawczy krok poza krawedz plaskowyzu i natychmiast sie cofnela. - Chodz powiedzialem, poklepujac ja po lopatce.

Postawila jedna przednia noge, a potem druga, pozniej pionowo ustawila tylne nogi i byla za krawedzia. Przez pare chwil udalo jej sie drobic ustawionymi blisko siebie nogami w celu utrzymania lepszej rownowagi, kolysala sie niczym tancerka - potem, gdy stok stal sie jeszcze bardziej stromy, zaczela zjezdzac w dol, siedzac prawie na ogonie. Pochylilem sie nad jej klebem i staralem sie nie ruszac. Znalezlismy sie na dole w potoku kurzu, bylismy bezpieczni.

-Joisan nastepna! - krzyknalem, patrzac w gore i schodzac ze sciezki, by dac jej miejsce. Arren najwyrazniej w swiecie znarowila sie, ale w koncu, gdy moja pani uderzyla j a mocno w bok, ona takze zeszla. Za nia zjechal Guret, a potem cala trojka patrzyla, jak powoli zsuwa sie Jervon, w koncu stracil

rownowage, zjechał na siedzeniu w dół i znalazł się obok nas, niczym przybrudzony białym kurzem duch. Gdyby nie powaga sytuacji, byłby po prostu śmieszny.

-Czy coś ci się stało? - zapytała Joisan, gdy sztywno wstał na nogi i otrzepał spodnie.

-Nie - powiedział. Guret wyciągnął rękę i wysunął nogę ze strzemienia, aby Jervon mógł za nim usiąść. - Ale w drodze powrotnej, jeśli ja w ogóle będziemy odbywać, pojedzie dłuższa trasa naokoło.

-Niech Bursztynowa Pani zezwoli, abysmy wszyscy mogli to zrobić - zgodziła się sucho Joisan. - Kozice mogą sobie zabrać swoje tereny, nie będę im zazdrościła.

Przeszliśmy po stosunkowo płaskim odcinku szlaku, przy czym światło mojej bransolety pozwalało na odróżnienie najostriejszych, najbardziej poszarpanych skał. Świat wydawał się płynny, nierealny, jak gdyby pozbawiające go barwy księżycowe światło odebrało mu także część jego realności. Nie słychać było żadnych dźwięków poza szelestem drobnych, nocnych zybatek oraz przytłumionymi głosami polujących sów.

Szlak zaczął się znowu wznosić. Był to długi, zakrzywiony zakręt, prowadzący na szczyt, gdzie według słów Joisan stał kiedyś Car Re Dogan. Nekia napreżyła mięśnie i rozpoczęła wspinaczkę. Pochyliłem się do przodu i puściłem wodze, a palce wpiełem w jej grzywe. W tym momencie załowałem, że siodła Kiogów nie miały napiersników. Jeżeli siodło zsunie się...

Ale nic takiego się nie stało, w końcu mogliśmy się zatrzymać na

skalnej polce i pozwolic naszym zwierzetom na odpoczynek. Potem rozpoczeliśmy ostatni krótki etap wspinaczki. Powyżej widziałem coś, co wyglądało jak ruiny, te same, które oglądaliśmy dzisiaj rano. W księżycowym świetle ciągle przemieszczenia ich kształtów były jeszcze bardziej widoczne i niepokojące.

-To jest podobne do czarnej chroniącej naszą dolinę - powiedziała w zamysleniu jadąc obok mnie Joisan.

Spojrzałem na nią, w bladym świetle księżycy widziałem spadający na plecy ciężki warkocz i błyszczące oczy. Pod naramiennikami pancerza widoczna była biała bluzka Kiogów ozdobiona ciemnym haftem. Naszła mnie nagle myśl, że być może patrzę na moją panią już ostatni raz, jej bliska obecność spowodowała nagły ucisk w gardle.

Kocham cię, Joisan, pomyślałem, nie starając się nawiązać z nią kontaktu. Nawet w tym momencie nadal utrzymywały się we mnie resztki dawnej rezerwy, bałem się, że jeżeli chociaż trochę dam wyraz moim uczuciom, nie będę w stanie przeżyć tego krótkiego, końcowego etapu naszej drogi. Chciałem jej powiedzieć - jak bardzo pragnąłem! ale słowa pozostały w moich myślach, będąc tylko moją własnością.

-Możemy być zmuszeni pojechać z zakrytymi oczyma - mówiła cicho dalej, nie podejrzewając oczywiście, o czym myślałem. Konie, jeżeli będą reagowały tak jak wczoraj, pozostaną odporne.

-Czy wiesz, czy twoja wizja pokazała ci, co znajduje się na szczycie? - zapytałem.

-Nie.

-Gurecie! - zawolałem i chłopiec podjechał do mnie na swym spienionym ogierze. Vengi był najsilniejszy z naszych wierzchowców, a na szczęście Guret i Jervon nie należeli do dużych osób. Mężczyzna z Dales przebył większość drogi pieszo, trzymając się konskiego ogona. - Kiedy dojedziemy na miejsce, zostawimy konie przy tobie. Widok... tej rzeczy może je przerazić. Chciałbym, żebyś ich dopilnował.

Staralem się mówić tak rozkazująco, w sposób nie pozwalający na najmniejsze spory, jak tylko potrafiłem. Z ulgą zobaczyłem, że Guret skinął głową.

-Dobrze, milordzie.

-Idziemy - powiedziałem i skierowałem Nekię na ostatni odcinek szlaku.

Jechaliśmy gębie, z każdym krokiem zwiększały się otaczające ruiny przemiany. Byłem już teraz pewien, że wjeżdżaliśmy w pozostałości silnej niegdys warowni lub Wieży Strażniczej. W górę piły się spiczaste zniszczone mury, światło księżyca nie nadawało im żadnego blasku - wydawało się raczej, że pochłaniają one wszelką jasność, płynąc niczym czarne cienie nocy.

I ulegały zmianie. Gdy patrzyłem ciągle na coś, co wydawało się prawie rozpoznawalnym fragmentem ściany, dziedzińca lub balustrady - nagle wszystko zaczynało falować, odpelzało i rozplywało się przed moimi oczyma, przyjmując czasem inną formę lub całkowicie znikając. Żołądek podszedł mi do gardła,

gdy podjechalismy do rozsypanej, stojacej na naszym szlaku bariery tylko po to, by Nekia nastawila uszu i spokojnie przeszla przez cos, co wydawalo sie lita powierzchnia. Zamknalem oczy po osiagnieciu grani, gdy kontynuowalismy jazde. Przemiany zwiekszyly sie, wzrok sie zaciemnil - momentami widzialem podwojne lub nawet potrojne obrazy falujacego terenu.

W koncu otworzyłem oczy i spojrzalem na szlak - jedyna rzecz, ktora pozostala na miejscu, utwierdzajac mnie w przekonaniu, ze byl tutaj naprawde. Zobaczyłem, ze prowadzil z prawej strony. Kiedy sie obejrzałem, okazalo sie, ze biegł wielkim lukiem na zachod poprzez las prawdziwych i falszywych pylonow i ruin. Pomyslalem, ze szlak prowadzil z Ziem Spustoszonych, a dalej z moich rodzinnych ziem, High Hallack. Czy byl to szlak ludzi Starej Rasy? Czy miejsce zwane Car Re Dogan bylo czymś w rodzaju straznicy ustawionej na gorskiej granicy pomiedzy starozytna kraina Arvonu i nowsza - nalezaca do ludzkosci?

Na te pytania nie bylo odpowiedzi. Pojechalem dalej, pozwalajac Nekii na wybor drogi na tym starym szlaku. Sam zmruzyłem oczy, patrzac tylko przez niewielkie szpary.

-Czy wszystko w porzadku? - zawolalem.

Uslyszalem przytakujace odpowiedzi. Opuscilismy szczyt i rozpoczeliśmy zejście. Wokol nas coraz wyzej i wyzej wznosily sie skalne sciany. W koncu jechalismy czymś przypominajacym tunel bez dachu, ktoredy wpadalo ksiezycowe swiatlo. Sam nie wiedzac dlaczego odniosłem wrazenie, ze zbliżamy sie do celu.

Sciezka zakrecala przede mna, a nastepnie otworzyla sie na ogromna przestrzen, prawie calkowicie pusta. Tylko w poblizu

tunelu, którym przyjechalismy, znajdowały się ruiny. Ponownie wszystko zafalowało i rozplynęło się tylko po to, aby pojawić się znowu w innych, prawie realnych kształtach. Przed nami znajdował się ogromny, otoczony kolistą ścianą, niczym nie zaduszony obszar. Droga prowadziła do arkady i znikła w jej głębi. Pomimo że noc była pogodna, wzdłuż terenu snuły się i wirowały bezbarwne opary mgły.

Scisnałem kolanami Neki i zatrzymałem ją, odwracając w kierunku pozostałych.

-Przed nami znajduje się teren, na którym rozegra się bitwa. Gurecie, konie pozostają tutaj.

Zsiadłem trochę zesztywniały, poczułem, jak przez chwilę ziemia zakolysała się pod moimi kopytami. Joisan zsiadła z Arren. Szybko podszedłem, aby ją podtrzymać. W księżycowym blasku i w delikatnej fosforencyjnej mgielnej poświacie jej twarz wyglądała widmowo, błyszczwały tylko jasne iskry oczu.

-To nadchodzi, Kerovanie. Czuje Sylve.

-Nie mamy więc czasu do stracenia - powiedziałem. - Czy to miejsce przed nami jest miejscem jego spoczynku? Jak uważasz?

-Nie - odpowiedziała ściągając brwi, jak gdyby usilnie starała się sobie coś przypomnieć. - Sylva znalazła to miejsce. Nie należało do Cienia... istniało tutaj dłużej, niż można nawet sobie wyobrazić...

Pozostawiliśmy Gureta u wejścia do tunelu. Jervon, Joisan i ja

ostrożnie podeszliśmy do portalu i zajrzeliśmy do wnętrza. Droga biegła na wprost, przez środek owalnego pierszcienia, w którego ścianach po obu stronach znajdowały się nisze. Były oddalone od siebie w równych odstępach, każda zamurowana do trzech czwartych wysokości zupełnie jak stanowiska jakichś dawnych mieszkańców, którzy stali i spoglądali na każdego przechodzącego obok. Na przedniej ścianie każdej niszy znajdowały się znaki runiczne. Te, które były wyryte na najdalszych niszach, obecnie stały się tylko ledwie widocznymi zagłębieniami, co świadczyło o ich bardzo sędziwym wieku.

Stanąłem na palcach i zajrzałem do jednej z nich tylko po to, by stwierdzić ze strachem, że chociaż wydrążone nisze wydawały się puste - a było ich około czterdziestu - coś w nich się kryło. Wziałem głęboki oddech i zachwiałem się, czując, jak uwaga istniejących wewnątrz nisz istot zwraca się w moim kierunku!

-Kerowanie! - wyszeptała Joisan, wbijając paznokcie w moje ramię tuż nad bransoletę. - Oni są tam nadal żywi! Chca się dowiedzieć, kim jestem i dlaczego tutaj przyszedłem!

Zwilżyłem usta.

-Nie, nie są żywi - ostrożnie dobieierałem słowa, budziły się bowiem we mnie wspomnienia, dziwne skojarzenia tej niedogodnej i niestalej pamięci, która raz po raz rozblyskiwała i gasła, w żaden sposób nie dając się podporządkować memu własnemu rozumowi. To są Opiekunowie zaczarowani w sposób, który daje im coś w rodzaju normalnego życia, są to miejsca złożenia wspomnień i mądrości należącej do ich rodzaju - nie rodzaju ludzkiego, jaki znamy. Ich obowiązkiem jest wypytywać i przeciwstawiać się nowo przybyłym, ale wydaje mi się, że nie

powinnismy sie ich obawiac.

Popatrzyliśmy na milczący obszar nisz, byliśmy tak przejęci strachem, że prawie zapomnieliśmy o okropnej przyczynie naszego tutaj przybycia. Nadal czułem, jak mnie badano i oceniano i zastanowiłem się, czy owi Opiekunowie istnieli tylko w celu zbadania, czy też nadal mieli Moc pozwalającą na wybór tego, kto mógł iść dalej. Jeżeli To-Co-Przemierzało-Szczyty przybywało tutaj każdej nocy, może jedyne, co mogli zrobić, to obserwować, gdyż mimo że byli mi obcy, nie czułem w nich śladów Cienia.

Zauważyłem, że w tym końcu szeregu nisz, w pobliżu arkady, u stop której się schroniliśmy, była jedna nie zamurowana nisza i niczym nie oznaczona. Czy ostami z Opiekunów zginal? - zastanowiłem się.

-Czy mamy dość odwagi, żeby tam wejść? - wyszeptał Jervon.

-Powinnismy znaleźć najlepsze miejsce do obrony...

Przerwał gwałtownie na mój uciszający gest, a potem także usłyszał i zastygł w bezruchu. Odwróciłem się do tyłu z wyciągniętym mieczem w dłoni. W powietrzu rozbrzmiewało ciche bebnienie.

-Joisan? Czy to...

-Nie - powiedziała. - Czyż nie słyszysz? To jest beben! Dźwięk falował i wznosił się, tworzył jakąś dziwną, chorobliwie brzmiącą muzykę.

-Nidu! Ona jest tutaj! - Spojrzałem na pozostałych. Musimy ją odnaleźć - bebnii, żeby ich tutaj sprowadzić i uwolnić!

-Tak - zgodziła się Joisan.

Przyjrzałem się leżącym za nami ruinom, wokół których gęstniała mgła, wirowała i opadała błyszcząc w księżycowej poświacie, pelzała po kamienistym gruncie niczym płynąca ze śmiertelnej rany krew. Bebnienie spowodowało, że krew zaczęła zatrzymywać się w moich żyłach. Z przerażeniem stwierdziłem, że mgła reagowała na bebnienie Szamanki.

-Mgła! Ona gdzieś tam jest, gdzieś w tej mgle! Musimy ją odnaleźć!

Z wyciągniętym mieczem wpadłem w ruiny. Ich falowanie zmieszało mnie trochę, było teraz jeszcze bardziej denerwujące z uwagi na dziwny zapach. Kilkakrotnie wydawało mi się, że zobaczyłem pochyloną postać czarno ubranej kobiety, w chwili potem jednak sylwetka rozmywała się w skale lub fragment posadzki. Raz prawie złamałem swój miecz.

W końcu, rozumiejąc, że oczy niewiele pomogą mi w moich poszukiwaniach, zacząłem przeszukiwać ruiny, trzymając przed sobą bransoletę. Doszedłem do wniosku, że wyrzeźbione na niej znaki runiczne ostrzegają mnie przed obecnością Szamanki. Przez zacienione ruiny nadal przelewały się narastające dźwięki bebnienia, strącały mnie od celu, zaplatały w drżących rytmach piosenki Szamanki.

-Kerowanie! - dobiegł mnie cichy głos Joisan. Narastająca mgła zdawała się pochłaniać pewne dźwięki i zwiększać inne. Gdyby

nie plynacy z kociej glowy jej pierścienia blask, moglbym jej nie zauwazyc. Kleczala obok arkady wejsciowej do miejsca Opiekunow, przy niej byl Jervon.

-Czy ja znalezliscie? - zapytalem.

-Nie ma juz czasu na poszukiwania, Kerovanie. W chwili, gdy wypowiedziala te slowa, uslyszalem brzezacy dzwiek, poczulem grzmiaca wibracje Tego-Co-Przemierza-Szczyty. Nadchodzilo z podnoza gory.

Szybko stwierdzilem, ze wizja nie dorownywala temu, co zobaczylem. Poscig wirujacy wzdluz drogi przeniosl sie raptem na owalny dziedziniec Opiekunow. Byla to chorobliwie zabarwiona na zolto, poprzetykana pasmami szkarlatu, chmura. Jej brzezacy jek wystarczal, zeby spowodowac szalenstwo. Nie moglem wytrzymac dluzszego patrzenia niz przez pare sekund - potem - musialem odwrocic wzrok.

A smrod! Byla to cala plugawosc Cienia wlana do probowki i zagotowana nad plomieniem alchemika. Otaczal mnie niezdrowy zapach owej rzeczy. Poczulem mdlosci, zakrylem reka nos i usta. Bol pomogl mi zapanowac nad soba. Obok mnie Jervon mial nie kontrolowany atak nudnosci.

Najgorsza ze wszystkiego byla odmiennosc. Mozna bylo wyczuc zniewalajacy sens nienaturalnej sily, calkowicie wykoslawionej, innej Od-Tego-Jaka-Powinna-Byc. Przez chwile zapragnalem uciekac, uciekac od tego horroru. Zerwalem sie na rowne nogi i oparlem o skale, a potem odwrocilem sie w kierunku koni...

I wlasnie wtedy zobaczylem Nidu. Szamanka kleczala z drugiej

strony owalnego dziedzinca, w pobliżu jednej z nisz. Przypadła do ziemi, chociaż jej palce nadal wybijały dziki, przyzywający rytm. W końcu tempo zmieniło się z bebnienia w bardziej ostre staccato.

Jak gdyby w odpowiedzi istota znajdująca się w przestrzeni Opiekunów zaczęła wirować, z każdym obrotem stawając się coraz większa.

Ponownie z mieczem w dłoni, chociaż nie wiem, kiedy go wyciągnąłem, skoncentrowałem się na moim gniewie, starałem się zapomnieć o strachu, który nadal popychał mnie w kierunku Nekii. Zmuszę się, żeby nie uciekać, pomyślałem. Przysiągłem, że nie będę już uciekał i nie pozwolę sobie złamać tej przysięgi...

Patrzac na Nidu przypomniałem sobie, jak dokuczała Guretowi, jak drwiła ze mnie, jaka była okrutna dla Elys - ale impulsem do działania stało się wspomnienie jej szyderczego głosu, gdy nazwała Joisan "wymoczką".

Zrobiłem trzy kroki w kierunku Szamanki, w kierunku Tego-Co-Przemierza-Szczyty, gdy przede mną stanęli Jervon i Joisan.

-Nie - krzyknął Jervon ponad dźwiękiem bebnów. Nie było to już stukanie, lecz podobne do grzmotu walenie, mogące rywalizować z najpotężniejszą z burz, jakie do tej pory przeżyłem. - Nie możesz!

Podniosłem miecz i gestem kazałem mu zejść z drogi.

-Nie mam także ochoty zabijać z zimną krwią, Jervonie, ale muszę to zrobić, zanim zdejmie zaklecie!

Joisan potrzasnęła głową.

-Nie, Kerovanie. Musimy jej pozwolić dokończyć!

-Dlaczego? - Popatrzyłem na nich, zastanawiając się, czy widok owej istoty nie spowodował u nich szalenstwa.

-Ponieważ w innym przypadku już nigdy nie zobaczymy Elys! - krzyknął Jervon.

Bębienie rozbrzmiewało teraz w rytmie naszych ciał, pod jego wpływem drżały skały pod naszymi stopami. Ramdam-dam-dam... Dźwięki wydawały się wypełniać świat.

Opuszcili miecz, przyznając mu rację, a potem ukryli się z nimi za wejściową arkadę. Pomimo mojego postanowienia, spoglądanie na ową wirującą istotę było czystą torturą, wiedziałem bowiem, że jakakolwiek postać przybierze po uwolnieniu z czaru, będzie o wiele bardziej niebezpieczna.

Zawirowało po raz ostatni i eksplodowało na zewnątrz, wypełniając prawie cały dziedziniec, a potem... nastąpiła całkowita cisza. Zniknęły żółte opary i na miejscu zostało polowanie z Cienia. Na środku owalnego dziedzińca Opiekunów stało około dwudziestu istot, w tym wiele pięknych. Wszystkie, jak instynktownie wyczulem, były niebezpieczne. Poruszały się dezorientowane.

Patrzyłem na nich z ukrycia w portalu i szukałem Elys. Czterech jeźdźców miało kształty podobne do ludzkich, tylko ich skóra pobłyskiwała złotym blaskiem w cieniu hełmów. W świetle księżyca ich zbroje błyszczały błękitnie, wydawały się delikatnie

fosforyzowac. Byli to myśliwi, uzbrojeni w długie, strzelające iskrami bicze. Ich białe ogary przypominały te, od których przyjęli swoją nazwę wojownicy Alizonu - były jednak o wiele większe, poruszały się falistymi ruchami plazow, miały otwarte czerwone pyski i oczy, które zdawały się pochłaniać światło - nie odbijały niczego z wyjątkiem ciemności.

Kilka niematerialnych plynacych postaci należało do istot ludzkich, zarówno mężczyzn, jak i kobiet. W ich oczach widoczny był straszny ból i okropny zamiar. Jednym z nich, na samym przedzie, był młodzieniec ubrany w łatwo rozpoznawalny strój Kiogow. Spoglądając na niego przypomniałem sobie słowa Obreda, gdy mówił o młodym Jerwinie: "...przeraza mnie myśl, że spotkał śmierć, która się jeszcze nie skończyła... nieczysta śmierć"... Tak więc przywódca Kiogow miał rację - ci wszyscy, którzy w ciągu wieków zostali zabici, przez To-Co-Przemierza-Szczyty, stali się jego częścią. Z odrazą odwróciłem wzrok od tych żalonych widm...

Wówczas zauważyłem ich przywódcę. Na wysokim białym wierzchołku podobnym do tych, jakich dosiadał myśliwi, siedział Maleron. Zwierze (przypominało konia tak jak ogary przypominały psy) wygięło pokryta łuskami falująca szyja i grzebneło ziemię przednią nogą zakończoną pazurem. Jego pan rozglądał się wokół na pozór spokojnie, ale nawet z tej odległości czułem plynącą od niego Moc. Z ramion sphywał mu szkarłatny płaszcz, miał regularne, nawet przystojne rysy - typowy mężczyzna pochodzący ze Starej Rasy. Moglibyśmy być braćmi.

Szamanka wyszła ze swego ukrycia po końcowym wybiciu rytmu.

-Adepcie! Jestem ta, która wyzwoliła cie z twojej długiej niewoli!

Na policzku poczułem nagle oddech Jervona, który przysunął się do mnie.

-Kerovanie! Czy widzisz Elys? - wyszeptał.

-Nie - odpowiedziałem.

-Nie widzę też Sylvy - powiedziała zmartwiona Joisan. Czuje ją - jest gdzieś wśród tych, którzy stoja przed nami. Elys musiała rzucić skrywający je czar.

Przez długą chwilę Maleron siedział bez najmniejszego ruchu, a potem odwrócił niczym nie osłoniętą głowę w kierunku Nidu i popatrzył na nią, jak gdyby była najmniej ważnym z jego słuzacych. W końcu pochylił lekko głowę w podziękowaniu.

-Dziękuję, Szamanko.

-Byłoby dobrze, gdybyś do swojej wdzięczności jeszcze coś dołączył - czarno ubrana kobieta wyprostowała się, palce dłoni oparła na bebenku, jak gdyby czerpała z niego siły - i pozbył się moich nieprzyjaciół. To także i twoi nieprzyjaciele, Adepcie.

Maleron unosił brwi w geście niedowierzania.

-Jestem wolny nie dłużej niż od stu uderzeń serca powiedział. Nie mogę uwierzyć, że w ciągu tego czasu i w tym miejscu zrobiłem sobie nieprzyjaciół, nie starając się przy tym wcale.

Głos Szamanki zadrzał.

-To tchorze kryjący się za Światłem! Zebrali się tutaj, żeby cię zniszczyć, zanim zdołasz zasmakować swej nowo odzyskanej

wolności! Zabij ich! - Machnela w naszym kierunku podobnym do ptaka ramieniem, jak gdyby widziała nas w naszej kryjówce przy portalu.

Maleron potrząsnął głową i zmarszczył czoło.

-Nie oceniaj mnie zbyt pochopnie, Szamanko. Ty być może idziesz Ścieżka-Z-Lewej-Strony, aleja nie. Ja tylko poszukuję Wiedzy i Mocy.

Nidu zaczęła się dziko śmiać.

-Jeżeli naprawdę w to wierzysz, to jesteś jeszcze większym głupcem niż czarnoksiężnikiem! W twoim orszaku znajdują się ci, którzy zostali zabici nawet przez najłżejsze dotknięcie ciebie i twojego polowania - okrutna śmierć dla każdego, kto tylko się ciebie dotknął. Czy to jest znak Światłości?

Twarz Malerona skamieniała, podniósł rękę w kierunku Szamanki. Zanim zdolał cokolwiek powiedzieć lub zrobić, przed moimi oczyma coś zafalowało i usłyszałem wysoki krzyk.

-Elys! - Jervon rzucił się do przodu. Tylko przez sekundę widziałem przytulone do siebie kobiety, a przed nimi dwa cienie tak czarne, że wydawały się dziurami wyrwanymi w ciemnościach otaczającej nas nocy. W zdeformowanych istotach Cienia pojawiły się i zgasły czerwone iskry, samo patrzenie na nie spowodowało, że żołądek podszedł mi do gardła.

Mężczyzna z Dales biegł w kierunku dwóch kobiet, które do tej pory niewidoczne, musiały się czolgać w naszym kierunku, dopóki nie wyweszyły ich istoty z Cienia. Usłyszałem gorący

nad tym wszystkim krzyk Malerona: - Sylvy!a!

W powietrzu zadrzał prawie widocznymi falami gniew. W odpowiedzi na jego sygnał myśliwi ruszyli na koniach w kierunku wojownika Dales.

Wybiegłem z mieczem w dłoni. Dosięgnąłem Sylvy i Elys, która także miała wyciągnięty miecz. Obok mnie stali Jervon i Joisan. Mielismy tylko chwile na to, by ustawić się do siebie plecami i utworzyć nieregularny krąg z ostrych mieczy, zanim dopadło nas czterech jeźdźców.

Ich jedyną bronią były owe biczki do polowania miotające iskry i płomienie. Zanim zdolałem się obronić, otrzymałem palące uderzenie w poprzek uda. Skrzyżowałem miecz z jego bronią, tak że w końcu oparliśmy się o siebie nadgarstkami. Zobaczyłem jego grymas, jak gdyby dotknięcie stali sprawiło mu ból. Wspominając niebezpieczną studnię na równinie, podniosłem bransoletę. Jego biały rumak zarżał i stanął dęba w chwili, gdy znaki runiczne na talizmanie zabłysnęły płomieniem. Jego jeździec zmusił go do powrotu, wszystko odbyło się w takim milczeniu, że zacząłem się zastanawiać, czy jego rasa była niema.

Ponownie nadleciał płomień z bicia, tym razem udało mi się jednak pochylić. Odważyłem się podejść do przodu, przełamane jego obronę. Była to szansa, wyszedłem z uformowanego koła, ale gdyby udało mi się...

Jest! Ostrze mojego miecza wysunęło się do przodu i lekko zarysowało mu piers. Z jego ust wydarł się wysoki krzyk, z powierzchownego kontaktu z moim mieczem popłynął na

zewnątrz fiolkowy płomień. Zrobiłem krok do tyłu i zamknąłem koło. Jeździec zachwiał się, a potem spadł otoczony liniami światła. Leżał na ziemi w drgawkach. Gdy patrzyłem na niego, jego ciało - jeżeli było to ciało - zaczęło nagle znikać, jak gdyby paliło się od wewnątrz.

Odwrociłem się na czas, żeby zobaczyć, jak Joisan wystraszyła płomieniem ze swego pierscienia rumaka z mojej lewej strony. W następnej chwili jej miecz odnalazł szyję jeźdźcy. Przekazałem jej w myślach słowa zachęty i jednocześnie pozdrowiłem jak wojownika. Oboje zwrociliśmy się kierunku następnego złotoskórego przeciwnika tylko po to, by ujrzec, jak przez jego ciało przenikał stal Jervona. Mężczyzna z Dales z westchnieniem wyciągnął bron z ciała. Ostatni myśliwy cofnął się, a gdy cała nasza trójka ruszyła w jego kierunku, odwrócił się i uciekł.

Zanim jego rumak osiągnął arkadę, Adept wypowiedział parę ostrych słów i plonąca istota z krzykiem spadła z siodła białego konia. Popatrzyłem na drgające, plonące coś na ziemi i poczułem, jak moje gardło zaciska się z przerażenia. To naprawdę była Moc. Jeżeli Maleron mógł zabijać słowem, jakie mogliśmy mieć szansę przeciwko niemu?

Cofnąłem się o krok i ponownie zamknąłem koło, kątem oka zauważyłem, że Jervon zrobił podobnie. Moje ramie z prawej strony stykało się z ramieniem Joisan, z lewej - z Elys. A obok Czarownicy stała istota, która moja pani nazwała Sylva... przyrodnia siostra Malerona. Szybkie spojrzenie ujawniło, że nie była w pełni istota ludzka - na głowie miała błyszczący biały puch, rozposcierający się także na jej ramionach, ledwo zakrytych przez noszoną przez nią krotką tunikę. W ciemności oświetlonej jedynie mglistym światłem księżycy widziałem

niewyraźnie twarz o ostrej brodzie i zbyt dużych oczach - piękna w swej inności. Z pewnością nie była to, według słów Nidu opisującej kiedyś cel polowania, drapieżna, ohydna harpia.

Usłyszałem krzyk Nidu i z powrotem spojrzałem na Adepta.

-Patrz, o potężny! Oni są twoimi wrogami i będą się starali cię zabić! Wypuść na nich swoje ogary - krzyczała Nidu.

Czarnoksiężnik popatrzył na nas, w tajemniczym blasku mgły jego oczy zabłysnęły niczym zielone oczy kota.

-Nie znam was, nikogo z waszej czwórki, ale jeżeli znajdujecie się po jej stronie - po stronie tej zdrajczynie - to rzeczywiście jesteście moimi wrogami. Odstapcie od niej i będziecie mogli odejść wolni!

Odzyskałem mój głos i starając się utrzymać spokojny ton, pomimo ogarniającego mnie strachu, powiedziałem:

-I pozostawic cię, abys niszczył i burzył tak, jak będziesz chciał? - Potrząsnąłem głową. - Nie, Maleronie.

Drgnął usłyszawszy, jak głośno wymawiam jego imię, poczułem krótkotrwałą satysfakcję, że mogłem mu zagrozić nawet w tak niewielkim stopniu. Imiona mogą mieć wielką moc przy czynieniu czarów - gdybym choć trochę wiedział, w jaki sposób wykorzystać tak silną broń! Ale w moim umyśle nie pojawiło się nic, nawet cień intuicji.

-Wypuść ogary! - krzyknęła znowu Nidu. - Poprowadź je, Maleronie!

Skinal na nas ponuro.

-Niech tak sie stanie. - Wspial bialego rumaka i wycofal sie sposrod klebiacych sie u jego stop istot. Ich waskie pyski skierowaly sie w gore, w jego kierunku. Zaczely kolysac sie w gore i w dol, jak gdyby te ciemne jaskinie sluzace im za oczy nie mialy zdolnosci widzenia. Szamanka wznowila bebnienie. Poczulem, jak w odpowiedzi na jej uderzenia moje ciało zaczyna oblewac fala goraca. Z kazdym uderzeniem serca zaczelo pulsowac swiatlo bedace jednoczesnie goracem. Uslyszalem krzyk Joisan i zobaczyłem, jak z niej takze wydobywaja sie fale ciepla i swiatla.

-One poluja, pedzac za cieplem krwi! - zawolala szybko Elys.

-Musimy powstrzymac bebnienie! Wspomozcie mnie swoja sila, siostry!

Staralem sie zrobic krok do przodu i podniesc miecz, ale poczulem, ze zalewa mnie fala potu, zupełnie jak gdybym stal w pelnej zbroi na upalnym sloncu. Nie moglem sie poruszyc.

Lup... lup... lup... lup... lup...

W oczach pojawialy sie szkarlatne fale, poprzez ktore staralem sie dojrzec ogary. Nie moglem juz dostrzec roznicy pomiedzy uderzeniami mojego serca i uderzeniami bebna. Za soba slyszalem rytmiczny spiew Elys, ale ten dzwiek byl tak daleki, jak zdobyty Ulmskeep. Ogary szly prosto na nas, w ich otwartych paszczach widac bylo waskie, ociekajace slina jezyki. Byly ode mnie tylko o pare dlugosci...

Lup...lup...LUP...LUP...

Z trudem złapałem powietrze przez opary goraca, starałem się podnieść miecz, poruszyć stopy...

LUP! LUP!!! LUP'...

Z szaloną szybkością coś błyszczącego przeleciało w powietrzu w kierunku Szamanki, wytracając z jej rąk bebenek. Znowu widziałem! Znowu mogłem się ruszyć! Bebenek drżał przebity krótką włócznią Gureta. Zobaczyłem, jak pod lukiem arkady wyprostowuje się postać Gureta. Krzyknąłem szybkie słowa podziękowania, a następnie ugiąłem kolana, przyjmując pozycję obronną. Młodzieniec dał nam przynajmniej szansę, abysmy zgineli w walce...

Za moimi plecami brzmiał głosny śpiew Elys, połączyłem się myślami z Joisan i stwierdziłem, że przynajmniej ona starała się wykonać to, o co prosiła Czarownica. Wspomagała ją zaklecie czy też ochronie, jaka chciała stworzyć. Oddalone ode mnie na wyciągnięcie miecza ogary zawahały się, ich smukłe głowy zaczęły się poruszać jak gdyby w zdziwieniu. A potem, wolno, głowy owe odwróciły się w kierunku skulonej u stóp jednej z nisz Nidu.

Kobieta wydała zdławiony okrzyk przerażenia, gdy powoli jej ciało zaczęło błyszczeć. Wyglądało to tak, jak gdyby skoncentrowało się na niej całe światło księżyca, nawet z miejsca, w którym stałem, mogłem wyczuć wylewające się z Szamanki fale ciepła. Głos Elys wznosił się coraz wyżej i wyżej, stał się bardziej rozkazujący...

Przywódca stada odwrócił się, spojrzal na Szamanke oczyma niczym mroczne jamy. Nidu pisnęła i sięgnęła po zniszczony bebenek. Promieniowało od niej takie ciepło, jak gdyby była wypełniona co najmniej tuzinem słońc...

Ogary skoczyły, ale ich celem była Szamanka. Czarno ubrana kobieta zniknęła pod ich gietkimi ciałami, jej krzyk został raptownie, ohydnie przerwany.

Stwierdziłem, że nie mogę patrzeć i z powrotem spojrzalem na Adepta. Maleron odwrócił się od ciała Nidu, lekko wzruszając ramionami.

-Nie powinna się zajmować czymś, czego nie była w stanie zrozumieć - powiedział. - Może jej los czegoś ci nauczył, polczłowieku.

Poczułem, jak pod wpływem swobodnie wypowiedzianego szyderstwa zaczerwieniłem się. Zmusiłem się jednak, aby stanąć przed nim prosto.

-Czy tak jesteś nieczuły na śmierć, że nic do ciebie nie dociera, Maleronie? Czy nie widzisz, że twój czas już minal? Stoimy przygotowani, aby cię powstrzymać, zanim rzucisz Cien na te krainy, tak jak do tej pory przez wieki rzucales Cien na ten szczyt.

-Powstrzymać mnie? - rozesmiał się, a dźwięk ten spowodował, że ogary szarpiące pozostałości tego, co było kiedyś Szamanka, nagle zamarły i zaczęły wyc. - Nikt mnie nie może zatrzymać, polczłowieku... człowieku bestio... - Jednym pewnym ruchem zsiadł

ze swego bialego rumaka i stanal naprzeciwko mnie z drugiej strony oswietlonego ksiezycowa poswiata dziedzinka dawnych Opiekunow.

-Wszyscy, ktorzy mogliby byc moimi panami, znikneli. Sa mniej niz wspomnieniem... nie sa nawet prochem.

Zawahalem sie przez dluga chwile, patrzylem, jak wzywa swoja sile, podobnie jak zolnierz zbiera swoja bron. Wokol niego zaczelo blyszczec slabe ciemne swiatlo, nagle wydal sie jeszcze wyzszy, z oczu poplynal delikatny szarosrebmy blask. Wzialesm gleboki oddech, podnioslem moja bransoleta i przygotowalem sie, zeby sie mu przeciwstawic z cala Moca, jaka byla we mnie... Z cala Moca, jaka byla we mnie...

Przelala sie we mnie, zatopila mnie, a jednak przez caly czas pozostawalem soba, a nie tym innym. Wiedzialem, ze tym razem nie mialem juz byc bezmyslnym, nieswiadomym instrumentem dawnej madrosci - bylem w pelni soba, bardziej soba niz kiedykolwiek przedtem. Landisi oczekiwal, az zaakceptuje moje dziedzictwo, odnajde moj dom i bede przygotowany.

-Nieprawda - powiedzialem, a moj glos zabrzmial, jak gdybym dowodzil pelnym oddzialem wojska, wypelnil swym dzwiekiem to zaczarowane cmentarzysko. Uslyszalem, jak Joisan szybko wciagnela oddech, ale musialem teraz patrzyc na Adepta. Moje oczy patrzyly w jego, a ja wzmacnialem swoja Wole i po chwili Maleron z trudem wytrzymywal moje spojrzenie.

-Nadeszla pora, abys zrozumial, co zrobiles, Maleronie, a od tego zrozumienia zalezy twój los.

Zmruzył oczy, a otaczająca go ciemność zablysnęła niczym podsycany wiatrem płomień.

-Kim jesteś? - Popatrzył prosto w moją twarz. - Nie znam cie, a jednak...

-Znasz mnie - poprawiłem go. - Dawno temu byliśmy sąsiadami, margrabię ze Szczytów. Twoja siostra to moja daleka krewna, chociaż ty nie byłeś ze mną związany, ponieważ pierwsza żona twojego ojca należała do ludzkich istot. Czy pamiętasz moje imię?

Wstrzasnięty, cofnął się o krok.

-Landis! Ależ nie jesteś...

-Jestem - odpowiedziałem. - Należy do dziedzictwa Gryfa, nawet jeżeli nie do dziedzictwa krwi. Kar Garudwyn jest moim domem, tak jak Car Re Dogan był twoim. Ale ty ze swoimi próbami i czarami poszedłeś wzdłuż Ścieżki Cienia, hanba okryłeś to, co zbudowali twoi przodkowie. Rozejrzyj się wokół siebie! Mój krzyk zabrzmiał jak dźwięk uderzającego o tarczę miecza. Twój dom jest tylko prochem i iluzją, popadł w ruinę z powodu ciebie i twego zła. Popatrz, przyjrzyj się dobrze!

Wolno odwrócił głowę i spojrzał przez otwarty portal na znajdujące się za nim ruiny, na mieszające się halucynacje, które niegdyś były ścianami i dziedzińcami, i zamieszkanymi pokojami.

-Nie - szeptał. - Nie...

-Sylvia miała rację, Maleronie. Zrobiles sobie igraszke z czegoś,

o czym nawet nie wolno było myśleć, i w efekcie twoja cytadela, twoja linia rodowa i wszystko, co tylko nazwałeś swoim, zginęło po twoim odejściu. Nie ma tutaj dla ciebie niczego, z wyjątkiem dalszego czynienia zła, tak jak robiłeś to przez ostatnie wieki - zabijając i kradnąc dusze. Czy tego właśnie chcesz?

Nie odpowiedział, stał tylko i patrzył szeroko rozwartymi oczyma. Widziałem, jak przez jego ciało przebiega silne drzenie. Na chwilę obudziła się we mnie litosć, ale zaraz ją stłumiłem.

Trwająca dziesięć uderzeń serca skrucha nigdy nie mogła zapłacić za dziesięć wieków zniszczeń...

Adept odwrócił się do mnie, w jego posępnych oczach widziałem załamanie. - Rozumiem - powiedział cicho. - Co powinienem zrobić? Jak mogę naprawić... ?

-Nie możesz - powiedziałem nieubłaganie, ponownie niszczyć w sobie chwilowe uczucie sympatii. Przez chwilę mądrość Landisla należała do mnie, była większa i nieporównywalna z moją, a prawda była nieuchronna. - Jeżeli Światłość zwyciężyła w końcu w tobie, to wiedz, że nie pozostanie tam zbyt długo. Cień miał cię w swojej Mocy od niepamiętnych czasów, musisz więc działać szybko, dopóki masz jeszcze pewność, że twój umysł nie jest pod wpływem Cienia.

-Muszę naprawić...

-Nie - powiedziałem, potrząsając głową. - Na to jest już za późno, margrabi. Ciężko mi to mówić, ale taka jest prawda. Największym dobrem, jakie możesz teraz dać światu, jest zapewnienie, że już nigdy nie będziesz miał okazji czynienia zła.

Wskazalem na pusta nisze tuż przy portalu, z mojej dłoni wypłynęło fioletowe światło i obrysowało ją. Płynąca przeze mnie starożytna Moc spowodowała drzenie całego ciała, ale mocno trzymałem się istniejącego teraz połączenia i cała moja Wola kierowałem na Malerona.

-Twój spoczynek, Adeptcie. Przez te wszystkie wieki życzyłeś sobie odpoczynku od tego szalonego poscigu. Tam się znajduje.

Patrzył na mnie przez długą chwilę, a potem opuścił ramiona w geście poddania. Skinał głową, jego oczy nie były już zielonosrebrne, ale oliwiane. Przeszedł obok mnie i zatrzymał się przy stojącej w pobliżu Sylvi.

-Proszę cię o przebaczenie, siostrze - powiedział, wyciągając do niej dłoń w błagalnym geście.

-Jest twoje, mój bracie - powiedziała i po raz pierwszy usłyszałem jej głos. Był to wysoki, muzyczny trzask, jak gdyby raczej śpiewała, niż mówiła.

Maleron odwrócił się z powrotem w kierunku niszy, nadal błyszczał skrzającym się blaskiem. Wyprostował się ponownie.

Z wysoko uniesioną głową podszedł do otworu i wszedł do środka. Skrzyżował ręce na piersiach i zamknął oczy. Przez moje otwarte dłonie popłynęła znowu Moc, odbywało się to prawie bez udziału mojej woli. W miarę jak powoli podnosiłem ręce, rosła zakrywająca nisze ściana z błękitnego kamienia, który Landis nazwał quan-stalą. Ściana nie zatrzymała się w trzech czwartych wysokości, jak było z innymi Opiekunami, ale zamknęła niszę całkowicie.

Gdy sciana siegnęła jego brody, po raz ostatni widziałem twarz Adepta - zobaczyłem, jak na chwile przed całkowitym zamurowaniem, pojawił się na niej wyraz ogromnego spokoju.

-Zamurowany - wyszeptała obok mnie Sylva. - Na zawsze...

-Nie - powiedziałem ciężko, czując dziwne doznanie odpływu życia, spowodowane opuszczaniem mego ciała przez Moc. - Jego już nie ma. Gdybyśmy otworzyli teraz nisze, w środku nie znaleźlibyśmy nic poza prochem.

Wąski strumień uciekającej siły stał się dosłownym potokiem wyczerpania. Zakolysałem się pod wpływem nigdy wcześniej nie spotkanego zmęczenia - było to nawet większe wyczerpanie niż po uratowaniu Nity. Jervon złapał mnie za ramię i zarzucił na swoje plecy. Podtrzymał mnie. Próbowałem stać, usztywniłem kolana, ale nawet utrzymanie prosto głowy okazało się zbyt dużym wysiłkiem. A jednak wiedziałem, że gdy użyję starożytnej Mocy ponownie, wszystko będzie łatwiejsze... chociaż jej stosowanie zawsze powodowało zmniejszenie fizycznej energii i wszystkich sił.

-Kerovanie! - przy moim boku znalazła się Joisan, obok niej był Guret.

"Nie jestem ranny". Uciekłem się do kontaktu myślowego, gdyż nawet mój język był zbyt ciężki, aby nim poruszyć. "Muszę... odpocząć"...

-Joisan - w treli Sylvy brzmiało przerażenie. - Ci, którzy zostali pochwyceni... i te istoty z Cienia...

Zobaczyłem utkwione w nas potrzebujące oczy chłopca imieniem Jerwin. Wraz z innymi mężczyznami i kobietami, którzy kiedyś należeli do ludzkiej rodziny, przesuwali się w naszym kierunku. Przeszedł obok miejsca, gdzie ogary osaczyły Nidu. Rozejrzałem się za białymi bestiami Adepta, ale zniknęły. W miarę zbliżania te smutne zjawy w jakiś sposób stawały się nieskonczenie bardziej groźne. Jervon posadził mnie na kamiennej posadzce dziedzinca Opiekunów i wyszedł naprzód z wyciągniętym mieczem. Chwile potem cofnął się na widok ich żalonych spojrzeń. - Nie mogę ich zabić! krzyknął. - Jestem wojownikiem, nie rzeźnikiem! Czego oni chcą?

-To są nieumarli - wyszeptała Sylwia. Strach spowodował, że jej głos brzmiał jeszcze bardziej obco. - Szukają śmierci lub życia nieważne, co otrzymają. W swoim ślepym poszukiwaniu tego, co zostało im zabrane, skradną nam nasze życie.

Próbowałem stanąć na nogi, przywołać siły i przeciwstawić się temu nowemu niebezpieczeństwu. Ale nawet gdybym był otoczony płomieniami, nie miałbym dość siły, żeby odczłogoc się z ich zasięgu. Prawie omdlały patrzyłem, jak przybliżały się te istoty o pustych oczodołach. Zastanawiałem się, czy uda mi się zabić coś, co już dawno powinno było umrzeć...

Z prawej strony zobaczyłem także drgająca czerwienią ciemność.

Otaczały nas również istoty z Cienia.

Rozdział 11 - Joisan

Gdy tak kłechałam obok mego pana na dziedzińcu, który pamięć Sylwii nazywała Miejscem Królów, on odwrócił głowę i spojrzał na

mnie. Teraz, gdy zgasło już światło bransolety, jego twarz przysłonił cień. W oczach Kerovana nie błyszczał już bursztynowy płomień, który pokonał nawet takiego Adepta, jak Maleron. Wiedziałam, że Wola, jakiej użył, by zachwiać margrabia, nakłonić go do opuszczenia Arvonu, wyssała z niego wszelkie siły o wiele bardziej, niż wyczerpałaby go walka wręcz. Nawet teraz, gdy starałam się podtrzymać głowę mego pana, jego dłonie osunęły się na kamienisty grunt i legły nieruchomo.

Przez straszna chwile obawiałam się najgorszego, ale łącząc się z nim myślami, zrozumiałam, że było to zwykłe omdlenie, a nie pustka śmierci. Na pilne wezwanie Sylvy: "Joisan! Chron się!" stanęłam na równe nogi z mieczem w dłoni. Patrzyłam, jak zjawy i te dwie istoty z Cienia zbliżają się coraz bliżej do naszej małej grupy. Zniknęli Maleron i Nidu, ale wraz z nimi odeszli także nieprzyjaciele, z którymi mogliśmy mówić albo przekonywać - uchwyt mojego miecza przesunął się w mokrej od potu dłoni, gdy próbowałam wymyślić sposób zwalczania tego nowego niebezpieczeństwa. Patząc na nich, w jakiś sposób wiedziałam, że stał nam tym razem nie pomoże. Tymczasem Kerovan był tak bardzo zmęczony, że nawet sam nie mógł się bronić.

Obok mnie zadrzał Guret.

-Jerwin... Cera, to jest Jerwin! Przecież widziałem, jak umierał!

-On nie żyje - powiedziałam. Zbliżyła się do mnie niematerialna postać kobiety, wyciągnęła w błagalnym geście dłoń. Miała czarne włosy, takie jak kobiety z rodu Elys. Zastanowiłam się, jak dawno temu została pochwycona w tę okrutną pułapkę. - Oni

wszyscy nie żyją, Gurecie. Chca tylko odpocząć... - Przerwałam, gdyż moje własne słowa zmusiły mnie do zastanowienia się nad naturą śmierci... w jaki sposób była część życia, gdy wszystko toczyło się zwyczajnie. Natura... Zakielkowała we mnie myśl, zaczęła mnie męczyć możliwość rozwiązania, ale nagle zniknęła, gdy stojąc przede mną zjawą wyciągnęła przezroczystą dłoń i chociaż zmusiłam się, by stać nieruchomo, moje ciało samo umknęło przed kontaktem z nią. Zimno - z kobiety emanowało przejmujące, odretwiające zimno; wiedziałam, że jeśli wytrzymam jej dotknięcie, wczłoga się we mnie i będzie chciała odpocząć w moim cieple...

Myśl była tak odrazajaca, że z trudem pozostałam na miejscu i nie wycofałam się za Kerovana. Jervon krzyknął odsuwając się od pelznacej w jego kierunku ciemności.

-To jedna z istot Cienia.

Wiedziałam, że były nawet jeszcze bardziej niebezpieczne, chciały odebrać nam naszą Moc i dusze, tak jak zjawy pragnęły naszego życia i ciepła. Bada szukały tego, kto ma największą Moc...

Dwie istoty z Cienia przepłynęły obok Jervona i skierowały się prosto na mnie.

-Nie! Joisan, musisz uciekać! - stanęła przede mną Sylwia, treść jej głosu zwiększał jeszcze brzmienie w jej głosie trwogi. Twoja córka, lady! One szukają twego dziecka!

Cofnęłam się, z bijącym sercem rozumiejąc, że mówiła prawdę. Obcasz moich butów dotykały już boku Kerovana - widmowa

kobieta ponownie siegnęła do mnie. Zrobiłam jeszcze jeden krok, Kerovan leżał teraz pomiędzy moimi stopami. Jeżeli odsunie się dalej, opuści mego pana, aby ochronić moje dziecko... Nie! Nie mogłam - nie chciałam przedkładać jednego nad drugie! Instynktownie dotknęłam dłoń piersi, szukając kryształowego Gryfa - ale oczywiście nie było go tam. Moje poszukujące palce przesunęły się tylko po talizmanie Bursztynowej Pani, po dojrzałym zbożu i oplecionym winoroślą amulecie Gunnory. Gunnora! Ponownie spojrzałam na księżyc, na to niebieskie ciało będące Jej symbolem. - Gunnoro! - powiedziałam wyraźnie. - Bursztynowa Pani, proszę cię, wysłuchaj mnie! Daj tym biednym istotom odpoczynek, za którym tak tęsknią, błagam cię o to! Ty, która chronisz młodych i nas, które są twoimi - wspomóż mnie!

Tak jak przedtem amulet zaczął błyszczeć, wysyłał bursztynowe fale światła, które otaczały zjawy. A one zaczęły niknąć... niknąć... niknąć... niczym mroz w ciepłe poranne słońce, aż zniknęły zupełnie w końcowym błysku!

To pozostawiało tylko dwie istoty z Cienia. Szybko podeszłam do Sylvy, która ponownie gestem kazała mi się oddalić.

-Nie - powiedziałam twardo. - Siostrze, podaj mi swoją dłoń. Nie ucieknę za cenę pozostawienia tutaj moich przyjaciół. Życie z tą świadomością byłoby gorsze niż natychmiastowa śmierć. Zmusiłam się, żeby spojrzeć na dwie istoty z Cienia znajdujące się całkowicie poza ich właściwym czasem i miejscem. Starłam się zignorować wydzielane przez nie, przyprawiające o nudności promieniowanie. Gdy wolno podplynęły przed nas obie, wydawały się niczym dwie dziury w tworzącej rzeczywistość materii...

Nie tylko przed nas obie, nagle uświadomiłam sobie, że nasze

przecież dziecko mające większą Moc niż ktokolwiek z nas. Była to jednak Moc w zarodku. Dziecko nie potrafiło jeszcze myśleć ani rozumieć. Malenka, pomyślałam, łącząc się z Sylvią, daj mi także swoją siłę.

Dłoń Sylwii ujęła moją i z tym pierwszym dotknięciem zrozumiałam, że przez te wszystkie dni mogła mnie dosięgnąć tylko poprzez dziecko. Zupełnie jak gdyby była oczkiem lincucha pomiędzy mną i moją córką (Sylvia miała rację, to była córka - dusza, której dotknęłam, należała do istoty rodzaju żeńskiego).

Zamknęłam oczy i pozwoliłam wszystkim zmysłom zacząć działać w poszukiwaniu siły, którą miało dziecko, ale nie umiało jej kształtować ani ukierunkować. Jest! Zupełnie, jak gdybym w swoim ciele znalazła jeszcze jedną zamieszkującą, ale nie należącą do niego Wole. Dotknęłam tej drugiej siły, tej Mocy i skierowałam ją na zewnątrz... Te istoty z Cienia nie należały do naszego świata. W związku z tym nie wolno im było tutaj pozostać. Wykorzystując Moc dziecka, tak jak gdybym stosowała jakieś narzędzie, otworzyłam...

Usłyszałam krzyk Elys, podniosłam wzrok i zobaczyłam nad naszymi głowami fioletową błyskawicę światła, a za nią mignęły gwiazdy - czarne gwiazdy na białym niczym papierze niebie.

Świat zawirował wokół mnie, gdy ujrzałam tę dziwną inność, to miejsce za Bramą, którą otworzyłam. Wzmacniając moją Wole, nadal trzymając się ręki Sylwii, skinęłam na istoty z Cienia.

-Tam znajduje się wasz dom! Idźcie! - Z całej Mocy, jaką się we mnie znajdowała, popchnęłam je.

Przez chwile trwal ohydny moment dotkniecia i oporu, ale wktrotce zniknal i z dzwiekiem rozpadajacego sie skalistego szczytu moj swiat zniknal mi sprzed oczu.

Rozdzial 12 - Kerovan

Ciemnosc nocy delikatnie ocieraly sie o moje policzki, byly niczym klebki welny wypelnione cichymi odglosami slow. Lezałem na twardej, skalistej powierzchni, ale glowe mialem oparta na czymś ciepłym i miekkim. Przez chwile lezałem zadowolony, o niczym nie myslac, chcialem po prostu odpoczac, cieszac sie, ze zyje. Nie chcialo mi sie otwierac oczu. Ta czynnosc zwiazalaby mnie ponownie z prawdziwym swiatem, z dazzeniami i bolem oraz odkryciami... Leniwie rozpoznawalem uslyszane glosy.-Prosze, podaj mi jeszcze raz buklak na wode, Jervonie. Nigdy dotad nie mialam takiego pragnienia! - To byla Elys. W jakis sposob, nie widzac ich wcale, wiedzialem, ze siedziala tuz obok swego pana.

Uslyszalem szmer plynu. W ustach poczulem suchosc... Zmusilem sie, zeby nie zwilzyc ust. Przebudzenie przyniesie takze problemy, a ja na razie nie chcialem rozwiazywac zadnych. Bylem zadowolony, ze zyje, podobnie jak moja pani... gdyz obok mnie siedziala Joisan. Moja glowa lezala wlasnie na jej miekkich kolanach.

-Tutaj, lady Sylvio - uslyszalem dzwiek krokow. - Mam troche soku selka. Moze chcialabys sie napic? - to byl glos Gureta. Moje dzieki - to trel Sylvyi.

Tak wiec... przezyliśmy wszyscy. Leniwie zastanawialem sie, w jaki sposob zostaly pokonane widma i istoty z Cienia. Podczas

walki z nimi parokrotnie odzyskiwałem świadomość, slyszalem, chociaż nie widzialem. Przypomniałem sobie teraz jakies słowa wypowiedziane przez Sylvye. Mowila o... wspomnienie ucieklo, gdy starałem się je sobie dokładniej przypomnieć. Nie mogłem uslyszec prawidłowo...

-Jak on się czuje, Joisan? - To był Guret, który właśnie usiadł obok mojej pani.

-Spał do tej pory - powiedziała. Poczulem na włosach jej dotknięcie, delikatniejsze niż powiew nocnego wiatru. Odsunęła splątane kosmyki z mego czoła. Z brzmienia głosu wywnioskowałem, że się uśmiecha. - Ale teraz się już budzi, chociaż nie zgodził się jeszcze na otwarcie oczu.

Przylapany, szybko otworzyłem oczy i spróbowałem wstać. Rzeczywistość okazała się o wiele trudniejsza od pomysłu, ale w końcu usiadłem i rozejrzałem się wokół. Znajdowaliśmy się w ruinach, na zewnątrz dziedzinca Opiekunów. Niedaleko były przywiązane konie, a ostatnie cienie nocy rozplywały się w odwaznych, złotych promieniach niewielkiego ogniska. Jervon, Elys, Sylva, Guret i Joisan byli zgromadzeni wokół niego. Nie było najmniejszego śladu naszych wrogów.

-Cienie... zjawy - zacząłem i przerwałem, czując w gardle ostrą suchość. Joisan podała mi buklak, piłem chciwie, podczas gdy ona wyjaśniała, że naszych wrogów już nie ma, zostali pokonani.

-W jaki sposób? - zapytałem z ustami pełnymi chleba podróżnego, który Guret wyjął ze swojego worka.

-To lady Joisan - powiedziała Elys, w jej głosie brzmiał delikatny

ton rozbawienia. - Najpierw przekonała Gunnore, aby dała zjawom spokój prawdziwej śmierci, a potem otworzyła Brame i wysłała Cienie tam, skąd przyszły. I pomyślałam, że trzy lata temu powiedziałam jej, że jeżeli będzie się cierpliwie starała, to może się w niej obudzić jakaś niewielka cząstka Sztuki.

Moja pani uśmiechnęła się.

-A mój sukces zawdzięczam tobie, Elys. Powiedziałaś bo wiem, że mogę się nauczyć. I dałaś mi pierwsze wskazówki, w jaki sposób szukać w sobie mądrości.

-Wygląda na to, że byłaś wspaniałą studentką - zgodziła się Elys.
- Mam szczęście, że jesteśmy przyjaciółkami, a nie przeciwniczkami!

-Ale żeby otworzyć Brame... - potrząsnęłam głową. Mogłam to zrobić mając Moc Landisla, ale tylko w zaczarowanej warowni, gdzie rezerwy Mocy zostały wzmocnione przez wieki oczekiwania. W jaki sposób zdołałaś...

Joisan odwróciła twarz i wydawało mi się, że na jej policzki wypłynął rumieniec, czerwieniący jej twarz o wiele bardziej niż odblask z płonącego ogniska.

-Miałam do pomocy Sylvy.

-Cienie... - zmarszczyłam brwi, starając się sobie przypomnieć.

-Sylva powiedziała. Powiedziała - przerwałam, gdyż w pełni przypominałam sobie, co się wtedy wydarzyło. Spojrzałam na Joisan i już znalazłam prawdę.

"Dlaczego mi nie powiedziales"? Zapytalem ja w myslach.

"Nigdy nie podejrzewalem - czy to' prawda? Bedziesz miala dziecko"?

Podniosla dumnie brode i spojrzala mi prosto w oczy, ale jej usta drzaly. "Bedziemy mieli"... przyznala sie. "Probowalam ci powiedziec, ale nie bylo czasu"... Patrzyla na mnie przez dluga chwile, jak gdyby nigdy wczesniej nie widziala mojej twarzy.

"Powiedz, Kerovanie... czy ty, prosze, powiedz, ty sie cieszysz?"

Uslyszalem szelest i spojrzalem w gore. Zobaczyłem, jak Guret i pozostali zbieraja prowiant i odchodza, aby osiodlac konie.

Wstalem raptownie. - Przejdzmy sie przez chwile.

Joisan poszla za mna na dziedziniec Opiekunow. Odeszlismy na tyle, aby z naszych oczu zniknelo ognisko. Stwierdzilem, ze nadal musze poruszac sie powoli, ale sily powracaly z kazda minuta. Przechodzac pod arkada, spojrzalem na pusta kiedys nisze - trudno bylo doslownie uwierzyc, ze nadal byla to noc bitewna. Przeszedlem jeszcze pare krokow w zamysleniu.

-Kerovanie! - Joisan zlapala mnie za ramie i odwrocila twarza w swoim kierunku. W jej oczach bylo blaganie. - Powiedz mi, o czym myslisz!

W odpowiedzi dotknałem jej dloni, poczułem spowodowana ciezka praca szorstkosc i delikatne kosci tuz pod skora.

-Mysle o tym, jak bardzo cie kocham, moja pani - powiedzialem po prostu. - I ze nie moge doczekac sie chwili, w ktorej ujrze

moja córka. Nie mogę uwierzyć, że Gunnora uśmiechnęła się do nas po tak długim czasie.

Przytrzymałem ją do siebie i mocno przytulilem. Poczulem, jak w nas rośnie i rozplywa się cicha radość. Promieniowała na wszystkie strony z taką siłą, że byłem pewien, iż czują ją nawet dawni Królowie. Kiedy w końcu puściłem Joisan z niechęcią, dotknęła mego policzka.

-To dziecko miało w sobie Moc konieczną do otwarcia Bramy. Będziemy bardzo zajęci, Kerovanie. Wychowywanie zwyczajnego dziecka jest ciężkim obowiązkiem, ale to... wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się. - No cóż, nigdy zbyt nie lubiliśmy spokoju.

Pokiwałem głową potakująco.

-Mimo to pragnąłbym trochę mniej alarmów i wycieczek. Kiedy ono - ona...

-Okolo Uczty Środka Zimy - powiedziała. - Będziemy musieli zebrać dużo drewna na opał.

-Będziemy musieli z Guretem zakryć arkady - powiedziałem i w tym momencie coś sobie przypomniałem. - On wie, prawda?

Zgadł?

Joisan przytaknęła. Potrząsnąłem głową.

-Powiniennem uważać siebie za głupca, byłem całkiem ślepy powiedziałem. - Ale myślałem, że jestem tak bardzo inny i nie pozwalałem sobie nawet na cien nadziei.

-Wiem - powiedziała. - Chcesz więc poprosić chłopca, aby pozostał z nami?

-Lud Kioga potrzebuje domu - odpowiedziałem. - Teraz ponownie mogą żyć w górach bez cienia strachu. Pastwiska w dolinie są bogate...

W zamysleniu skinęła głową.

-Może... to wszystko miało jakiś ukryty cel - wyszeptała. Pamiętasz, co powiedział Obred, że gdy na ziemi zjedzą Bliznieta, Kiogowie odnajdą nową krainę.

-Pamiętam. Za parę dni, gdy odpoczniemy. Cała nasza trójka pojedzie na południe i powiemy im, że mogą bezpiecznie wracać w góry.

-A co z Sylvią? - zapytała. - Ta dolina jej także jest bardzo droga.

-Jako ostatniej z rodu Landisła - powiedziałem - Kar Garudwyn może być bardziej jej niż ja.

-Nie jest. - Zabrzmiał trzask Sylvi. Odwrociliśmy się i ujrzeliśmy, jak właśnie przechodzi pod arkadą.

-Dziedzictwo Gryfa należy do ciebie, Kerovanie, ono samo wybiera swego pana lub panią. Chciałabym tylko prosić ciebie i twoją panią o pomoc przy odbudowie mojej cytadeli i mojej doliny.

-Wszyscy razem będziemy pracowali - powiedziałem. Joisan i ja, ty, Elys i Jervon - jeżeli tylko będą chcieli. Miejsca wystarczy. Arvon jest dużą krainą.

Rozdział 13 - Joisan

Razem odjechalismy z Miejsca Krolow, za mna na Arren jechala Sylva, za Kerovanem na Nekii Elys, a Jervon i Guret na Vengim. Gdy zjeźdzalismy na polnoc po dawnej gorskiej drodze, spojrzalam na wschod, skad przybylismy tak dawno temu, i zobaczylam delikatny roz wczesnego poranka. Tyle juz widzielismy brzaskow od chwili rozpoczęcia naszej wedrowki... juz tyle, a jednak w tym momencie caly swiat wydawal mi sie swiezy i nowy, jak gdyby byl to dopiero pierwszy poranek. Z tesknota spojrzalam na plynacy przez jakis czas wzdluz drogi niewielki strumyczek, pomyslam, ze pierwsza rzecza, jaka zrobie po powrocie do Kar Garudwyn, bedzie znalezienie jakiegos odludnego miejsca przy strumyku w dolinie i wziecie kapieli, a moze w jednej z nie zbadanych do tej pory komnat cytadeli znajdzie sie cos, co bedzie mozna wykorzystac jako wanne...

Uslyszalam za soba delikatne, smutne westchnienie i odwrocilam sie do tyłu. Sylva wpatrywala sie w malenki strumyczek.

-Co sie stalo, siostro? - zapytalam z niepokojem.

-Ten strumien... - Przez chwile zapanowal nad nia bol. Wydaje mi sie, ze dopiero wczoraj wyzwalam mego brata, by przeszedl nad ta plynaca woda, a jemu sie to nie udalo.

Wyciagnelam do niej reke.

-Jest teraz bezpieczny i w spokoju - powiedzialam. - Sprobuj w taki sposob o nim myslec... i pamietaj, ze ocalilas doline.

Skinela glowa, a ja odwrocilam sie, by pokierowac Arren. Na szczytach gor pojawily sie pierwsze purpurowe i pomaranczowe blaski, splynely w dol po granitowych zboczach w potokach cudownych kolorow. To bedzie wspanialy dzien...

Usiadlam nagle, czujac, jak cos we mnie delikatnie drgnelo. To bylo bardzo dziwne uczucie, ktore juz wielokrotnie mi opisywano, ale ktorego tak naprawde do tej pory nigdy nie moglam sobie wyobrazic, dopoki nie odczulam go sama... drobne drgniecie, jak gdyby cos we mnie poruszylo sie, przeciagnelo i zaczelo zyc. Nasze dziecko... spojrzalam naprzod, gdzie jechal moj pan. Patrzylam, jak rozmawia z Elys, z wprawa prowadzac jednoczesnie Neki po starej gorskiej drodze. Przez chwile zastanowilam sie, czy nie nawiazac kontaktu myslowego i nie podzielic sie tym nowym odczuciem, a potem zdecydowalam, ze poczekam, az bedziemy sami. Bedzie jeszcze czas na wszystko. Czas na opowiadanie przez wiele, wiele porankow...

Droga przed nami rozswietlila sie i stala cieplejsza. Wzeszlo slonce.

TOC \o "1-1" \h \z

Prolog. PAGEREF _Toc14191757 \h 3

08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000

Rozdzial 1 - Joisan. PAGEREF _Toc14191758 \h 6

08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000

Rozdzial 2 - Kerovan. PAGEREF _Toc14191759 \h 12

08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000

Rozdział 3 - Joisan. PAGEREF _Toc14191760 \h 23
08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000

Rozdział 4 - Kerovan. PAGEREF _Toc14191761 \h 31
08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000

Rozdział 5 - Joisan. PAGEREF _Toc14191762 \h 43
08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000

Rozdział 6 - Kerovan. PAGEREF _Toc14191763 \h 54
08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000

Rozdział 7 - Joisan. PAGEREF _Toc14191764 \h 64
08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000

Rozdział 8 - Kerovan. PAGEREF _Toc14191765 \h 79
08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000

Rozdział 9 - Joisan. PAGEREF _Toc14191766 \h 90
08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000

Rozdział 10 - Kerovan. PAGEREF _Toc14191767 \h 99
08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000

Rozdział 11 - Joisan. PAGEREF _Toc14191768 \h 113
08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000

Rozdział 12 - Kerovan. PAGEREF _Toc14191769 \h 115
08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000

Rozdział 13 - Joisan. PAGEREF _Toc14191770 \h 118
08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-01-22

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/